

Lódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 34 (1586)

ROK XXXI

20 SIERPNIA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- Makabryczna zbrodnia w Piotrkowie — str. 12
- Czy można zamknąć miasto? — str. 3
- Słowo honoru pułkownika J. Albrechta — str. 4
- Tajemnicza śmierć na szosie — str. 6
- Najbrudniejsze miasta świata — str. 2

Prosto z Moskwy: Nie daj Boże naruszyć spokój prowincjonalnego towarzystwa wzajemnej adoracji.

Trzęsienie nieba i ziemi

WASYL KOCZNÓW

Mam niebywałego „podróżnego” pecha. Zawsze podczas drogi przytrafia mi się coś nieprzewidzianego. Tym razem wyjazd do Polski omal nie przypłaciłem zdrowiem, a może nawet życiem. Pociąg z Iwanowa do Moskwy odchodził o 2 w nocy. Niespiesznie pakowałem walizkę, porządkowałem szpargały na biurku, przeglądałem publikacje, które miałem zabrać dla kolegów-lodźian. O północy skończyły się audycje radiowe, było cicho, sennie. Okna pozamykałem już wcześniej. Nie miałem pojęcia, że zbliża się huragan, właściwie trąba powietrzna, która os-

tała, 3 lata temu spustoszyła nasz rejon, zmiotła na swej drodze domy i drzewa, wzniosła wiele pożarów. Zebrała również śmiertelne żniwo.

1.

Wyszedłem z domu w momencie, gdy nad miastem milcząco zawisła czarna chmura, tylko gdzieś daleko dziko ujadł wściekły wiatr. W połowie drogi do przystanku autobusowego, a więc po 3-4 minutach potężne błyskawice rozcięły niebo na kawałki i zaczęło się: grzmot piorunów i huk deszczu był ogłuszający. By dostać się na przystanek, musiałem przejść

na drugą stronę ulicy — jedyną płynącą już rwącą rzeką i gdy stąpałem w nią, sięgnęła mi do pół tydki. Już nieraz przeklinałem asfaltowe „koryta”, do których upodobniły się ulice w mieście. Pośrodku jezdni omal nie wziąłbym jeszcze kąpiel, o coś się potknąłem, a utrzymać równowagę z parasolem w jednej ręce i ciężką walizką w drugiej, przekracza już moje możliwości. Chodnikiem pod blokami zanurzone całymi kołami płynęło auto, choć tam woda była płytka. Nagle zrozumiałem, że nigdzie nie pojawi się nocnego autobusu nie będzie, na taksówkę nie ma co

liczyć. Jestem już stary, ale takiego oberwania chmury jeszcze nie widziałem. Naraz uprzytomniłem sobie, że znajduję się w „dolinie”, że trzeba iść ku centrum, które jest położone znacznie wyżej. Znajomość topografii miasta uratowała mnie. Niechybnie utopiłbym się na tym nieszczęsnym przystanku. Parę ulic dalej rzeka w asfaltowym korcie sięgała już tylko do kostek. Zatrzymałem jakąś zbłąkaną ciarówkę, za drobną opłatą kierowca zgodził się dostarczyć mnie na dworzec. Chciało mi się śpie-

5

Collage Grzegorz Galasiński

Koszenie w sztabie

RYSZARD BINKOWSKI

1988.07.05. Prolog

Na pierwszym posiedzeniu wojewódzkiego sztabu żniwnego powstał optymizm. Bez względu na to, jak wysokie będą plony w województwie łódzkim przedstawiciele instytucji i organizacji rolniczych, zakładów technicznych obsługi rolnictwa i innych służb żniwnych zapewnili o swej pełnej dyspozycyjności i zapiecu wszystkiego na ostatni guzik. Magazyny czekają na ziarno, trasy jego dowozu wytyczono na mapie, co oznacza, że przychodzący ze zbożem nie pobłądzą i nie zgina, no i że nie będzie się jeździć „Bróler do Pabianic lub odwrotnie”.

Okazuje się przy tym, że w województwie łódzkim jesienią nie było tak źle, gdyż zasiano o 500 ha więcej cennej pszenicy ozimej. Ogółem, łącznie z rzepakami, trzeba zebrać zboże z powierzchni 50 tys. ha. Kombajnów i snopowiazałek jest tyle, że można nim to sprzątnąć niemal w stu procentach. No, ale pokropić też może, więc lepiej trzymać w stodole babkę do klepania kosy i dobrą osetkę. A tak naprawdę to nie ma się do czego przyczepić, bo znowu, psia krewa, nie zabraknie sznurka do pras i wiązalek. Gdyby zaś spółdzielnie i pegeery zwlekły z usługami dla chłopów, to oni już się tak tego nie boją, gdyż na 300 kombajnów w województwie, 105 znajduje się w gospodarstwach indywidualnych.

W gospodarstwie WOPR w Bratoszewicach rozpoczęło się koszenie rzepaku, a że było wiele upalnych dni, dojrzał szybciej

jęczmień ozimy i na polach pojawiły się pierwsze snopy w mendlkach. Przyspieszone dojrzewanie zbóż cieszy, gdyż dzięki temu, w przeciwieństwie do 1987 roku, można będzie zasiał znacznie więcej poplonów, a dla trzody i bydła przyda się każda tona zielonej paszy, tym bardziej że wsiewki w zbożach ze względu na suszę nie bardzo wyszły. Można też będzie wcześniej wapnować odkryte pola, gleby bowiem mamy paskudnie zakwaszone.

Kierujący sztabem żniwnym Mateusz Zawadzki, dyrektor Wydziału Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej UML, nie martwił się specjalnie żniwami, tylko tym, co po żniwach. Bo w 1989 roku ziemi nam nie przybędzie, a żołądków z pewnością tak, trzeba więc zasiał więcej pszenicy ozimej, pszenżyty i jęczmienia ozimego, które znacznie lepiej plonują.

Przewiduje się, że w Święto Odrodzenia na polach będą już stać snopy żyta. Aho, zobaczymy.

1988.07.19. Etap z defektami

Od rana leje, chłód, ciemne chmury szorują brzuchami po czubach drzew. W sali prezydyjnej UML pogoda emanuje tylko z opalonej, poutłopowej twarzy szefa sztabu żniwnego, wiceprezydenta Lecha Krowirandy. Minorowe nastroje, ale tego, co za oknem, niżej nie

3

Nie tylko koni mi żal...

patrz strona 7



Collage Grzegorz Galasiński

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Jarusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażewski,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl

Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panaszewicz, Karol J.

Stryski, Maciej Swierkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wieda.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zleżakizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucje i zakłady pracy zleżakizo-
wane w miejscowościach gdzie
nie ma Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch”, opłacają prenu-
meratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach pocztowych
i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach —
siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urzędach
pocztowych nadawczo-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki
za granicę przyjmuje RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy
i Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
KV Oddział w Warszawie nr
1658-201045 139-11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
poczta zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zlecających
instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.

Zam. 2592 S-10.

Przegląd prasy

W latach 1980-81 bardzo aktywnie działały w PZPR tzw. struktury poziome. Siabło natomiast funkcjonowała tradycyjna struktura nomenklatury — centralistyczna. Z propozycją przywrócenia w partii struktur poziomych wystąpił w dyskusji redakcyjnej „NOWYCH DROG” (nr 6) prof. Władysław Markiewicz.

„Obecnie mamy taką sytuację, że znaczna część organizacji partyjnych nie przejawia żadnej aktywności politycznej, ich prestiż społeczny jest niezwykle niski, a całe ważne środowisko, na przykład studenckie, pozostają poza oddziaływaniem partii. Ten stan rzeczy musi nieuchronnie doprowadzić do tego, że partia w opinii publicznej a także swoich mas członkowskich, będzie się identyfikować z aparatem, zwłaszcza że — jak uczy doświadczenie — tego rodzaju skłonności pojawiają się i rodzą spontanicznie. Toteż nie można żywić o to pretensji do aparatu, że wyręcza on bierne reszce członków, gdyż w przeciwnym razie partia mogłaby w ogóle zniknąć z powierzchni życia politycznego. Czym to jednak grozi na dłuższą metę; nie trzeba nikomu przypominać, albowiem wszyscy to doskonale pamiętamy. Tak więc opowiadam się za tym, aby spokojnie rozpatrzyć kwestię struktur poziomych, rozsądnie przeanalizować ich funkcjonowanie i nie zapożnając oczywiście niebezpieczeństwa, na jakie narazić się może partia, przyzwalać na ich niekontrolowany rozwój, zastanowić się nad tym, czy jednak nie zawiera się w nich jakiś zarodek autentycznego odnowienia partii. Przypominę, że w strukturach poziomych byli zaangażowani przede wszystkim młodzi ludzie, a w tej chwili przeciw partii grozi, powiedzmy sobie to szczerze, obumarcie ze względu wielowych.”

Wśród ogółu członków PZPR jest zaledwie 6,9 proc. młodzieży do 29 lat. Średni wiek członka partii wynosi 46,1 lat. Jeśli nie zmieni się struktura partii, to już na początku lat dziewięćdziesiątych średnia wieku w PZPR przekroczy 50 lat. Pisze o tym w miesięczniku „POKOŁENIA” (nr 6) Stanisław Seklecki.

Badania socjologiczne wskazują, że młodzież bardzo krytycznie ocenia dorobek Polski Ludowej i aktualną rzeczywistość. Jest zanępką przedłużającym się kryzysem, słamazarą tempem reformy gospodarczej, brakiem porządku w życiu, w rozwoju, perspektywą długoletniego spłacania długów.

Socjalistyczny ruch młodzieżowy (ZSMP, ZHP, ZMW, ZSP) skupia 48 proc. młodzieży szkolnej, 26 proc. studenckiej i tylko 13 proc. robotniczej. Ale realne wpływy poszczególnych organizacji są jeszcze mniejsze niż pozwala przypuszczać liczba członków. Niezależnie natomiast wyniki ma Kościół rzymskokatolicki. Jego oddziaływanie charakteryzuje duża różnorodność form i elastyczność metod.

„Ważnym instrumentem wpływu Kościoła na młode pokolenie są instytucjonalizowane grupy młodzieży, takie jak ministranci, bielaniki, chóry, zespoły charytatywne, porządkowa służba kościelna, czy grupy modlitewne. W ostatnim czasie kler zintensyfikował pracę z tymi grupami. Ważne znaczenie dla umocnienia wśród młodzieży poczucia wspólnoty z Kościołem mają ciągle tradycyjne środowiskowe pielgrzymki. Najpopularniejszy w naszym kraju jest ruch oazowy wynikający z założenia programu „Światło-Życie”. W 1987 roku w oazach młodzieżowych uczestniczyło 81 340 młodych, a w 1986 r. — 82 300. Głównie była to młodzież ucząca się w szkołach ponadpodstawowych i robotnicza, a wśród oazowej kadry było bardzo wielu studentów.”

W zakończeniu swego artykułu Stanisław Seklecki podkreśla, że świadomość młodych Polaków nie jest jedynie efektem kryzysu i działalności opozycji. Do odbudowy wiary w socjalizm nie wystarczy odbudowa socjalistycznego frontu wychowawczego. Chcąc skutecznie przekształcić świadomość

mość społeczną, trzeba zmienić samą rzeczywistość. Należy najwięcej uwagi poświęcać reformom gospodarczym i społecznym.

NIECHŁUBNE PRZODOWNICTWO

Pisaliśmy wielokrotnie o katastrofalnym stanie środowiska naturalnego w naszym kraju. Wstrząsające dane na ten temat przedrukował tygodnik „ŁAD” (nr 30). Jacek Purat podał jesienią 1987 roku w czasopiśmie „Earth Island Journal” najbrudniejszą dwunastkę świata. Na początku są miasta polskie: Zabrze, Łódź, Katowice, Wałbrzych. A dalsze miejsca zajmują: Liverpool, Bochum, Baltimore, Birmingham, Charków, Warszawa, Londyn, Detroit. Z wykresu wynika, że pod względem emisji pyłów Zabrze, Łódź i Katowice zdecydowanie wyprzedzają pozostałe centra przemysłowe świata. Przy czym autor zaznacza, że Zabrze i Katowice są tylko reprezentantami Śląska na tej liście.

„Gdyby ująć w niej wszystkie miasta tego regionu to zajęłyby wraz z Łodzią i Wałbrzychem wszystkie dwadzieścia pierwszych pozycji w światowym rankingu. Ale wtedy nie moglibyśmy porównać polskich wyników z innymi osiągnięciami na przykład najbrudniejszego miasta USA — Baltimore.”

W zakresie ochrony środowiska jesteśmy opóźnieni w stosunku do Stanów Zjednoczonych o 25-50 lat. Przez to szkodzi nie tylko sobie, lecz również innym narodom. Skazanie powietrza przez polski przemysł zagraża m.in. Skandynawii.

„Emisja pyłów na samym Śląsku jest dwadzieścia razy większa niż w mrocznym Los Angeles! Polska jest odpowiedzialna za większość kwaśnych deszczów nad Skandynawią. Stan jej środowiska naturalnego wpływa na pogorszenie zdrowia społeczeństwa, na rozwój patologii społecznych w rodzaju narkomanii i alkoholizmu. Towarzyszy temu pogorszenie infrastruktury budownictwa, transportu miejskiego, kolei i komunikacji.”

O stanie środowiska naturalnego w Polsce krytycznie mówiono podczas 34 posiedzenia plenarnego Sejmu w dniach 25 i 26 maja 1988 roku. Materiały można znaleźć w „DIARIUSZU SEJMOWYM” (nr 6). Minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych Waldemar Michna stwierdził:

„Straty wynikające z zanieczyszczenia powietrza dwutlenkiem siarki wyrażają się kwotą nie mniejszą niż 400 mld zł rocznie. Na powierzchni Polski opada bowiem rocznie z powietrza 2200 tys. do 2800 tys. ton dwutlenku siarki w postaci suchej i mokrej. Zakwasza to gleby, negatywnie wpływa na rozwój świata roślinnego, zakłóca równowagę jonową gleb, zmienia warunki życia fauny, zwiększa korozję zabytków, a także wszystkich budowli i maszyn. Na kilku procentach powierzchni Polski, tam, gdzie stężenie dwutlenku siarki jest większe od dopuszczalnego, negatywnie działa na zdrowie ludzkie.”

Zanieczyszczone powietrze wywołuje zmiany fizjologiczne u blisko 40 proc. lasów polskich. A stan lasów decyduje o stabilności stosunków wodno-klimatycznych. Trzeba więc szybko ograniczyć emisję dwutlenku siarki w kraju i za granicą. Połowa opadów pochodzi ze źródeł zagranicznych. Poseł Wojciech Budzyński poinformował, że trzy czwarte ogółu dwutlenku siarki wydzielają przemysł paliwowo-energetyczny. Jedną tylko elektrownia o mocy 1000 MW wydziela do atmosfery aż blisko 120 tys. ton dwutlenku siarki rocznie.

Poseł Paweł Szymański stwierdził, że obszary ekologicznego zagrożenia obejmują 32,5 tys. kilometrów kwadratowych, co stanowi 10,3 proc. powierzchni kraju. W tych warunkach żyje 12,5 mln Polaków i pracuje w przemyśle 2,3 mln osób.

SPRAWA SZESNASTU

W marcu 1945 roku radzieckie władze wojskowe aresztowały szesnastu przywódców polskiego podziemia, w tym gen. Leopolda Okulickiego (pseud. „Niedziadek”) — szefa Departamentu Wojskowego Dele-

gatury Rządu, do niedawna dowódcę Armii Krajowej. Jak do tego doszło? — pisze w dodatku „Życia Warszawy” z 5 sierpnia 1988 r. „HISTORIA I ŻYCIE” (nr 15) Edward Grzędziński.

W końcu lutego 1945 r. przekazano przywódcę podziemia propozycję płk. Pimienowa odbycia rozmów z przedstawicielami Armii Czerwonej. Prawie wszyscy z nich (endecy, ludowcy i socjaliści) byli zdania, że ofertę należy przyjąć. Jedynie gen. Okulicki uważał, że jest to podstęp. Otrzymał on 6 marca od Pimienowa pismo z propozycją szybkiego spotkania z generałem-pułkownikiem Iwanowem, reprezentującym Front Białoruski. W piśmie gwarantowano całkowite bezpieczeństwo. Prawie identyczny list dostał 10 marca delegat rządu, wicepremier Jan Stanisław Jankowski.

Pierwsze spotkanie Pimienowa z Jankowskim odbyło się 17 marca w willi oficera radzieckiego w Pruszkowie. Panował nastrój zrozumienia i przyjaźni. Można więc było oczekiwać korzystnego wyniku rozmów.

„Odpierając zarzuty Pimienowa, Jankowski wykluczył jakąkolwiek działalność dywersyjną ze strony AK na tyłach Armii Czerwonej. Armia Krajowa została bowiem w styczniu rozwiązana. Pimienow stwierdził z kolei, iż jego modawcy uważają rozkaz o rozwiązaniu za fikcję. Następnie omawiano możliwość ujawnienia się polskich organizacji politycznych. Szef Delegatury Rządu wskazał na gotowość natychmiastowego wyjścia z konspiracji wszystkich ugrupowań, ale tylko w wypadku stworzenia przez władze radzieckie warunków do prowadzenia jawnej pracy politycznej.”

Następnego dnia płk Pimienow spotkał się z delegacją Stronnictwa Ludowego, a 20 marca z przedstawicielami Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Pracy i Zjednoczenia Demokratycznego. Oficjalnie radziecki bardzo krytycznie mówił o Rządzie Tymczasowym w Lublinie; że nie ma posłuchu w społeczeństwie i nie potrafi zapewnić porządku na tyłach Armii Czerwonej. Dlatego powstała myśl wykorzystania autorytetu rządu podziemnego. Pimienow poinformował, że wkrótce dojdzie do spotkania z gen. Iwanowem posiadającym pełnomocnictwa Naczelnego Dowództwa i aprobatę samego Stalina.

Podczas drugiego spotkania z Pimienowem wicepremier Jankowski otrzymał ankietę skierowaną do stronnictw polskich. Miała ona służyć do ich legalizacji. Pimienow zaproponował też zorganizowanie konferencji w szerszym gronie.

25 marca na wspólnym posiedzeniu Krajowej Rady Ministrów i Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej postanowiono nawiązać rozmowy z przedstawicielami Armii Czerwonej. Prawdopodobnie decyzję tę zaakceptował londyński rząd T. Arcelewskiego i Stanisław Mikołajczyk.

Zaproszonych na 28 marca do Pruszkowa przywódców podziemia poczęstowano obiadem (była też wódka i wino). A później potajemnie zawieziono do siedziby NKWD w Warszawie. Tam spotkali gen. Iwanowa, który naprawdę był wysokim funkcjonariuszem NKWD i nazywał się Iwan Sierow.

Niebawem działacze polscy nieoczekiwanie znaleźli się w Moskwie. O ich aresztowaniu poinformował 4 maja w San Francisco W. Molotow, choć wcześniej czynnik radzieckie oświadczyły, że nie mają nic wspólnego ze sprawą, zniknięcia szesnastu polityków.

„W dniach 18-21 czerwca przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRR odbyła się rozprawa przeciwko przywódcom polskiego podziemia. W tym samym czasie, w tym samym mieście toczyły się międzynarodowe, finalne już, rozmowy w sprawie utworzenia polskiego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. 25 czerwca sąd ogłosił następujące wyroki: L. Okulicki — 10 lat więzienia, J. Jankowski — 8 lat.”

Ponadto skazano 10 innych działaczy, trzech uniewinniono, a jeden (M. Jakubowski) zbiegł wcześniej z aresztu. Stalin obiecał wystąpić do prezydenta USA, że wyroki będą pobłażliwe.

Na temat procesu moskiewskiego szesnastu więcej pisze w „PRZEGŁADZIE TYGODNIOWYM” (nr 33) Marek Arpad Kowalski.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

HENRYK LABECKI, kierownik Wojewódzkiego Oddziału ds. Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej:

— W minioną środę skontrolowaliśmy kolonię dla dzieci z wadami kręgosłupa w Głowniu, prowadzoną przez Wydział Oświaty i Wychowania Łódź — Polesie. Ujawniono, że wprowadzić od poprzedniej kontroli podjęto starania, aby usunąć pomniejsze usterki, jednakże pozostały najważniejsze: braki w wyposażeniu, a przede wszystkim — stare, pogięte, niewygodne do spania łóżka — dla dzieci z wadami kręgosłupa! Kontrola w Głowniu była ostatnią — jak dotąd — z 11 wizyt na koloniach i obozach młodzieży. Sprawdzaliśmy głównie czystość, warunki przygotowywania posiłków. Tylko w 4 placówkach nie mieliśmy negatywnych uwag.

W piątek rozpoczęliśmy, zwykle w czasie żniw, sprawdzanie zaopatrzenia sklepów wiejskich — na początek w gminie Andrześpol. Stwierdzono, że chociaż w niektórych asortymentach zaopatrzenie jest nawet lepsze niż w Łodzi (na przykład w margaryny), to jednak są towary, które trzymają się na zapleczu — m.in. wyroby czekoladopodobne. Inne, poważniejsze zaniedbanie wyszło na jaw w sobotę: w sklepie otwartym tylko do południa, mleko dowieziono o godz. 11. Przed sklepem zdażył się zebrać tłum gniewnych ludzi... Niedaleko, w Andrześpolu, wykryto również fakty, świadczące o częstym zatrącaniu środowiska ściekami z Zakładów Ceramiki Budowlanej.

Reasumując: był to dla IRCh-y wyjątkowo pracowity tydzień. Nie powiedziałem bowiem jeszcze o przygotowaniu do akcji sprawdzania lokali, pod kątem ich wykorzystania na cele mieszkalne. Akcja ta, o zasięgu ogólnopolskim, rozpoczęła się na dobre w bieżącym tygodniu. Właśnie dziś (w poniedziałek 15 bm.) dzwonią do nas mieszkańcy Łodzi (telefon podany został do publicznej wiadomości przez prasę i telewizję), informując o swoich spostrzeżeniach. Nie można wprost odejść od słuchawki. Jedną z kobiet podała nam 5 adresów pustych lub nielegalnie wynajmowanych lokali — i to przy jednej tylko ulicy, w dwóch posesjach. Osobiście jestem jednak sceptykiem. Dla IRCh-y sprawy mieszkaniowe są najtrudniejsze. Na palcach jednej ręki policzyć mogę pustostany, które udało się nam do tej pory odzyskać. Cóż możemy zrobić z babcią, która mieszka u córki, a mieszkankę trzyma dla wnuka, podnajmując je tymczasem po cichu? Większe nadzienie pokładam raczej w sprawdzeniu wykorzystywania lokali mieszkalnych, użytkowanych przez biura. Być może niektórym z nich uda się przywrócić pierwotną funkcję.

JAN BĘDKOWSKI, wiceprezes zarządu Zrzeszenia Transportu Prywatnego w Łodzi:

— Najkrócej mówiąc, tydzień był ciężki. Podjęliśmy nielatawa decyzję o wprowadzeniu podwyżki. Nielatwa, bo pasażerowie pamiętają jeszcze poprzedni wzrost taryfy, a nikomu z nas nie zależy na zmniejszeniu ilości kursów. Była to jednak decyzja konieczna. We wtorek urządziłem spotkanie kierowców — po 70, 80 osób — zadając za każdym razem to samo pytanie: pozostałemu przy starym, czy podnosimy przelicznik do siedmiu? Na pierwszym spotkaniu tylko jedna osoba była za starymi cenami, dwie inne wstrzymały się od głosu. Wszyscy pozostali (również na następnych spotkaniach), czyli w sumie około tysiąca łódzkich taksówkarzy, opowiedziało się za nowym przelicznikiem. Nie ma się czemu dziwić: samochody są przecież coraz starsze, ponad połowa ma więcej niż 6 lat, z przeciętnym przebiegiem wynoszącym 300 tys. km. Takie samochody wymagają częstych napraw, zaś ceny podzespołów i wyposażenia rosną horrendalnie. Na 576 podań o nowe auto, przydziały otrzymało ledwie 40 taksówkarzy. Grozi nam więc szybkie starzenie się wozów, co zwiększy jeszcze wydatki na ich utrzymanie.

MAREK ANDRZEJEWSKI, dyrektor PGM na Widzewie:

— Był to pierwszy tydzień w pracy po urlopie. Oglądałem i czytałem wszystko, co dotyczyło ponurej zbrodni na chłopcach pod Piotrkowem. Sam mam dzieci, wysłaliśmy je z żoną na wakacje pod Łódź — zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie zabrać ich stamtąd do domu. Jedną z moich pracownic, której dzieci przebywały w okolicach Sulejowa, nie wytrzymała nerwowo i przywiozła je do Łodzi. Myślę, że ta okropna zbrodnia zmniejszy jeszcze społeczne zrozumienie dla argumentów przeciwników jary śmierci w toczącej się niedawno na łamach prasy dyskusji. Ją sam należałem do przeciwników karanja śmiercią, ale teraz, w obliczu takiego zwyrodnienia, uważam, że trzeba tę karę najwyższą — na wypadek przestępstw szczególnie odrażających — utrzymać.

Pytał: ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Pułkownik zbladł nieco. Zrozumiał wszystko. W tej kartce zawarta była i prośba, i rozkaz, i wskazanie drogi. Jakiej? To dla Albrechta było jasne — dokończenie materiału CEZAREGO LEZANSKIEGO o tajemniczym zniknięciu oficera polskiego podziemia.

— Jan Duch i Georga dotarli do willi bez przeszkód, przez nikogo nie śledzeni. Brama w niskim murku była otwarta. Zadzwoń! do drzwi i otworzyła starsza kobieta bez pistoletu. Zadnego psa ani widać, ani słychu — kolejny odcinek nowej książki ANDRZEJA BRYCHTA.

— Po zamachu Leniń był ciężko chory. Gdy późnym wieczorem udawał się na spacer, strażnicy na Kremlu widywali, jak się zataczał i podpierał rękami o ścianę, z trudem łapiąc oddech. Nadzieja Krupskaja twierdziła, że już latem 1918 r. ledwie mógł co napisać — artykuł JANA BABIŃSKIEGO.

— Ludzie mówią, że w Szatoniu wyrósł komin niezgody. Bo nazwa wsi istnieje tylko w starym rozkładzie jazdy tramwaju linii 44. Cicho tu jeszcze, zielono, laski i sadzawki, szklarnie i stodoły, krowy na łąkach — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Ten spektakl epatuje seksem. Ale dobry smak jest zachowany nawet wtedy, gdy dziewczęta wdzięcznie śpiewają o tym, jak to tirl, tirl, panna pięknie gra na flecie. Przed teatrem koniki oferują bilety po dwa tysiące złotych — reportaż MARKA KOPROWSKIEGO pt. „Teatr na golasa”.

— Kochanka ordynatora oddziału powiedziała, że niezaspokojone kobiety zawsze przynoszą pecha. Prawdopodobnie wynika to stąd, że uśpione zmysły wybuchają jak wulkan — pisze MIROSLAWA SARBINSKA.

— Tylko czy aż trzydzieści dni trwała kampania wrześniowa? Mniej przecież czasu potrzebował Niemcy, aby zająć o ileż potężniejszą Francję. Także nie wolniej niż w Polsce poruszały się pancerne zagony niemieckie przez niemłą część obszaru ZSRR — artykuł ZENONA J. MICHAŁSKIEGO.

jest w stanie zmienić. No, chyba żeby się z tym zwrócić do Papy Karola Wojtyły.

Mateusz Zawadzki, dyrektor Wydziału Rolnictwa UML, mówi, że w stosunku do 1987 roku żniwa są przyspieszone, ale za to martwią wyniki spisu rolnego. Bo ogólnie to w województwie łódzkim jest lepiej niż w kraju, ale skup mleka kuleje, spada pogłowie owiec, wzrasta pogłowie trzody chlewnej, ale nie w tym stopniu, co w kraju. Obniżył się stan pogłowia krów, a w ogóle jeśli chodzi o hodowlę, to lepiej jest w gospodarstwach indywidualnych niż w PGR i RSP.

Skoszono 60 proc. rzepaku i jęczmienia ozimego oraz 500 ha żyta, głównie snopowiązałkami. To się zgadza, bo jadąc pociągami widziałem na płaskach w Lublinku pierwsze mienie żyta. Według Mateusza Zawadzkiego sprzęt jest raczej sprawny. Pani z „Agromy” potwierdza, że Płock nie produkuje teraz kombajnów, tylko części zamiennych, więc nie powinno być źle, ale kto, u diabła, kupi dziś kombajn do kurydy, który kosztuje, baga-

rytorium uzyskała największą miejską gminę, ponad 5 tys. gospodarstw w mieście.

A teraz, jakie chłop zbija kokosy w żniwa. Za godzinę pracy kombajnu (sprzet z 1 ha) płaci się w Aleksandrowie 9 tys. zł, a w Strykowie 12,5 tys. Żeby zasiać, wypiegnąć i zebrać żyto z jednego hektara, trzeba włożyć mniej więcej tyle, ile kosztuje tona żyta.

WOPR w Bratoszewicach skosił dotąd najwięcej, średnie plony ocenia na kilkanaście procent niższe, ale Lech Krowiranda mówi, żeby prasa tego nie fetyszyzowała, bo gdzie indziej może być o wiele lepiej.

Wojewódzki Urząd Telefonów zapewnia, że miał tylko 6 zgłoszeń do naprawy. Stanisław Olsz z WK ZSL na to, że terenie włączono do Fabianic od trzech miesięcy są odcięte od świata. Jan Mielczarek dodaje, że telefony nie działają w Kęblinach, Naklecinie i Brójcach.

Strażacy cieszą się, że było mało pożarów. Wiceprezydent na to, że było więcej, ale ludzie sami ugasiłi, więc nie zgłaszali. A ile mechanicy namęczyli się, żeby odbudować

wiąże piętrowo, idzie w głąb w poszukiwaniu wody i syple grochem, toteż nie czas myśleć o wysokich plonach, tylko o tym, jak głęboko puszczać kopaczki, żeby tu plon zebrać.

1988.08.02. Blisko mety.

Jednej nocy zdrowo lunęło, innym razem trochę pokropiło, a tak to pogodnie i w minionym dziesięcioleciu jeszcze nigdy o tej porze żniwa nie były tak zaawansowane. Niestety, apel o spokojne i bezpieczne żniwa spełnił się tylko połowicznie. Na przejeździe kolejowym w Chociszewie zginał kombajnista, zostawiając ciężarową żonę i troje dzieci. W poniedziałek na polu w Rzgowie zerwała się linia wysokiego napięcia, zapaliło się zboże, chłop zaczął ratować i uległ śmiertelnemu poparzeniu.

Na twarzy wiceprezenta Lecha Krowirandy nie pozostała nawet iskra ułopowego blasku. W niedzielę, żeby wypłuli płuca przez telefon, to nie znalazł dyrektora z instytucji rolniczych, a personel nie wie, gdzie jest.

— Pali się, personel nie wie, gdzie dyrektor. A wiecie, co się dzieje? Nie. Ludzie, za co wam

blach, a u nas zbiór okopowych.

Jan Mielczarek z WZRKIOR powiada, że istnieje najniższe od lat zapotrzebowanie na usługi żniwne w SKR. Na kombajn przypadnie około 100 ha, na wiazarki 20 ha, a na prasy 18 ha. Poza tym SKR pracuje do 22.00, a instytucje wspomagające żniwa do 18.00 i często zepsuty wieczorem kombajn rano nie może stanąć do pracy. W soboty i niedziele dyżury trwają do 15.00, gdy tymczasem wtedy żniwa idą pełną parą, bo pomagają rodziny z miasta. Aha, i jeszcze za mało jest sznurka.

Okazuje się, że POM odnotował 114 awarii, przy czym jednego rolnika z zepsutą maszyną nie dało się odnaleźć, bo mieszka w mieście, a pole ma w gminie Działów, w województwie piotrkowskim. Jeszcze trudniej pociągnąć w ruch nowy typ prasy, bo nikt nie został przeszkolony w jej obsłudze. A najgorsze, że w rolnictwie będą pracować stare maszyny, do dziś krążą po polach „Wisłule”, lecz nie ma do nich części. Nie ma i nie będzie, ponieważ przedsiębiorstwa uciekając przed tzw. podatkiem „stabilizacyjnym” wyzbywają się na gwałt starych części.

W te żniwa zwycięża ekonomika. Plony niższe, koszty na usługi kombajnowe wysokie, więc rolnik nie zauważa kombajnu. Trzeba więc zadbać o agregaty ośmioletnie. Żniarno będzie trochę pokruszone, ale młócić trzeba ostro, bo inaczej 30 proc. ziarna zostanie w kłosach. Trzeba też przeprowadzić kombajny w inne rejon, gdy zajdzie taka potrzeba, no i wziąć się wreszcie za podorywki i siew poplonów.

Kazimierz Orzechowski, sekretarz KL PZPR, stwierdza, że życie nie jest teatrem, jakby chciał poeta, i nie wszystko da się wyreżyserować. Ale w taką sprzyjającą pogodę nie powinno zakładać żniw. No i na razie wszystko przebiega sprawnie, ale gdy się popatrzy na pola, to płakać się chce, takie zachwaszczone. A teraz to niektórzy nie mogą siać rzepaku, bo brakuje herbicydów. Kazimierz Orzechowski zjechał ze smółkow w polne drogi i oglądał takie pola, gdzie tylko odwrócono piugiem skibę i coś wsiano albo nie wsiano wcale. Sekretarza martwi to, że np. w Głownie leży zapas poszukiwanych dawnych nawozów sztucznych o wartości 50 mln złotych. Te nawozy nie powinny leżeć na składzie, tylko w ziemi.

To zadziałała reforma. Wysokie ceny sprawiły, że rolnik stosuje nawozy racjonalnie i dba o produkcję własnego obornika. Jeśli rolnik nie wykupi nawozu, a fabryka nie obniży ceny, to zbankrutuje fabryka.

Nie wiadomo jednak, jak się ma do reformy przysługa, która przeżyła trzy rolnicy w gminie Głowno. Zebrali oni lepszy gatunkowo rzepak, tzw. dwuzerowy, i zamiast jechać aż do Miejskiej Woli w województwie sieradzkim, podjeżdżając i odstawiłi rzepak do pobliskich Rogów, gdzie przyjmują rzepak gorszy, tzw. jednozerowy. Rogi przyjęli rzepak, ale trzy rolnicy stracili na tym milion złotych. Wyda się, że w ich obronie powinien wystąpić Związek Plantatorów Różin Oleistych lub Wojewódzki Związek Rolników.

Przy sprzyjającej pogodzie, zanim ten numer „Ogłosów” ukaże się w kioskach, będzie już po żniwach. I jak Bóg da, rozwiązany zostanie problem sznurka, którego nie zabraknie dla największej w kraju gminy Łódź, liczącej prawie ponad 5 tys. gospodarstw. Oficjalnie nie planuje się utworzenia jednostki administracyjnej o nazwie gmina Łódź, ani stanowiska głównego sołtysa. Byłoby to możliwe po zwiększeniu terytorialnym województwa łódzkiego. Zanim to nastąpi, zapraszam na dożynki do gminy Fabianice, wojewódzkiego mistrza gospodarności.

RYSZARD BINKOWSKI

Z tej ziemi

Zamknąć miasto?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Podjeżdża znajomy samochodem, zatrzymuje się przede mną, wysiada i powiada pełen oburzenia: — Popatrz na karoserię, uczoraj myłem, ale w nocy wyłączył filtry i uszyszko na nic.

Rzeczywiście ciemnostalowa karoseria wygląda prawie jak biała, tak gęsto posypana pyłem z ECII. Z zapewnien fachowców wiem, że elektrofiltrowanie nie można wyłączyć, ale są one bardzo stare, mało sprawne i kiedy stosuje się najgorszej jakości paliwo, to zapalają wszystko wokół dokładnie. Założmy, że wierzę specjalistom. A inni? Oni nie wierzą i nie uwierzą. Dość długo „bujano” ich w różnych sprawach, więc wyrobili u siebie odruch niewiary. Każda akcja wywołuje reakcję. W dzieciństwie opowiadano mi bajkę o pastuszkach, który lubił robić kawały kolegom. Wolał ich o pomoc, bo mu wilki owce napadły. Śmiały się z naiwnych bardzo grzecznie. Ale, gdy mu rzeczywiście wilki porwały owce, nikt nie przyszedł z pomocą. Po prostu nie uwierzyli.

Widziałem niedawno dane dotyczące 10 najbardziej zapyłonych miast na świecie. Na pierwszym miejscu było Zabrze, na drugim — Łódź. Dwa następne miejsca też Polsce przypadły. A niektórzy powiadają, że ten krzyk w sprawie ochrony środowiska — to przesada.

Oto dowiaduje się, że jednym z najgłośniejszych miejsc w Łodzi jest skrzyżowanie ulic Gabriela Narutowicza i dr Stefana Kopcińskiego, gdzie mieści się szpital im. Norberta Barlickiego. A w rejonie szpitala powinno być najciszej. Specjaliści badają natężenie hałasu, sporządzają mapy, składają raporty i z niepokojem notują, że w Łodzi natężenie hałasu... zwiększa się. Gdy się okazało, że Łódź należy do jednych z najgłośniejszych miast na świecie — to się nie dziwię. Zdziwię się natomiast, gdy usłyszę, że z tą ochroną środowiska — to przesada, że nie jest tak źle. Być może zależy to od punktu widzenia i siedzenia. Im kto wyżej siedzi na społecznym drabinie, ten tym bardziej jest skłonny do lekceważenia społecznego zaniepokojenia stanem środowiska naturalnego. Być może łatwiej mi zapomnieć, że człowiek jest częścią przyrody, a przyroda wiekami budowała równowagę, którą mi lekceważymy sobie i nieustannie swą radosną twórczością naruszamy. W mieście też. A może nawet w mieście przede wszystkim.

Miasto jest naszym wspólnym dobrem i wnosimy je po to, aby nam się wygodniej żyło. Jest to interes tak władz miasta, jak i jego mieszkańców. Jednak praktyka tej zasady nie potwierdza. Miasto coraz bardziej podpada, co jest winą nas wszystkich. Nie mam zamiaru winy tej ułożyć, ani dzielić, bo rzecz nie o to idzie. Miasto zamiast nam życie ułatwiać, utrudnia je coraz bardziej, a wszyscy zdają się być tym... zachwyceni. W każdym razie każdy uważa, że robi co do niego należy, robi dobrze, a jeśli coś nie wychodzi, to... koleś. ECII puściła wodę w rury dwa dni wcześniej, ale woda jeszcze w poniedziałek do wielu mieszkań na Retkini i Rokiciu nie dotarła. Dlaczego? Dlatego, że administracja w tych domach nie poodkręcała zaworów. ECII zrobiła więcej niż do niej należało, ale efekt był gorszy niż się spodziewano. Czy nie było sposobu na to, aby woda dotarła do mieszkańców wcześniej? Oczywiście, że był. Tylko kogo to obchodziło? Każdy zrobił swoje. W końcu sobota była wolna i wszyscy mają prawo do wolnej soboty. A już William Shakespeare pisał, że czuć musi ktoś, aby ktoś mógł spać. Służby miejskie wszelkiego rodzaju należą właśnie do tych, którzy muszą czuć, aby innym było wygodnie. Ale one tego jakby nie chciały wiedzieć.

Miasto nam gwałtownie parszywieje. Domyślam się, że parę osób w tym miejscu się żachnie. Przecież my tyle robimy — powiedzą sobie. I bardzo dobrze. Ale skutki tego są nijakie, albo szybko marnieją. Miasto jest rozkopane, komunikacja kulejąca, ciągle nie potrafimy uporać się z siecią telefonową, co w nowoczesnym mieście jest rzeczą karygodną. Handel urzędzie a nie handluje. Ulice nocą są ciemne. Pełne wyboi, jezdnie dziurawe. Ulicę Piotrkowską remontuje się jak za króla Cwiczecha. Przy wielu „wykopkach” po kilka dni nie ma nikogo z pracujących. Gdyby nie pomoc wojska, to wiele robót ziemnych ciągnęłoby się latami. Ale wojsko nie zawsze może pomagać. Tynki sypią się. Balkony urywają się. Brud i śmieci gnają ulicami wiatry. Sucho i nieprzejrzyste. Niegdyś można było zobaczyć polewaczki na ulicach. Teraz mamy deficyt wody i nikt widoki na przyszłość z budową kolejnej nitki wodociągu Pilica — Łódź. Potrzeb jest więcej niż możliwości. Tylko śląc i płacąc.

Albo tego zrobić nie wolno. Ktoś by może powie, że przerysowałem czarną kredką obraz miasta. Być może, ale nie sądzę, aby tak było. Można byłoby jeszcze tu i ówdzie coś dorzucić. Tylko znów nie o to chodzi. Chodzi natomiast o to, aby zacząć zmieniać ten parszywiejący obraz miasta. Po wakacjach zbierze się Rada Narodowa Miasta Łodzi i niechże zacznie szybko tworzyć program rozprawy. Wszystkiego naraz nie zrobimy. Trzeba więc dokonać selekcji zadań, ustalić ich hierarchię, ważności i pilności i znaleźć sposób na uruchomienie społecznej przedsiębiorczości. Bez tego nie ruszymy z miejsca.

A może na początek byłoby wskazane, aby z naszego sposobu myślenia wyrzucić raz na zawsze takie pojęcia jak: „nie”, „nie można”, „nie da rady”, „nie ma możliwości”, „nie ma warunków”, „nie wyjdzie”, „nie uda się”, „nie ma” i tak dalej. Specjalnie wyczułitem się ostatnio na wszelkie „nie”. Słucham, jak niektórzy ludzie reagują na jakakolwiek propozycję. Każde niemal rozumowanie zaczyna się od tego właśnie „nie”. Jeśli u podstaw każdego działania, ba! jeśli u podstaw propozycji tego działania, będzie leżało „nie”, to działania nie będzie. Wystarczy powiedzieć: — „nie można”, „nie da rady” i ma się święty spokój. U nas ciągle pokutuje wzorec: — najlepiej wychodzi ci, którzy nie ryzykują! U nas karze się najczęściej tych, którzy „się wychylił”, zaryzykował, a nie tych, którzy poczekali, przeczaili się i przyłączyli się. No, bo niby za co ich karać?

Ostatnio najbardziej wstrząsnął mną komentarz Aliny Poniatowskiej w „Dzienniku Łódzkim”. Alina Poniatowska ujawniła jakieś wymowne, a zarazem smutny fakt. Oto Urząd Miasta Łodzi ogłosił konkurs na głównego architekta Łodzi. I na ten konkurs nikt się nie zgłosił. Nikt nie chce być głównym architektem w Łodzi. Dlaczego? Alina Poniatowska próbuje znaleźć na to pytanie odpowiedź. Pisze więc, że u architektów liczą się realizacje projektów, a nie stółki administracyjne, że trzeba mieć autorytet u władz i kolegów, że środowisko jest „moralnie zmęczone”. Mnie to nie przekonuje.

A może chodzi o to, że wokół Łodzi wytworzyła się opinia, że tu nie można zrobić, że nie wychodzi, nie udaje się, nie ma warunków. Znowu to „nie”. Tymczasem Łódź — jak żadnemu innemu miastu — potrzebny jest główny architekt, aby trochę przyczynił się do zmiany „pułdkowej architektury”. Inni ponoc w tej dziedzinie robią cuda. Dlaczego my nie możemy? Gorszy jesteśmy?

W Warszawie — na przykład — na lamach „Życia Warszawy” prezydent Jerzy Bolesławski przedstawia warszawiakom rację Ratusza. Krótko i zwięźle. Ostatnio przyznał, że „lato z... wykopkami” — to nie najlepszy pomysł i że można — a zatem i trzeba — robić te wykopki szybciej i sprawniej. Czy u nas nikt nie czuje potrzeby podzielenia się racjami UML z łodzianami? Sądze, że miejsce na to by się znalazło. Jak nie w którymś z dziesiętników, to w „Ogłosach”.

Miasta zamknąć przecież nie możemy!

Koszenie w sztabie

tela, 11 milionów? No cóż, jakby się kilka pegeerów złożyło, to by zapchały gardło zdziercom żerującym na rolnikach ze wszystkich sektorów.

Mateusz Zawadzki stwierdza, że ze sznurkiem nie jest wcale tak optymistycznie, bo WZGS do 15 lipca nie otrzymał 8 tysięcy kłębów. Wiceprezes WZGS, Ksawery Stępień, oświadcza, że ze sznurkiem do snopowiązałek to on sobie poradzi, gorzej natomiast ze sznurkiem do pras wysokiego zgniota.

— Nie stwarzajcie, do cholery, problemu sznurka! — piekli się Lech Krowiranda. — Baby nie chcą już nosić torb plecionych ze sznurka, a jeśli żują go trochę do siatek w szklarniach ogrodników, to przecież to nasza rolnicza rodzina, nie? Sznurka nie zabraknie.

Dobrze, ale Mateusz Zawadzki znalazł w kółku rolniczym w Sanicach dwie nie przygotowane do żniw snopowiązałki.

— Jakże dwie? — ripostuje Jan Mielczarek, wiceprezes WZRKIOR. — Jedna jest przeznaczona do kasacji, tylko nie zdążyli jej sprzedać. A martwić to się trzeba o nowy typ ciągnika, który podłączony do ciężkiej maszyny staje dęba, bo przód ma nie obciążony, gdyż brakuje zaczepów do obciążników.

— To niech wiażą cegły, podpowiada mrużąc oko Lech Krowiranda, ale Jan Mielczarek to nie cieszy i mówi, że nie widąc konserw młynych w większych sklepach. Ksawery Stępień odpowiada, że konserw młynes na posłki regencyjne a zabezpieczone, natomiast stan konserw nie reglamentowanych dla rolników równa się zero, a warzywno-młynes nikt nie chce. Nie zabraknie napojów chłodzących, oprócz sodówki i wód mineralnych, natomiast na dostatek margaryny, masła roślinnego i serów twardych nie ma co liczyć. Za to dobrze idzie sprzedaż nawozów sztucznych...

Opalona twarz Lecha Krowirandy promieniuje takim blaskiem, że aż szyby się skrzę-

— No, no — mówi — niech ja tylko usłyszę, że w województwie brakuje napojów chłodzących! Jak nie ma, to jedź — prosto do browarów, jest na to umowa. A konserw we wsiach wypoczynkowych jest tak dużo, że ludzie zarzucają nam rozpowszechnianie chłupów. Co się zaś tyczy nawozów to cholernie bym się cieszył, gdyby chłopie przeczuli się na oborniki. A w ogóle to trzeba się troskliwie zająć Łodzią, która po zwiększeniu te-

spalony kombajn w Nowosolnej. Jak Lech Krowiranda zobaczy kombajn bez gaśnicy, to nie powie, co zrobi przesowy Straży Pożarnej. Co się zaś tyczy zepsutych telefonów, to gdy się kombajn rozkręci w Brójcach, nikt nie zanieśnie go na plecach co Łódź. Poza tym wiceprezydent nie chce nikogo wieść w pole i znaleźć tam ukryte, nie rejestrowane planacje maku. Nie chce też słyszeć o mieszanin cennego pszenicy ze starym żytem, nie odnawianym od lat trzynastu.

To się wiąże z opinią Centrali Nasiennnej, że chłopie mało zamawiają ziarna siewnego. Żniwa są wczesne, można siać poplon, ale seradeli jak nie było, tak nie będzie. Bogda Madej z „Ogłosów”, której nie było na sztabie, bo akurat zajmowała się pilkarskimi transferami oświadczyła, że jak ona brwała na wsi, to zawsze była seradela, po czym dodała z dziewięcym wdziękiem, że chłop wtedy nie czekał na Centralę Nasienną, bo sam sobie nasionkował.

Przedstawiciel mechaników nie potwierdza pełnej gotowości bojowej maszyn żniwnych. Część sznurka zużyto do belowania siano i teraz np. w Bruźwie stoi po awarii prasa wysokiego zgniota. U rolnika w gminie Zgierz stoi nawłutki kombajn, bo z winy producenta woda dostaje się do oleju i zboże też stoi w polu. Inny rolnik młócił kombajnem stare zboże w stodole i nastąpiła awaria. A w ogóle to jest sporo maszyn zepsutych, dzisiaj były już 22 wezwania pogotowia żniwnego.

Optymizm miesza się z złością. Pięknio syple rzepak, średnio 30 kwintali z hektara, ceny są bardzo opłacalne, dwa dni pogody i rzepak będzie sprzątnięty, ale... Z konieczności mapę przewoży tak wytyczono, że z Łodzi rzepak wozą się pod Sieradą. Jak donosi dyrektor Tarkowski z WOPR w Bratoszewicach, wczoraj wysłano o godz. 18.00 rzepak do Miejskiej Woli i kierowca wrócił nazajutrz o 4.00 rano. Dostawców było mało, ale w Miejskiej Woli sama męczarnia i marazm...

Wreszcie dyrektor Dziegieć ze Stacji Kwarantanny i Ochrony Roślin, który od 30 lat dorzuca tyżkę dziegotu do beczki miodu prominentów, wypełnił swoją powinność zgodnie z tradycją. Oświadczył mianowicie, że stonki nie ma za wiele i nie przewiduje się srogiej walki z tym żarłocznym owadem. Nie należy też panikować w prasie z powodu zarazy ziemniaczanej, bo zaraza jest obecna, lecz nie posuwa się dla rozwoju ziemniaka, ale nie dla zarazy. Z tym, że z powodu braku wilgoci ziemniak

placą? A strażacy złapali jakiegoś kombajna bez gaśnicy? Nie. Pożarów mało, straty niewielkie, około 2 mln zł. Kochani — mówi wiceprezydent — ale jak ten grosz u nas staniał. Dajcie mi tylko milion, to będę wiedział, co zrobić. No, a co z telefonami? WUT odpowiada, że tylko dwa nieczynne. A dyrektor POM w Rąbieniu wali pięścią w stół i mówi, że u nich przez cały lipiec poczta zamknięta.

Okoliczna ludność blokuje telefony żniwne, a w ogóle w Rąbieniu jest tylko pół poczty, tzn. nadawca, bo po odbiór trzeba jechać do Aleksandrowa. Z kolei w Brójcach w Urzędzie Gminy jest mała centralka, jak nie dzwoni między pokojami, to inni użytkownicy nie mogą z telefonów korzystać.

Mateusz Zawadzki ma częstocowo optymistyczne sygnały. Skoszono 60 proc. zbóż, a 70 proc. skoszonych zebrano! W gminie Brójce w niedzielę będzie po żniwach, a także PGR Leśmierz skosił już 81 proc. areali. Cieszy tempo żniw, natomiast plony nie bardzo. Dyrektor Tomczak z WOPR w Bratoszewicach ocenia, że plony będą niższe średnio o 20-30 proc., przy czym najsłabiej plonuje żyto i potwierdzają to także rolnicy indywidualni. Przy tym ziarno nie jest normalnie wykształcone, a wskutek dokreśniania młocarni pękła i połowa jest jakby ześrutowana. Przedstawiciel PZZ twierdzi, że takie ziarno nie może leżeć na haldach, bo by się grzało. Po długich przetargach z PZZ ustala się, że od soboty do Cielmowa będzie się zwieźć pszenżyto, żeby chłopie nie musieli odstawić do innych województw. Chociaż tak naprawdę to nie ma z tym problemu, bo rolnicy uzyskują opłaty za własny transport.

W porządku. Byłoby tylko ludzie w mieście nie psocić na zły chleb. Ziarno jest takie, jak Bóg dał, i nie można się tłumaczyć, że deszcze lub susza winne, tylko robić dobrą makę. I żeby w województwie nie było salmonelli, bo choć z konserwami młynymi kruchło, ale te na kartki czasem leżą po trzy dni w upale i zjadają trafia. Ksawery Stępień z WZGS mówi, że nie ma strachu, bo są ludy chłodnicze, a wiceprezydent, żeby go nie rozśmieszać, bo w sklepach większych nie ma nawet starych lodówek. Wobec tego Ksawery Stępień życzy rolnikom dużo pieniędzy, żeby mogli wykupić nawozy sztuczne, bo wtedy WZGS też zarobi, a na razie to nie martwi się żniwami, tylko inwizją w kioskach. Lech Krowiranda komentuje, że wykopki to będą na innych szcze-

Jest to druga część rozdziału książki Cezarego Leżęńskiego o Stefanie Grocie-Roweckim „BEZ BULAWY”. Rozdział ten opowiada o sprawie płk. Janusza Albrechta, który wówczas był szefem sztabu KG ZWZ (AK). Rozpoznany przez rotmistrza Przemysława Deżakowskiego i wskazany gestapowcom z Kielc, został aresztowany 7 lipca 1941 roku.

Torturowany w gestapo w Kielcach nikogo nie wydał, choć różne fakty — i tak po części znane gestapowcom — musiał ujawnić. Powrócił do Warszawy, aby podjąć rozmowy ze Stefanem Grotem-Roweckim i namówić go na zawieszenie walki z Niemcami hitlerowskimi.

Tytuł części rozdziału pochodzi od redakcji.

Śluchała go dalej uważnie.

— Potrzebuję kontaktu na „Jana”. Pani mi to ułatwi. Jutro wszystko pani zrozumie. Tymczasem wracam na Noakowskiego 20. Niech pani sprowadzi tutaj żonę. Będę nocował od dziś pod własnym nazwiskiem w domu.

Nie mogła się powstrzymać.

— Wierzy pan gestapowcom?

Tak zwykle ostrożny pułkownik tym razem odpowiada z głębokim przekonaniem.

— Wierzę, obiecano mi. Przekona się pani.

Zakrzewska wyczuwa w tonie „Wojciecha” nieznane jej dotąd nuty. Stara się nie poddawać panice. Niemożliwe, by nie byli śledzeni.

Z krzesła podrywa ją ostry dzwonek z drzwi. Czuje głośny stukot serca. Jak się zachować wobec aresztowania? Co mówić? Na miękkich nogach idzie przez korytarz. Na schodach miast Niemców stoi Wacek Szuyski.

— Jest „Wojciech” — zniża głos do szepty — przyszedł wprost z kieleckiego gestapo. Czy wejdiesz, chcesz się narażać?

Przybyły patrzy ze zdumieniem. Jeszcze nie może zrozumieć.

— Wprost z gestapo? — chwilę się waha — wejdę. Jeśli śledzą, to i tak za późno, by uciec.

Zakrzewska prędko upozorowała przyjęcie. Na stole zjawia się herbata, wódka, ciasteczka, chleb, konfitury. Wszystko co było w domu. Zatelefonowała do Marii Albrechtowej.

Był przekonany, że polskiemu podziemi przynosi rozwiązanie. Czy wszyscy tak myśleli? (2)

Słowo honoru pułkownika Janusza Albrechta

CEZARY LEŻĘŃSKI

— Proszę zaraz przyjść. Spotka pani kogoś dla siebie miłego. Jednocześnie dzwoniła co chwilę do „Oskara”. On pierwszy musi się dowiedzieć o powrocie „Wojciecha”. Podjął decyzję, rozpocząć działania. „Oskara” nie było. Zbliżała się godzina polityczna. Pani Maria zabrała męża do domu na ulicę Noakowskiego. „Herminia” podbiegła do „Oskara”. Właśnie wrócił. Wysłuchał relacji. Reakcja jego była podobna jak innych.

— Zaraz tu będzie gestapo.

Ale nie było. Ani zaraz, ani w ciągu następnych dni. Inwigilacja i obstawa osób, które mogłyby być narażone na aresztowanie nie wykryły niczego podejrzanego. „Wojciech” nie zdradził, nie udzielił żadnej informacji mogącej naprowadzić Niemców na trop.

Zresztą już następny dzień potwierdził niewiarygodny wprost fakt, że Niemcy nie śledzą pułkownika „Wojciecha”. Na umówione spotkanie na Polu Mokotowskim zjawili się sam. Nikt za nim nie szedł. „Herminia” miała dobry wzrok i od dawna wyrobione wyczucie konspiracji. Pułkownik poruszył się powoli z trudem. Pojechał od razu — był torturowany. Mimo uśmiechu, z jakim ją powitał, widać było, że cierpi.

— Muszę się zobaczyć z „Janem”. Pani mi może pomóc.

Wiedziała, że nie wolno jej samej podejmować decyzji, obiecywać.

— Pana łączność została zawieszona zaraz po pana zniknięciu. Nie mam kontaktu z organizacją.

— Może pani próbować przez „dwójkę” lub kontrwywiad. Muszę koniecznie wiedzieć „Jana”. Zaraz pani wszystko wytłumaczę, aczaj swą opowieść. Śluchała uważnie notując w pamięci każdy szczegół, niemal każde słowo. Wszak będzie musiała później to wszystko przekazać, spisać.

Dnia 7 lipca, 1941 roku gdy wyszedł z ulicy Filitrowej jak zwykle zszedł na jezdnię, by przejść aleję Niepodległości na skos do ulicy Koszykowej, zauważył zajeżdżające mu drogę dwie ciężarówki — budy kryte plandeką, wypełnione gestapowcami.

W jednej z nich dostrzegł znajomego oficera z oddziału pionierów I pułku szwoleżerów, który wskazał go palcem. Budy się zatrzymały. Gestapowcy wyskoczyli i zgarnęli go do jednej z nich. Nałożono mu natychmiast kajdanki. Samochody pojechały wprost do Kielc, do tamtejszego gestapo. Nie przypuszczali, by oficer tej rangi zaangażowany w ruch oporu na wysokim szczeblu, poruszał się po mieście bez obawy. Spodziewali się, że może dojść do wymiany strzałów z ochroną.

— Czy wiedzieli biorąc pana — zapytała — że pełni pan funkcję szefa sztabu ZWZ i skąd to było im wiadome?

— Najpierw chyba nie wiedzieli. Nie podawałem im swojej funkcji. Wypierałem się wszystkiego. Nie protestowali. Przy końcu powiedzieli dokładnie kim jestem. A przecież, ten który

mnie wskazał, wydał jedynie pułkownika szwoleżerów. Gestapo ma nas rozszyfrowanych dokładnie. Oni wszystko wiedzą, a w każdym razie dużo, o wiele razy za dużo. Nie sądziłem, że aż tak głęboko sięga ich wiadomości. Rozszyfrowana jest nie tylko prawie cała Komenda Główna, wiedzą kim jest „Jan” — Stefan Rowiecki. Znają większość obsad okręgów. Nie mają tylko do nas dojścia, szukają dróg, przechwytują wszystkie informacje i kontakty, które mogą zaprowadzić ich do naszych lokalów.

— Czy pytali pana o dojścia?

— Naturalnie. Przez dwa tygodnie miałem bardzo ciężkie śledztwo. Przywiązywano mnie za nogi i ręce do ławy. Leżałem na brzuchu. Bito systematycznie po plecach od pęt do głowy. Spływał krew. Na noc stawiano ławę opierając o ścianę tak bym zwisał głową w dół. Krew napływała do głowy, oczy zapuchły, traciłem przytomność. Co noc wisiałem głową w dół, w dzień przesłuchiowano mnie i bito. Plecy, nogi i pięty stały się jedną krwawą, później ropiejącą raną. Koszula tworzyła na ranie ostrą, dokuczliwą skorupę. To był okres śledztwa, kiedy chodziło im o dojście do organizacji. Nie, tych nie wydałem. Nie mieliście chyba w tym czasie, ani potem, żadnych wysp z racji mego aresztowania. Kłopotów z ludźmi czy lokalami?

— „Herminia” skłinała głowę.

— Nie — potwierdziła — żaden z lokalów, które pan znał, nie został „spalony”. Nie było żadnych wpadek ani zagrożeń.

Wyraźnie poweselał. Czuł się coraz pewniej.

— No więc, po jakimś czasie — mówił dalej — prawdopodobnie zorientowali się w mojej funkcji. Przerwano bicie. Poczułem ulgę, kiedy mój dozorca zmienił sztywną od krwi i ropy koszulę na czystą. Po paru dniach spokoju oddano mi moją obręczkę. Zaczęłem poruszać się, chociaż z trudem, po celi. Wtedy znowu wzięto mnie na śledztwo. Przygotowany byłem na najgorsze. Zmieniła się ekipa śledczych, zmienili się metody. Operowali dokumentami. Przyniesiono roczniki oficerskie. Wertowano rocznik po roczniku, przepyttywano mnie o oficerów znajdujących się w kraju. Przeważnie milczałem. Wtedy nazwisko po nazwisku wymieniano oficerów bezbłędnie, kto jest w niemieckiej niewoli, a kto został w kraju i jaką pełnił funkcję w organizacji. Rozmowa toczyła się raczej jednostronnie. Pozostawiono mi rolę słuchacza i tylko od czasu do czasu ostro żądali po-

twierdzenia. Byłem przerażony dokładnym rozpracowaniem podziemia, brakowało jedynie nazwisk, pod którymi się ukrywali i kontaktów. Byłem nierzaz zmuszony przyznać się do dobrego znajomego lub udzielić informacji ogólnych o organizacji. Odbelegały one oczywiście od prawdy, dawały mylne rozeznanie. Zbyt dobrze byli zorientowani w sprawach personalnych, by pozwolić mi wszystkim zaprzeczać, udawać, że nie i nikogo nie znam, czy nie pamiętam. Ograniczyłem się wyłączenie, gdy już musiałem, do godzenia się, potwierdzania ich wiadomości. Nawet i tutaj starałem się sprowadzać rozmówców na manowce. Kłopotów ze mną mieliście sporo, wiem, ale wspaniale, że mimo to nie mieliście i mieć nie będziecie.

„Herminia” przytaknęła. Szli Polem Mokotowskim wśród echa-

szczy, nielicznie rozrzuconych drzew. Cały czas uważnie lustro-

wała teren, ale niczego podejrzanego nie dostrzegła. Rzecz

jasna poza obstawą przysłała przez „Oskara”.

„Wojciech” mówił dalej,

— Zmieniła się znowu ekipa przesłuchujących.

Rozmowy szły na tematy praktyczne — układy sił

i perspektywy toczącej się wojny.

Spojrzała na niego z zacięciem. To było coś

nowego.

— W tym czasie byłem częściej zostawiany samemu sobie. Miałem czas, by przemyśleć kampanię wrześniową, wkroczenie 17

września na terytorium Polski radzieckiego sąsiada. Stąd

wówczas przede mną w całej jaskrawości koncepcja dwóch

wrogich sił, dwóch odwiecznych wrogów. Począłem myśleć

o planie wymianowrota sprawy polskiej z rąk obu sąsiadów:

pozorne zawieszenie broni z Niemcami, pozorne przerwanie

wszelkich akcji sabotażowych na terenie kraju, pozorne roz-

konspirowanie się i ujawnienie części zdekonspirowanej przez

wywiad niemiecki ZWZ, przy zachowaniu oczywiście większej

części walczącego podziemia, tylko głębiej i lepiej zakonspirowanego.

Przerwał na chwilę. Zamyślił się i znowu podjął.

— To taktyka Pilsudskiego z czasów I wojny światowej. Tylko

obecnie w innych warunkach politycznych i zewnętrznych

zmieniona, przetworzona. Moglibyśmy wiele zyskać, ustali-

prześledzenia ludności polskiej na okupowanych terenach, aresztowania działaczy podziemia, nastąpiłaby likwidacja obozów za-

glady, wreszcie scalenie naszego kraju.

Chciała coś powiedzieć, ale zapatrzyła w swoją wizję nie do-

puścił jej do głosu. Szedł przez Pole Mokotowskie jakby uśpi-

ły wszelkie dolegliwości związane z torturami.

I mówił:

— Krążyłem po celi, przemierzając ją wzdłuż i wszerz, i my-

ślałem, myślałem... Potem przyszły następne rozmowy. Przyje-

chała ekipa wyższych wojskowych z Berlina. Rozmowy toczyły

się w atmosferze rzeczowych rozważań koncepcji przyszłego

partnerstwa stron. Decyzję ostateczną usależniłem od kome-

danta „Jana”.

— I tak pana puścili? Bez żadnych gwarancji?

— Nie rozumiem. Gwarancją było moje oficerskie słowo ho-

noru, że nie ucieknę, lecz do końca wypełnię swoją misję. W

zamian Niemcy gwarantowali, że zostaną zwolniony z gestapo

niemieckiego bez obowiązku współpracy na przyszłość. Zapewni-

li także, że nie będę śledzony przez gestapowców w czasie na-

wijazywania kontaktów z ZWZ. Z odpowiedzi mam się zgło-

sić w Falenicy 16 września.

Relacja ta dla „Herminii” była podwójnie wstrząsa-

jąca. Raz z powodu cierpień i tortur, jakich doznał

pułkownik, dwa, co jeszcze gorsze, że mógł myśleć

o porozumieniu czy zawieszeniu broni z tak znie-

nawidzonym okupantem.

Zdecydowanie sprzeciwiła się.

— Nie umie pani myśleć politycznie — odparł spokojnie —

historia się toczy, sytuacja się zmienia, szybciej niż nasze u-

czucia. Zresztą nie rozszyfruje się wobec Niemców całego po-

dzienia. Oni traktują nasze osiągnięcia w kraju bardzo poważ-

nie. Możemy wytargować ulgi dla ludności, zachować życie wie-

lu Polaków, nawiązać w tym czasie perspektywiczne porozu-

mienie z Czechami, Węgrami, układać przyszłą mapę Europy i

diabli wiedzą co jeszcze.

Wierzyła w jego uczciwość, szlachetność i bezinteresowne inten-

cje, ale nie wierzyła Niemcom. Ciągłe podejrzliwość, że są śle-

dzeni, będą aresztowani. Chciała dowiedzieć się, kto był przez

Niemców wymieniony z roczników oficerskich i kto go zdra-

dził. A przede wszystkim proponowała ucieczkę.

Tutaj „Wojciech” był twardy.

— Mam do pani pełne zaufanie, jako do żołnierza ZWZ,

jednakże jest pan kobietą, a to są sprawy ściśle oficerskie,

mojego pułku. Co do ucieczki, wyjazdu, to w ogóle w grę nie

wchodzi. Nie łamię się danego słowa, a tym bardziej oficerskie-

go. Nieważne komu się daje słowo, tylko kto daje.

— A jeśli generał nie zgodzi się?

— Trudno. Bez względu na wynik rozmów z „Janem” muszę odpowiedzieć Niemcom do Falenicy osobiście. Taką zawarliśmy umowę. Innej alternatywy nie ma. Jedynie śmierć może usprawiedliwić niedotrzymanie słowa honoru. I to jest też honorowe wyjście.

„Herminia” pojęła, że dalsza dyskusja jest bezcelowa i bezskuteczna. Jedno było pewne, stanowisko i poglądy „Wojciecha” trzeba było natychmiast przekazać generałowi „Grotowi”. On jeden mógł podjąć decyzję.

W tym czasie zaczęła się toczyć swoim normalnym biegiem. Informacje uzyskane od pułkownika „Wojciecha” przekazuje „Grzegorzowi” — Pelczyńskiemu, spotyka się także z „Oskarem”. Płyną dni, a odpowiedź nie ma. Albrecht siedzi w domu, gra na fortepianie, dyskutuje z rodziną i znajomymi, ale stopniowo traci pewność siebie, która go cechowała w pierwszych rozmowach. Teraz orientuje się, ku jakiemu końcowi zmierza sprawa.

Tym bardziej, że dni mijają i rozpoczyna się wrzesień. Już tylko dni dzielą pułkownika od wyznaczonego przez Niemców spotkania w Falenicy. Kiedy zdaje się, że nikt nie da odpowiedzi, że sprawa „Wojciecha” zostanie pokryta milczeniem władz ZWZ, przechodzi od „Herminii” wiadomość.

— W lokalu przy ulicy Nowogrodzkiej u „Babel” ma odbyć się spotkanie „Wojciecha” z „Grzegorzem”. Proszę zorganizować doprowadzenie pułkownika. Obstawa jak zwykle.

Spotkała się z nim w cukierni „Stylowa” na rogu Marszałkowskiej i Wilczej. Po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny pokazał się jawnie w miejscu publicznym. Chyba miał to być jego własny sprawdzian, czy Niemcy dotrzymują przyrzeczeń. Aż do lokalu przy ulicy Nowogrodzkiej prowadzono ich pod dyskretną obstawą.

Wszystko szło jak było umówione, tylko w bramie domu pierwsza zmiana planu. Zamiast pistoletu dla „Grzegorza”, garść trutek.

— Może to i lepiej — pomyślała „Herminia” — pistolet w razie otoczenia przez gestapo nie gwarantował bezpieczeństwa. Trucizna była lepsza — śmierć szybka i pewna.

Wkrótce nadszedł „Grzegorz”. Wszedł do pokoju. „Wojciech” stał przy oknie. Patrzył zaczepnie, wyczekująco.

— No, jak się przywitamy?

— O tak, kochany — odparł „Grzegorz” i otworzył szeroko ramiona. Uściskali się serdecznie.

— Pani zaczeka obok, aż zapukamy w ścianę — polecił Pelczyński.

Po godzinie zapukali. „Herminia” weszła do pokoju. Obaj pułkownicy siedzieli obok siebie na kanapie i rozmawiali jak dwaj starzy przyjaciele, którymi de facto byli.

— Zostaniemy tu jeszcze trochę — zdecydował „Grzegorz” — proszę już iść. Drzwi zatrzaskujemy za sobą.

Nazajutrz spotkała się z „Wojciechem”. Ze spotkania raczej był zadowolony, szczególnie z serdeczności kolegi. Proponował mu przerzut do Anglii. Oczywiście nie przystał na to. Otrzymał list, niezobowiązującą obietnicę spotkania z „Grotiem”. Co do swej misji, rzecz jasna, nie dogażał się z „Grzegorzem”. Był nastawiony raczej sceptycznie.

— Wątpię, żebym zdołał przekonać „Jana”, jeśli nie mogę przekonać ani żony, ani najbliższej łączniczki o politycznej słuszności mojej koncepcji.

„Herminia” teraz straciła zupełnie nadzieję na pozytywne załatwienie sprawy pułkownika Janusza Albrechta, a tym bardziej na wyznaczenie mu spotkania z generałem „Grotiem”. Tym niespodziewanie spadła na nią wiadomość nagle przekazana przez podporucznika „Oskara”.

— Jutro rano o dziewiątej przyprowadzi pani „Wojciecha” na spotkanie z „Janem”.

Spojrzała na niego oszłomiona, nie dowierzając.

— Czy mam go dzisiaj zawiadomić?

— Nie. Dopiero jutro rano na godzinę przed terminem.

— Jutro... — zdumiała się, ale od razu umilkła. Nie dowierzała. Zresztą i ona sama była przekonana, że za kolejnym rogiem, na schodach, czy na miejscu spotkania jąda chwila zjawia się Niemcy.

— Tak — potwierdził porucznik — spotkacie się na placu Starynkiewicza. Dalszą marszrutę podam pani dokładnie — rozejrzyj się wokoło — za chwilę.

— Proponuję „Prudential” — powiedziała — doktor Karnibad bywa tam teraz rzadko.

Spodobało się to „Oskarowi”. W gabinecie stomatologicznym. Od razu zaczął kreślić plan ulic, którymi przejdą następnego dnia. Z placu Starynkiewicza pieszko Nowogrodzką do Marszałkowskiej, potem tramwajem do placu Zbawiciela, przesiąść się w kierunku alei Niepodległości. Przy pomniku Sapera znowu zmienić tramwaj i dojechać do placu Narutowicza. Tam będą dalsze instrukcje.

„Herminia” potakuje, ale jest pełna niepokoju o los szefa. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by stwierdzić, że waży się los „Wojciecha” a wynik jest watpliwy.

Mimo nocnej gorączki, zawrotów głowy, następnego dnia zawiadania pułkownika. Spotkanie na placu Starynkiewicza i kluczenie po Warszawie nie nastrojały „Wojciecha” zbyt optymistycznie. „Herminia” jest również podenerwowana. Widzi idącą z nimi obstawę. Teraz nie boi się Niemców. Największym wrogiem jej szefa jest on sam.

Prowadząc przyciszoną rozmowę jeszcze raz usiłuje namówić go na ucieczkę. Zdecydowanie, z odrobiną zdenerwowania w głosie odmawia.

— Muszę wypić swój kielich goryczy do dna.

— Zbyt mało ceni pan swoje życie — replikuje.

— Aż przystanął.

— Wcale nie ma, powiedziałbym, że bardzo wysoko, ale honor bardziej.

Szli dalej w milczeniu z obstawą pomykającą bokami. Pułkownik zamyślony zdawał się nic nie dostrzegać. Widać było, że waży coś w sobie, a zapytał.

— Czy pani wie coś więcej niż to, że idziemy do „Jana”?

— Nie — odrzekła smutno — nie ponadto, ale mam też prze-

czucia.

Nie zachnął się, nie speszył. Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

— Trudno, chyba mnie pani już trochę zna. Muszę być so-

bie wierny.

Na placu Narutowicza, na przystanku „Herminia” dostrzegła

czekającą łączniczkę generała — Jadwigę Piekarską „Basie”.

Jest zaskoczona widokiem „Wojciecha”. Zapowiedziała jej, że

ma coś odebrać od koleżanki i dostarczyć do lokalu „Jana”

przy ulicy Świętokrzyskiej 23. Nie spodziewała się ujrzeć puł-

ownika, którego wszyscy uważali już za straconego.

Tu kończyło się zadanie „Herminii” i fakt ten nie wróżył nic

dobrego. Mimo to starała się przybrać uśmiech na twarzy i

pozdrowy, wręcz żartobliwy ton.

— Widzisz „Basiu”, jakiego powierzam ci „Wojciecha”. Zdro-

wego, ślicznego. Takiego mi zwroć.

— Otrzymaś swego szefa z powrotem — „Basia” pojęła żart

— naturalnie, nie miej obaw.

„Wojciech” również uśmiechnął się do „Herminii”.

— Proszę koniecznie dziś wieczór do mnie zadzwonić.

Nadjechał tramwaj. „Basia” wskoczyła pierwsza. Za nią puł-

kownik. Jeszcze z pomostu popatrzył. Był uśmiechnięty, spo-

kojny.

Takim go miała zapamiętać.

C.D.N



wać z radością, że są jeszcze dobrzy ludzie w czasach, gdy każdy chciałby lepiej żyć, ale nie ma zamiaru lepszemu być. Nawet zwierzęta chłamię. Rankiem tego dnia na łące za miastem byk zaatakował samolot agrotechniczny. Coś się popsuło w maszynie i pilot wyładował na ogromnej łące, z dala zresztą od pasącego się stada krów. Nie przypominam sobie, abym gdzieś słyszał o szarzy byka na samolot. Czyżby i on przeżywał frustrację z powodu cywilizacji? Choć najpewniej chciał unicestwić rywal, zagrażającego jego pozycji w stadzie i mogącego zjeść wszystką trawę.

Nie żałuję się nawet przebrać, prawie natychmiast ogłoszono podstąpienie pociągu. Parasole w poczekalni niby oburzyły niepotrzebnie zagradzając mokrymi skrzydłami przejścia między ławkami. Dworzec o tej godzinie był cichy i smutny jak cmentarz. Zmęczone i senne twarze mieli ludzie jadący do Moskwy przede wszystkim na zakupy. Kiedyś, na odwrót, stolica jeździła tutaj po zakupy, gdyż żywność na prowincji była dużo tańsza, tu ona rosła na polach, w chlewach i oborach. Teraz o zaopatrzeniu decyduje rozdzielnik, a według niego stolicy należy się najwięcej.

— Do diabła! — Moje przemoczone buty całkiem się rozkleiły, chyba nie wytrzymały do Łodzi, gdzie leży zapasowa para. Zaglądam do walizy. Gazety z publikacjami łódzkich autorów namokły jak gąbka. Co ja teraz powiem ludziom? Mogą się obrazić, że wręczam im pomarszczone egzemplarze, jeszcze pomyślą, że lekceważę ich. Dlatego publicznie przysięgam, to była Istna Niagara, w walizce zapinanej na ekspres wszystko było wilgotne, nie miałem się nawet w co przebrać.

2.

Rozmowy w wagonie kręca się wokół jednego tematu — XIX Konferencji Partyniej KPZR. Trąba powietrzna nikogo nie interesuje, nawet gdyby okazała się tak tragiczna, jak ta sprzed trzech lat. Katakizmy przyrody — to blachostka w porównaniu z „być albo nie być”, o czym zadecyduje konferencja. W telewizji od rana do wieczora trwają zawiązanie spory i dyskusje o kształcie przyszłości. Przyszłość niepokoi bardziej i bardziej porusza ludzi niż analiza popełnionych błędów i odpowiedzialność za zastoje. Na „jutro” ważniejsze od demaskatorskich obrazków z życia byłych prominentów są reakcje na przestępstwa, jakich dopuszczono się w aparacie władzy wobec całego narodu, deklarując wzrost gospodarczy nie mający pokrycia w rzeczywistości. Stosunek do tych spraw świadczy o ogromnych zmianach w mentalności społeczeństwa radzieckiego. Oczywiście, wcale nie mało jest jeszcze tych, którzy uważają, iż głosne „pranie brudów” jest kompromitacją idei, więc lepiej zrobić wszystko po cichu, ukryć naga prawdę przed światem. Na szczęście, są w mniejszości. Większość nie uitożsamia ideał socjalizmu z okresem zamordyzmu i teokracji i gotowa jest iść na świętą wojnę z obrońcami starych „zasad”. Ta wojna dopiero się zaczęła i łatwa bynajmniej nie będzie. To jest 18 mln ludzi z aparatu administracyjnego, którzy przez dziesięciolecia posiadali nieograniczoną władzę, decydowali o wszystkim, więc jasne jest, że nie od razu dadzą wyrwać ją sobie z rąk, nie raz będą próbowali torpedować zmiany. Nie trudno się domyślić, że przeciwnikiem demokracji i przejęcia władzy, zgodnie z ideą socjalizmu, przez organa wybieralne jest również etatowy zasiedziały od lat, aparat partyjny. Oprócz satysfakcji ze swojej roli i znaczenia, korzystał on także z różnych niezasłużonych przywilejów, a tego się łatwo nie wyrzeka. Powrót do leninowskiej zasady — „cała władza w ręce rad” — będzie więc trudny i chyba dość długi. Początek jest jednak bardzo obiecujący.

Przysłuchuję się rozmowom w wagonie. Dużo w nich gorczy, żalu i pretensji do samych siebie, że przecież można było dużo wcześniej krzyknąć głośno o fałszu i demagogii płynącej z trybun, że przecież wszystkim nie zamknęto by ust, że nasza zemsta może wyżyć pół Europy, a my tymczasem importujemy zboże... Dużo też gorczy. Ale teraz, wypowiadania publicznie, daje gwarancję, że nie ma odwrótu od pierestrojki, że jednak będzie lepiej niż jest. Strach przed władzą, która wszystko może „bo jest władza” znika, wyparował ze świadomości ludzi, jakby go tam nigdy nie było. Jedynie, co mnie niepokoi, to naiwna wiara, że jeśli Moskwa, „góra” zadeklarowała pierestrojkę, to jakby bez udziału „dółów” musi się udać. Niestety, stare kadry nie potrafią chyba przeistoczyć się na nowe myślenie, a wymiana ich na młodsze musi potrwać i być wsparta wolą i aktywnością polityczną mas ludzkich. Rosłanie jako naród są silni, jako obywatele swego państwa okazali się słabi. Zbyt późno zaczynają rozumieć, że nawet Wielkie Prawdy mogą się stać własnym przeciwieństwem, jeśli służą wyłącznie ich głosićciom.

W wagonie rozgorzał spór, co jest lepsze (gorsze?) — niewiedza czy wiedza fałszywa lub niepełna? Nie włączam się do niego. Sądzę, że jest to spór scholastyczny. Jestem szczęśliwy już z samego faktu, że jadę. Z takich miast jak Iwanowo, oddalonych od stolicy zaledwie o trzysta kilkadziesiąt kilometrów codziennie wyruszają tysiące ludzi, a jednym ich celem są zakupy. Poranne pociągi wyrzucają z siebie ogromną szarą niewyspaną masę, która momentalnie rozbiega się po sklepach, by wrócić pod wieczór na dworzec i jechać z pełnymi tobołami z nowotem. Jak się tak patrzy na te tysiące obudzonych stworzeń, ogarnia człowieka przeżenie. Czy przeniesienie istoty ludzkiej jest jedynie troską o pełny brzuch i odzież na grzbiecie? A reszta? Cała kultura i sztuka? Są zależne od brucha i tachów? Jeśli tak, to nie dziwnego, że w okresach dużego deficytu dóbr materialnych poziom kulturalny społeczeństw gwałtownie spada. Zaprzeczenie takiego rozumowania była wojna. A więc nie zawsze człowiek umiera się jedynie za materia, nie zawsze byt określa świadomość. Jest coś, co wyzwała duch ludzki z pęt materii.

3.

O 10 rano jestem już na Dworcu Białoruskim, skąd odchodzi pociąg do Pragi przez Łódź. La-

duje багаż do automatu i jadę do Związku Literatów. Jest upalnie i duszno. W taką pogodę zaczynam doceniać metro — w upały jest w nim chłodno, w mrozy — ciepło. W stołowie Związku Literatów spotykam Baldana Jabżanowa, znanego prozaika z Ulan-Ude, stolicy Buriato-Mongolii. Baldan uciekł do Moskwy przed miejscowymi kacykami, którzy nie tolerowali żadnej krytyki i zatrzymywali druk jego powieści i opowiadań. Teraz jeździ do siebie, nad Bajkał, tylko na urlop, za to do niego, do Moskwy co i rusz przyjeżdżają Buriaci i proszą o pomoc w sprawach, których z miejscowymi biurokratami nie potrafią załatwić. Po całych dniach razem z nimi szuka sprawiedliwości w redakcjach gazet, w Prezydium Rady Najwyższej lub w ministerstwach. Zaprzyjaźniłem się z Jabżanowem w Domu Pracy Twórczej w Golicynie pod Moskwą. Jest wielkim miłośnikiem i znawcą przyrody, jej obrońcą. Jego dziadek był znanym w Buriato-Mongolii lama, szamanem. Baldan potrafi wymienić dziesiątki mongolskich ziół leczniczych zupełnie nieznanych w Europie. Dziadek zmarł śmiercią naturalną, lecz duch jego niepokoił żywych ciałami wizerunkami, które ustąpiły dopiero wtedy, gdy ciało jego wydobyto z grobu i spalono. Mistycyzm Baldana bardzo wyraziście ujawniał się we wszystkich rozmowach o śmierci, o historycznej pamięci pokoleń, o atawizmie przodków, o medycynie tybetańskiej. Jesienią odwiedzę go, będziemy razem szukać na zboczach gór żeńszenu, „korzenia życia” i kapać się w górskich górskich źródłach. O ile oczywiście wdrapie się tak wysoko.

Trzęsienie nieba i ziemi

4.

Do odejścia mojego pociągu pozostaje jeszcze ok. 10 godzin, jadę z Jabżanowem do Golicyny, ukryć się od splekty wśród ciszy i zieleni. Jabżanow od paru miesięcy siedzi w Golicynie kamieniem, pisze książkę o medycynie tybetańskiej. Twierdzi, że najbardziej tajemne dla nas metody leczenia stosowane są już od 3 tysięcy lat. Przeczytał mi parę fragmentów książki. Coś wspaniałego! Pokazał również panoramę z lotu ptaka doliny, w której się urodził. Wokół wysokie góry, pokryte wiecznym śniegiem, a wśród bujnej zieleni doliny stoją gromady osmiokątnych jurt zbudowanych z górskich sosny. Wojłokowych jurt już dawno nie ma, Buriaci od pokoleń są ludem osiadłym, z tradycyjnej jurt została tylko nazwa i osmiokątny, okrągły kształt. Jabżanow mówi, że ta dolina była niegdyś bastionem nie do zdobycia. Mongołom Dżyngis-chana nigdy nie udało się zapanować nad Buriatami bez reszty. Podanie ludowe głosi, że mieszkający tej doliny wciągnęli Mongołów w zasadzkę i co do jednego wybili, strzelając ze zboczy z luków o wyjątkowo dalekim zasięgu. Ich konstrukcja stanowiła tajemnicę państwową. Jak to się dziś określa. Będąc przez wieki ludem koczowniczym Buriaci do dziś odczuwają bardzo silne więzi z przyrodą, wciąż pozostają dziećmi natury, animizacja drzew, ziemi, kamieni, traw, skał jest wśród nich powszechna. Twierdzą, że kto nie czuje duszy przyrody, jej serca, jej oddechu, jej dobroci i surowej sprawiedliwości sam jest martwy. Taka jednostka człowieka i przyrody mnie również jest bliska. Nie ma w tym nic mistycznego, to tylko wiedza i wieloletkowe doświadczenie każą kochać i szanować naturę, jak siebie samego.

5.

Baldan opowiada, jak to jego dziadek-szaman uratował od śmierci syna zstanej tam Polki, która wyszła za mąż za miejscowego. Lekarz, Polak-ześlaniec, ratował chore na gruźlicę dziecko, czym tylko mógł, lecz chłopiec dośownie niki w oczach. Zdesperowana matka zwróciła się o pomoc do cieszącego się największym autorytetem szamana. Jak wyglądała audyencja i o czym mówiono, tego nikt nie wie, matka wyznała jedynie, że szaman polecił jej modlić się do gospodarza tajgi, Boga-Niedźwiedzia. Przez całą noc kleczała w jurcie przed wypchanym niedźwiedziem, prosząc Pra-Matkę Niedźwiedzie o ratunek, o życie dla syna. O świcie otrzymała następne polecenie. Ma iść sama w głąb tajgi, odnaleźć leżącego niedźwiedzia i poprosić go o sople — zastęgi parę jego oddechu. Było to przedwiecznie przedwieczne. Mróz nieco już zelżał, ale w nocy wciąż jeszcze twardo skrzypiał pod nogami. Przez cały dzień, nie zatrzymując się na chwilę odpoczynku, matka szukała w lesie kryjówek niedźwiedzia i dopiero pod wieczór natknęła się na legowisko. Z ciemnego otworu w pokrytej śnieżną wydybowała się para, a z galezi nad nim zwisała kilka długich złotych sopli. Odstąpiła i włożyła do skórzanego torby przewieszanej przez głowę, lecz w tym momencie śnieg po jej stopach zapadł się i kobieta osunęła się prosto w głąb wielkiej nory. Obudzona niedźwiedzia stanęła na tylnych łapach i zaryczała groźnie, zakrywając swym ciałem mniejszego niedźwiedzia. Kobieta zaczęła szeptać modlitwę, której nauczył ją szaman:

— Ty jesteś matką i ja jestem matką. Daj mi choć trochę swego oddechu, ratuj mego syna... daj mi... — ze strachu straciła przytomność. Ocknęła się z dala od nory, tam gdzie las się już kończył. Skórzaną torbę wisiła na jej szyi. Matka wróciła do domu, roztopiła sople i podawała chłopcu po jednej kropelki dziennie. Płynny oddech niedźwiedzia dokonał cudu, latem po gruźlicę nie było już śladu.

Z niedowierzaniem wysłuchałem tej pięknej bajki.

— To nie bajka — Baldana zdenerwował mój sceptycyzm. — Niedźwiedź nie znoś trupów. Zemdlałą kobietę wyrzucił ze swej nory i wyniósł ją z tajgi, swego domu. Może tym tłumaczy się wiara szamanów w silną vitalną niedźwiedzi. Cuda też żadnego nie było. Niedźwiedź karmi się całą masą leczniczych traw, jego or-

ganizm wytwarza z tej mieszanki antybakteryjne substancje. Nawet sadio niedźwiedzia leczy otwarte rany, dlatego więc trudno ci uwierzyć, że jego oddech zakrzepił w łód może mieć lecznicze właściwości? Ułubionym jego jadłem jest miód dzikich pszczoł, a miód jako lekarstwo używany jest również w Europie. A dlaczego z całej krowy lub lani niedźwiedź zjada tylko wymię? Dlaczego ciągnie go spirytus mrówczy i nie przepuści żadnemu mrówisku?

Tajga to laboratorium farmaceutyczne. Tam są wszystkie lekarstwa w chemicznie czystej postaci, trzeba tylko umieć z nich korzystać. Lecznicze właściwości mrówek nie są jeszcze do końca zbadane, ale już się je bada. Medycyna tybetańska potrafi skutecznie leczyć przeróżne choroby, nawet raka, lecz wszystkie środki lecznicze objęte są tajemnicą lekarską i lekarz-lama, jeśli nikogo ze swych uczniów nie obdarzy zaufaniem, unosi ją z sobą do grobu. Europa zbyt późno zainteresowała się tą medycyną, przyjeżdżających Tybetańczyków ogłaszano za szarlatanów, tak niezwykle były ich metody terapeutyczne. To, co do tej pory zostało opublikować, zostało napisane przez samych Europejczyków i właściwie lecznicze sekrety Tybetu pozostają nieodgadnione.

6.

To, czego uczy pamięć i tak z czasem uchodzi w niepamięć. Przyczyny zniknięcia całych wielkich cywilizacji nie potrafimy wiarygodnie wyjaśnić, mimo wszelakich rewolucji naukowo-technicznych. Jabżanow mówi, że przyczyny

ci wszyscy kłębacy się na dworcu ludzie też mają jakieś swoje ważne sprawy, nikt dla przyjemności nie stoi po całych dniach i nocach u kas biletowych. Machnąłem na wszystko ręką i wróciłem do Golicyny.

Domy pracy twórczej mają tę ogromną zaletę, że są zwykle usytuowane w ciszy leśnej, nad jakąś rzeczką, mają dobry dojazd do ośrodków miejskich, dobre karmia, lekarz na wszelki wypadek jest na miejscu i gwarantują każdemu oddzielny pokój. Jedyny ich mankament — to brak własnej biblioteki za plecami, a książki, jak wiadomo, są ciężkie i dużo ich zabrać nie można. Tak, trzeci rok gwałtownie następujących zmian daje już pierwsze owoce. Zniknęło uczucie, że jest się malutkim, nie nie znaczącym detałem w trybach wielkiej maszyny państwowej. Wyjątkowe zasługi ma na tym polu prasa, publicystyka, literatura.

8.

Autorytet pisarza znów rośnie. Szczególnie na prowincji, gdzie hasła równości i demokracji, choć przez lata głoszone, nikt nie mogą się doczekać realizacji. Środowisko literackie poza stolicą i Leningradem cierpi ciągle na brak samodzielności wydawniczej, brak czasopism literackich. Wydawnictw pozastolecznych jest mało, otrzymują niewiele papieru z rozdzielnika Goskomizdat (Państwowy Komitet ds. Wydawnictw) planuje ilość wydania książek. Biurokracja centralna w dziedzinie literatury trzyma się jeszcze mocno. Oczywiście, gdzie oni się biedni podzięją, ci wszyscy urzędnicy od literatury. Większość nie osiągnęła jeszcze wieku emerytalnego. Myślę, że literaci nie są wyjątkiem. A liczyć na M. Gorbaczowa byłoby wstyd, tej rangi sprawy musimy załatwić sami.

Najtrudniej jest zmienić mentalność ludzi. Krytykować, żądać zmian potrafi każdy, ale tylko do chwili, gdy nie zagraża to jego małej stabilizacji i rutynie. Nie daj Bóg naruszyć spokój prowincjonalnego towarzystwa wzajemnej adoracji. Zaraz idą w obieg oskarżenia o antysocjalistyczne postawy, o burżuazyjny element, o dysydentyzm i temu podobne bzdury. Takie telefonów odebrano w naszym zarządzie Oddziału Związku Literatów po mojej publicznej krytyce, no czego? ustroju? partii? KC? Nie... Skrytykowałem, brud i chamstwo panujące w miejscowych barach, a także idiotyczny zwyczaj zamykania ich między 13,00 a 14,00 na... przerwie obiadową dla personelu. Stosunek obsługi do gości wyraża się jednym słowem: „parazit” (paszyty), którym to słowem obsługa nieraz gości częstuje. Nie wiem, być może bary są deficytowe i każdemu, kto z nich korzysta jadło powinno w gardle stawać z poczucia winy?

Czego oczekuje przeciętny czytelnik od pisarza? Nietrudno zgadnąć. Na spotkaniach autorskich powtarzają się pytania:

— Czy na pan w swoim dorobku coś takiego jak „Dzieci Arbatu” A. Rybakowa, „Białe szaty” M. Dudincewa, „Zubr” D. Granina lub „Doktor Żygułowa” B. Pasternaka?

Gdy pada odpowiedź przecząca, miny słuchaczy wyrażają nieme zdziwienie:

— To co pan pisze? Panegiriki?

Śmieszne w swej istocie „albo-albo” jest dość znamienne dla naszych czasów. Na dziś — to jest dobre, zmusza literatów do zajęcia zdecydowanego stanowiska, do zaspokojenia potrzeb i oczekiwań. Myślę, że literatura rozrachunkowa przyniesie jeszcze wiele cennych i wartościowych książek. Lecz jest w tym wszystkim dziwna jednokierunkowość. To samo audytorium, które domaga się utworów na miarę „Dzieci Arbatu”, po wysłuchaniu szeregu wierszy obnażających mieszczańską mentalność szarego zjadacza chleba, jego obojętność na wynaturzenia, zwykłe chamstwo, pazerność itp. obraża się okropnie i zarzuca autorowi „antyradzieckość”.

czyna się dowodzenie, że każdy z nich nie czym się nie różni od innych, że żyje też nie gorzej od innych, pracuje nie gorzej, a przecież cały naród z samej swej istoty nie może być zły, że autor za dużo wymaga... A więc brakuje jeszcze samowiedzy, samokrytycyzmu, głębokiej analizy tego, co się staje. Tylko „oni” są winni, „my” jesteśmy w porządku — twierdzi sala. Prawie każde spotkanie z czytelnikami — to niemal wiec, z wieloma mówcami, gdzie twórczość autora służy tylko za pretekst do burzliwej dyskusji. Pożytek z niej mają obie strony. W ciekawych czasach żyjemy.

WASYL KOCZNOW



Półtora roku minęło, a każdy z Janczaków pamięta tę noc, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Najdalej, bo w Łodzi, był wtedy Jerzy, ale on właśnie dowiedział się o wypadku najszybciej; poczuł nagle we śnie, jak mu w rekawach krew strumieniem płynie. Obudził się, przerażony, a w krótki czas potem zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos Sławka:

— Nie ma już — usłyszał — Rysia żywego. Za 1 go na szosie.

Rysiu, siedemnastolatek, był jednym z sześciu braci, synów Genowefy. Przedostatni z rodzeństwa, nie zdążył zakosztować dorosłego życia. Ledwie w nim pierwsza nieśmiała kroki postawił. Ukończył podstawówkę, w świat nie wybierał się, chciał zwyczajnie — pomagać w gospodarstwie. Dopiero od roku chodził po zabawkach, zdążył być na pierwszym weselu. Spokojny, usłuchany — takim go zapamiętała matka.

20 kwietnia 1987 r. (było to akurat w święta Wielkiej Nocy) wybrał się Rysiu na zabawę do Skotnika, kilka kilometrów od rodzinnych Małachowic. Zabawa, jak to na wsi — w strażackiej remizie, ostro podlewana alkoholem, z obowiązkową awanturą na finał. Coś około północy towarzystwo zaczęło się rozchodzić, a właściwie rozjeżdżać. Rysiu nie wsiadł do żadnego z aut, wołał wracać samotnie, pieszo. Może nie bawił się w remizie zbyt dobrze, może ciągnęło go do domu — dość, że znalazł się na szosie przed innymi.

Siedzi prawą stroną. Na prostej drodze, 300 metrów od domu, doścignął go samochód. Do dziś nie wiadomo — jaki, ale we wsi mówią: biały „Polonez”. Kierowca pewnie nie zauważył chłopca, może przez nieuwagę, ale najpewniej dlatego, że szumiały mu w głowie promile. Kto to był — nie wiadomo, ale wszyscy mówią: młody Drozdowski z Bykówek. Nikt inny, tylko on, a z nim jeszcze pięć osób, upakowanych jak sardynki w „Polonezie”, pijanych w sztok. Nie wiadomo na pewno, czy był to biały „Polonez”, ale kilka osób we wsi coś tam widziało lub słyszało, a wszyscy mówią: na pewno.

Dalsze fakty są jednak, mimo wszystko, dużo pewniejsze.

Rysiu znaleziony został na środku szosy. Miał rozległe obrażenia głowy, klatki piersiowej, narządów wewnętrznych. Nie żył. W odległości 33 metrów od ciała leżał w polu but, a po przeciwnej stronie szosy — drugi. Na jezdni i na poboczu bieleły się odpryski lakieru. Był także ślad jakiejś tłustej substancji, zapewne wyciek z miski olejowej.

Leżącego na drodze Rysia zauważyła „Nyska”, ciągnąca za sobą na holu zepsuta „Dacia”. W obu pojazdach siedzieli abawowicze. Zeznali oni później, iż w czasie jazdy wyprzedzili ich z dużą szybkością trzy samochody, w następującej kolejności: „Żuk” z planieka, „Polonez” koloru brązowego lub jasnego oraz biały „Fiat 126p”.

Milicja zdołała ustalić, iż „Żuka” prowadziła Lucyna Parys, mająca za pasażera swego konkubenta. Wrócili — jak wszyscy — z remizy. Lucyna Parys potwierdziła milicjantom, że wyprzedziła „Nyskę”, a wkrótce potem sama została wyprzedzona przez pedzającego chyba setką na godzinę „Poloneza”, koloru białego albo kości słoniowej. Jadąc dalej, nie zauważyła nikogo ani niczego — tak powiedziała od razu, na początku, ale w trakcie śledztwa zmieniała zdanie: owszem, spostrzegła leżącego na jezdni człowieka, zwołniona nawet, ale mężczyzna nie kazał się jej zatrzymywać; odjechała więc, myśląc, że to był pijak. Lucyna Parys nie zmieniała już później swoich zeznań, zaś jej towarzysz niczego w tej sprawie istotnego nie dodał, tłumacząc się zamroczeniem alkoholowym.

I to już właściwie wszystko, co można na pewno o okolicznościach wypadku powiedzieć. Ale ta pewność jest dla ludzi — jakby tu powiedzieć... — za bardzo urzędowa. Ludzie we wsi mają swoją własną pewność, i tylko mało komu chcą się do niej przyznać, a już na pewno nie mundurowemu. Ludzie we wsi mają domowa, o wiele bardziej szczegółowa i kompletna wersja wydarzeń. Najbardziej szczegółową wersję ułożyli sobie Janczakowie — na własną żgubę, jak się okazało, bo im ona teraz spokoju nie daje.

— My jeszcze nie nie wiedzieli — powiada matka Rysia, Genowefa — a już na górze, w Antoniewie mówili, że to zrobił młody Drozdowski. On, nikt inny.

Skąd mogli to wiedzieć? Bo na wsi mało co się ukryje.

Weźmy na przykład kościelny. Zaraz na początku, na pogrzebie, gdy Genowefa przyszła na grób z kwiatami, przystąpiła do niej i zagaiła, że on to wie, kto siedział w tym „Polonezie”, ale wyjawiać — nie wyjawia, bo sumienie miałoby nieczyste, że ludzi na wieżynie wystawia. Tak powiedział, ale teraz obchodzi Genowefę z daleka — przestraszył się uporu, z jakim Janczakowie układają ze szczegółów swoją własną wersję.

A szczegóły od ludzi nietrudno było zebrać. Zwłaszcza na początku, gdy ała okolicca mówiła o wypadku. Tak Karłowicz z Sokolnika. Był upakowany, podobno w „Polonezie”. Niby nikt go w nim nie widział, ale wielu spostrzegło, że jeszcze w tydzień po wypadku chodził po polach jak obłąkany. Tak go wzięło!

Albo córeczka Lucyny Parysowej. Przyszła do szkoły i mówi koleżankom, że mama, zdaje się, najechała na jakiegoś pana, który już wcześniej leżał na jezdni. No i rozniosło się!

A teraz taki przypadek: idzie Mirek ze swoim znajomym, z Kuniakiem, rozmawiają o śmierci Rysia, o samochodzie, aż tu nagle Kuniak patrzy tak jakos dziwnie i mówi:

— A ty wiesz, człowieku, że ja też jechałem w tym „Polonezie”?

I co tu się dziwić, że Janczakowie mają o czym myśleć?

Z tych wszystkich zasłyszanych po sąsiedztwu pogłosek, z różnych niejasnych dla Janczaków wypowiedzi milicjantów, z urzędowych pism, które do nich przychodzą, ułożyli sobie własną, szczerą, trzymającą się kupy wersję wydarzeń. Ułożone głowy nazywają to zwykle „hipotezą”.

Wygląda ona tak. Najpierw na Rysia najechał pijany „Polonez” Drozdowskiego. Chłopca odrzuciło w bok, do ogrodu. Niedawni kumple z zabaw wysypali się z auta, zbadali puls — czy żyje, a skoro żył — wyciągnęli go na środek, choć do domu Rysia było ledwie ze 300 metrów. Janczakowie nie wiedzą, dlaczego to

srobili: albo chcieli, żeby co następnego Rysia przejechało, i na nich przez to nie było, albo pomyśleli, że następni zatrzymają się, sprowadzą pomoc. Lecz następny był „Żuk” Lucyny Parysowej, który — tak domyślała się Janczakowie — rozjechał całkiem Rysia.

Młody Drozdowski przejechał zaraz po wypadku do domu, po zmiennika do „Poloneza”, żeby zmiennik podrzucił go szybko do strażnicy OSP w Ozorkowie — dla alibi, a potem odstawił za niego samochód — dla zatarcia śladów.

Tak było — wierzą Janczakowie. Oburzają się, gdy ktoś z urzędu nazwie ich hipotezę wymysłem. To przecież prawda — mówią. Szkopuł w tym, że nikt z urzędu nie potrafi tego udowodnić. Nie potrafi? — patrzą wokół

kuratury Rejonowej i Wojewódzkiej, do łódzkiego PRON i łódzkiej telewizji. Celują teraz wyżej — do Warszawy. Podają w wątpliwość prawie wszystko: poczynając od metod śledztwa, poprzez jego ustalenia, aż do podważania uczciwości milicjantów i prokuratury.

W kwestii metod, zadają na przykład kilka dość dziwnych pytań:

— Dlaczego domniemany „Polonez” nie był sprawdzany następnego dnia po wypadku, jak inne samochody? Dlaczego nie przebadano próbek lakieru? Dlaczego substancja, którą zabezpieczono na miejscu wypadku, nie była oddana do badań zaraz, lecz dopiero po upływie 8 miesięcy, co spowodowało jej rozkład? (z zażalenia do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi).

Dla nich to nie było prawdziwe śledztwo

Tajemnicza śmierć na szosie

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

gorzko Genowefa z synami. — Nie chce! Przeciwnie!

— Nie wierzą w przeplacenie — powiada z gorczyca Jerzy, który mieszka na ósmym piętrze wieżowca w Łodzi. — Jeden wysoki urzędnik z Warszawy popatrzył na mnie taki zmęczony i mówi: — Co, naprawdę wszystkich przeplacili? Milicję z Ozorkowa, i prokuraturę, i milicję ze Zgierza, i nawet Łódź?

— Przeciwnie! — odpowiadał twardo Jerzy. Co do wszystkich, pewności wprawdzie nie ma, ale kogoś musieli przeplacić na pewno, skoro miejscowi powtarzają sobie, kto jest sprawcą, a sprawca śmieje się w kuliak, bardzo pewny siebie.

To właśnie nie daje Janczakom spokoju. Może i to jeszcze, że pole starego Drozdowskiego znajduje się tuż za miedzą Janczaków, niedaleko od ich domu. Za często mają go przed oczami.

Nie mając spokoju — piszą. Co gorsza, nie tylko przepisują przez kalkę własną wersję kwietniowych wydarzeń, wysyłając do najważniejszych urzędów w PRL, ale na dodatek czynią to systematycznie, w sposób przemysłowy, jakby stąd, z Małachowic, zdołali rozszyfrować Mechanikę Krażenia Urzędowych Dokumentów. Oni sami nie są, co prawda, z siebie zadawoleni, ale każdy przysięga, że w ciągu roku nاربilibi fuż, sporo zamieszania. Stało się to jednak kosztem tak olbrzymiej pisaniny, że każdy inny dawno by się zdążył zniechęcić. Ale nie oni.

Dawno pozostawili za sobą pisanie do Pro-

kuratury Rejonowej i Wojewódzkiej, do łódzkiego PRON i łódzkiej telewizji. Celują teraz wyżej — do Warszawy. Podają w wątpliwość prawie wszystko: poczynając od metod śledztwa, poprzez jego ustalenia, aż do podważania uczciwości milicjantów i prokuratury.

W kwestii metod, zadają na przykład kilka dość dziwnych pytań:

— Dlaczego domniemany „Polonez” nie był sprawdzany następnego dnia po wypadku, jak inne samochody? Dlaczego nie przebadano próbek lakieru? Dlaczego substancja, którą zabezpieczono na miejscu wypadku, nie była oddana do badań zaraz, lecz dopiero po upływie 8 miesięcy, co spowodowało jej rozkład? (z zażalenia do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi).

Te kilka procent, to zeznanie niejakiego Anteckiego, który uparł się w śledztwie, że widział młodego Drozdowskiego na zabawie w Skotniku. Nikt inny jednak tego zeznania nie potwierdził. Były wprawdzie jeszcze dwie osoby, którym z początku zdawało się, że też widziały Drozdowskiego w remizie, ale potem zmieniły one zdanie. Dla Janczaków sprawa jest prosta: prawdę mówił Anteki, reszta — albo nie wie, co mówi, albo przestraszona, albo — przeplacona.

Nie wierzą także mechanikowi, który oświadczył na śledztwie, że istotnie, błotniki w samochodzie Drozdowskiego zmienił na nowe, owszem — ale zrobił to na pewno przed wypadkiem.

Czego domagają się Janczakowie?

Domagają się nie mniej ni więcej, tylko tego,

żeby przysłano z Warszawy specjalną ekipę śledczą, albo też wyznaczono takową spoza terytorium województwa łódzkiego. Idzie o to — tłumaczą — aby nie zachodziła jakakolwiek możliwość przepiacenia.

Prześledźmy skromny ułamek korespondencji na linii Małachowice — Warszawa.

Zażalenie do Biura Listów i Inspekcji KO PZPR wchodzi — po pierwszym liście z Małachowic — do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi. Drugi list do Biura KC kieruje sprawę znacznie wyżej — do samego Gabinetu Prokuratora Generalnego PRL!

Inny małeńki przykład tej samej techniki „powtórzeń”:

Pierwsze zażalenie do Biura Skarg i Wniosków Kancelarii Rady Państwa, Odpowiedź: przekazujemy je do rozpatrzenia przez Łódź, w Prokuraturze Wojewódzkiej. Druga skarga do Wysokiej Kancelarii, Odpowiedź — analogiczna jak w przypadku Biura KC: sprawę przekazano do Gabinetu Prokuratora Generalnego.

Tam też trafia — za pośrednictwem Kancelarii Rady Państwa — kolejna skarga, adresowana do Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Do Prokuratury Generalnej dochodzą również zażalenia, przesyłane przez Janczaków do Biura Kancelarii Praw Opatentów. Kontakt z prokuraturą w Warszawie utrzymują również dziennikarze z „Prawa i Życia”, poproszeni przez Jerzego o pomoc.

Prokuratura Generalna jest jak soczewka, która skupia w sobie wszystkie skargi Janczaków. Wędrują one także pod adresem Komendy Głównej MO oraz do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Stamtąd zaś, z warszawskich wyżyn, spływają po szczeblach urzędowej drabiny znów w dół, i i niższe szczebelki. Genowefie i jej synom chodzi zaś o to, żeby zatrzymały się na którymś ze szczebli wyższych, a najlepiej — na najwyższym. Trzeba przyznać, że osiągały w tym chceniu coraz to lepsze rezultaty. Stopniowo sprawa zatrzymała się coraz wyżej.

Najpierw było normalne śledztwo, prowadzone przez Komisariat MO w Ozorkowie. Wobec niewykrzycia sprawy, umorzono je w lutym 1987 roku. Po licznych skargach i zażaleniach śledztwo podjęte zostało na nowo. W styczniu 1988 roku zajął się sprawą RUSW w Zgierz, pod nadzorem Prokuratury Rejonowej. Po kilku miesiącach, w maju 1988 roku, dochodzenie umorzono ponownie: z powodu, jak wyżej. Przez ponad rok akta sprawy wędrowały z Ozorkowa do Zgierza, potem do Łodzi, znów do Zgierza, ponownie do Łodzi, aż w końcu — już po zakończeniu powtórnego dochodzenia — zapoznala się z nimi szczegółowo Prokuratura Generalna. Za każdym razem nie dopatrzone się większych uchybień ani też jednostronności w śledztwie.

Pomimo to, Janczakowie nie ustępują, zwłaszcza zaś Genowefa, Jerzy i Mirek. Liczy się — uważają — tylko pierwsze śledztwo, bo tylko ono odbyło się na wsi, na miejscu. Do tego śledztwa mają właśnie najwięcej pretensji. Do następnych już mniej, bo dla nich to w ogóle nie były prawdziwe śledztwa, skoro nie badano faktów na miejscu, tylko gdzieś w miastach, gdzie — podejrzewają — zbadano same papiery. Zdaniem Janczaków prawdziwe śledztwo będzie dopiero wtedy, gdy Warszawa przysła kilka zdolnych i energicznych oficerów, którzy polatują się na wies i osobiście przesłuchają, kogo trzeba. Dopóki tak się nie stanie — nie uwierzą i nie ustąpią.

Wie ustąpią, dopóki jest cień szansy, a on — wierzą — wciąż jeszcze jest. Wszak to właśnie Prokuratura Generalna czarno na białym doniosła im w czerwcu 1988 r., że śledztwo „może być w każdej chwili podjęte na nowo, gdyby ujawniono nowe, nie znane dotychczas dowody wskazujące na sprawę przestępstwa”.

Dlatego ostatnio znów napisali — do samego generała Czesława Kiszcza.

Nawet — przyznają po namyśle — jest możliwe, że tam, za horyzontem, urzędy wykonały olbrzymią robotę, której tutaj, z Małachowic, dostrzec nie mogą. Możliwe — ale tak sobie myślą, że tamta robota, choć może i olbrzymia, nie była tak potrzebna, jak ta tutaj, w okolicy, gdzie wszystkie wróble ćwierkały o wypadku Rysia.

Zresztą, co tak naprawdę mogą o tej robotcie powiedzieć, skoro widzą tylko pisma i pisma, a ludzkie twarze — nie. Na pierwsze-go reportera, który tutaj z miasta przypłatał się, gdy zamykał Genowefę, a wcześniej, w Łodzi Jerzego, dlaczego są tacy uparci, czemu na siłę chcą znaleźć winnego, skoro nie przywrócili do życia ich Rysiu — patrzyli, jakby nie rozumiejąc pytania. A potem — jakby ocknęli się z trudem, tłumacząc mu jak dziecku: — A czy to sprawiedliwe, żeby chłopaka młodego zmarować i cieszyć się swobodą?

Domek Janczaków nieduży, z tyłu za nim wielka stodoła, za stodołą — pola szerokie, aż po horyzont z sokolnickimi lasami. Przed domkiem, pośród pól, zabudowań sąsiadów i sadów, wije się droga piaszczysta. Wieczorem, gdy skończą się obrządki w gospodarstwie, Genowefa zaczyna płakać. Synowie mówią: — Przestań już matka płakać, bo oczy wypłaczysz. I ona po jakimś czasie przestaje, ale potem coś ją korci do okna, postrzeć na wijącą się drogę. Wypatruje tak Rysia, czy z zabawy nie wraca. Niby wie, że nie wróci, ale patrzy.

Kilka miesięcy temu, wypłakawszy się, napisała do Najwyższego Wymiaru Sprawiedliwości Rady Państwa:

„Jako matka dorosłego syna jestem zrozpaczona po stracie dziecka. Nie wiem, czy dobrze robię podając te wszystkie, niektóre sprawdzone, a niektóre nie sprawdzone informacje, jeżeli osoba, którą wymieniam, jest niewinna, to wybaczyć zbrodnię matce, która zabiła dziecko wszystko, nawet, gdy go już nie ma”.



Collage: Grzegorz Gałasiński

PS. Nazwiska podejrzanych i świadków, a także nazwy niektórych wsi zostały zmienione.

Był sobie pewien pan. Żeby nie został anonimowy, nazwijmy go „W”. Prowadził biuro. Nie jakieś zwykłe biuro, gdzie pije się kawę i załatwia prywatne telefony. To było biuro podróży. A ponieważ pan W. był ambitny, więc i jego biuro miało tę cechę. Były wielkie plany, żywiołowy rozwój, reklamy, Klienci chwalili, zachęcali znajomych. Chętni walili drzwiami i oknami. I wszyscy byli zadowoleni. Uczestnicy wczasów otrzymywali niekonwencjonalny wypoczynek, którego nie oferowały państwowe biura podróży, a pan W. dostawał w zamian pieniądze. Duże pieniądze. A ponieważ był jednocześnie filantropem i biznesmenem, wiedział czego oczekują ludzie. Nikt nie potrzebujący nie odchodził z kwitkiem.

1.

Mała miejscowość wypoczynkowa na Mazurach. Przystanek autobusowy, sklep, knajpa — wszystko co jest niezbędne dla pełnego wypoczynku. Nad brze-

czej. Skromne, niskie zabudowania tubylców. Tutaj trawa nie ma radośnie zielonej barwy. Tutaj nie parkują samochody zachodnich marek. Za to między budynkami stoją konne bryczki i wóz taborowy. Dzik Zachód w miniaturze. Kręci się kilka osób. Pod dachem widać konie. Nie ma wątpliwości, że trafiamy we właściwe miejsce.

4.

Młodzi ludzie pracujący w stajni to wachta. Ich zadaniem jest opieka nad zwierzętami przez całą dobę. Karmią konie, czyszczą, doglądają. Po 24 godzinach następuje zmiana. Wachta spędza czas w stajni. Może dlatego jest ciszej (może nawet najlepiej) poinformowaną grupą na obozie. Jestem już blisko celu.

Część koni jest u kowala. Z tą grupą pojechała moja znajoma. Powinni już wrócić. Trzeba czekać. Mijające godziny skracamy rozmowami. Opowiadają mi o obozie, o pracy przy koniach. Ciekawi są okolicy — nie byli jeszcze poza tym miejscem. „Gdzie psaki mają kracówkę”. Z każdą chwilą moje zdziwienie rośnie.

7.

Godzina 16 — zmiana wachty. Na teren stajni weszli nowi ludzie. Do nich, przez najbliższą dobę będzie należała opieka nad koniami. Będą je czyścić, karmić, wyprowadzać na wybieg, a wieczorem wiązać w boksach. W nocy będą czuwać. Wymienne — po kilka osób. Dla reszty będzie to czas wypoczynku. Dla nich rozstawione są namioty. Stoją trzy — ukryte za przymazany desek, schowane przed ciekawskim wzrokiem przechodniów — najpewniej ze wstydu. Niedbale rozbite, bez naciągów, w fatalnym stanie technicznym zardzewiały tym z pobliskiego biawaku. W środku beładnie rozrzucone śpiwory i koce. Nie ma materaców — wachta śpi na gołej ziemi. Wnętrze brudne, cuchnące nie konserwo-

prował. Jedną ręką ma na kierownicy, a drugą podnosi do ust „fikołka”: mieszaninę wódki, piwa, vermouthu i czegoś tam jeszcze. Na szczęście do wody jest tylko kilkaset metrów.

Kapiel przy blasku gwiazd. Delikatny plusk wody zakłócają odgłosy tłuczonego szkła, dochodzące z dyskoteki. Chcemy tam wejść do środka, ale odór potu, konserw rybnych i alkoholu uniemożliwia ten desperacki zamiar. W mroku — to tu, to tam przemyskają rozchwiane sylwetki. Słychać strzępy rozmów. Ktoś zaprasza do domku na kieliszek „czegoś dobrego”, ktoś z niepokojem pyta, czy nie widziano na dyskotecie nikogo obcego. Ma porachunki z miejscowymi.

10.

Po prowizorycznych schodach wracamy w kierunku parkingu. W drodze jestem świadkiem znaczącej rozmowy.

— Był Sanepid. W poniedziałek mają przyjechać, żeby zamknąć oboz.

— I pewnie to zrobią...

— Niekoniecznie. Zależy, czy wypracujemy płaszczyznę porozumienia. Ale musimy mieć jakieś podstawy. Trzeba przekwaterować ludzi na kemping.

— A ci z domków?

— Tych się usunie. A część kart trzeba schować. Musi być tyle ludzi, ile miejsc.

— To po co przyjechało tyle osób, skoro nie mają gdzie spać?

— Mnie pytasz? Szeffa pytał, dlaczego rozdał tyle kart.

— Już mam dosyć. Konie chore, weterynarza nie ma, leki dobieramy „na oko”, dzieciaki nie mają na czym jeździć, rodzice zaczynają wlać nam na łeb. Kryminat. Brakuje jeszcze, żeby coś się stało. Wtedy dopiero pocujemy śmierd. Prokurator to nie Sanepid...

11.

Kilku wyrostków chwiejnym krokiem podają do pobliskiego domku. W oświetlonym oknie widać, jak wyciągają z szafki butelkę i rozlewają zawartość do kubków. W głowie nie mieści się, że zorganizowany wypoczynek może polegać na organizacji beładzi. Ktoś upił się do nieprzytomności. Ktoś za zgodą — lub częściej bez wiedzy wychowawcy — włóczył się przez całą noc. Ktoś inny wydał 30 tys. na alkohol. Będzie co wspominać.

A co robią organizatorzy?

Oni mają ręce pełne pracy. Trzeba zorganizować posiłki, noclegi, pasze dla koni. Cały ciężar utrzymania obozu przy życiu spadł na nich. Dlaczego? Umowy w sprawie kwaterek, posilków, zabezpieczenia środków dla kilkunastu koni były niepewne albo nieprecyzyjne. Teraz kwatery są wycofywane. Niektóre zwyczajnie nie nadają się do zamieszkania. Na miejscu nie ma weterynarza. Kowal nie chce podkładać koni. Każdy dzień przynosi nową sytuację, zaskakuje nowymi problemami.

Wszyscy odpowiadali, że kochają konie. Nie ma więc znaczenia, że nie mają dokumentów, często uprawnień. Oni i tak robią co mogą. Dają z siebie wszystko. Co z tego, że warunki są fatalne, konie niesprawnie, posiłki podłe, a uczestnicy nie mają gdzie spać. Dobrze, że ten oboz w ogóle jest. Dobrze, że jest choć kilka koni zdolnych do jazdy.

A co robią kiedy ten oboz się skończy? Będą się starali jak najszybciej zapomnieć. A za rok znów pojawią na konie — gdzie indziej. Poszukają miejsca, gdzie będą lepsze warunki i perspektywy efektywnego działania. Tu nie ma ani jednego, ani drugiego.

12.

Była kiedyś piosenka — bardzo znana i lubiana. Refren tej piosenki kończył się słowami: „(...) tylko koni żal”.

Mnie żal nie tylko koni. Żal mi tych chłopców i dziewcząt, naciąganych na grube tysiące za chęć przeżycia przygody u boku ulubionego zwierzęcia.



Mówi: Danuta Błażejczyk

— Gratuluję nagrody na festiwalu w Opolu. Czy to przypadek, że znowu stanęła pani do konkursu czy też świadomy wybór i przygotowanie?

— Na udział piosenki „Concord” w Opolu zdecydowałam się wraz z kompozytorem Zbigniewem Górnym w ostatniej chwili. Jedyną szansą, aby wziąć udział w festiwalu było zwycięstwo piosenki w telewizyjnym plebiscytcie. Trafiam na ostatnią edycję „Od Opolu do Opolu”. Na nagrody nie liczyłam, bo wykonuję utwory niezbyt łatwe muzycznie, bez szans na przeboje. Z tym większą satysfakcją przyjął nagrodę od jury.

— W zawodach artystycznych wiele zależy od szczęścia. Czy ono również pani towarzyszyło?

— Na rynek piosenkarski wszedłam dość szybko, odkryta przez Wojciecha Młynarskiego i Włodzimierza Korczę na egzaminie weryfikacyjnym w ministerstwie kultury i sztuki. Tam również zwrócił na mnie uwagę Andrzej Strzelecki i zaproponował udział w słynnym widowisku muzycznym „Zie zachowanie”. Mogę powiedzieć, że należałam do ludzi szczęśliwych. Ale nie lubię się tym chwalić, bo jestem przesadna.

— W hierarchii festiwalowych szczebli zaszła pani wysoko, bo aż do Sopotu, ale stamtąd powróciła na tarczę. Czy „Sopot-86” był pani porażką?

— Sopot nie był moją porażką, choć nie otrzymałam nagrody. Otrzymałam za to ciekawe propozycje występów w NRD, RFN i Szwecji. Udział w tym festiwalu nazywam dziś przykrym doświadczeniem. Nie byłam psychicznie przygotowana do występu na tak poważnej imprezie, ale za to wyciągnęłam odpowiednie dla siebie wnioski.

— Od tamtego czasu jakby mniej było Danuty Błażejczyk w TV, na antenie radiowej i na krajowym rynku?

— Dużo wyjeżdżałam z orkiestrą „Alex Band”, sama i z kabezem Bogdana Smolonia do Kanady i Australii. Z grupą Andrzeja Strzeleckiego i „Złym zachowaniem” byłam we Francji, ze Zdzisławą Sośnicką Zbigniewem Wodeckim i Pawłem Długoskim w Stanach Zjednoczonych, z Wojciechem Młynarskim i Jerzym Derłem w RFN. Przez siedem miesięcy nie było mnie w Polsce.

— Uprawia pani zawód polegający na ciągłym zaskakiwaniu publiczności: fryzurą, strojami, nowym repertuarem. Czy ma pani tego świadomość?

— Wiem jak chciałabym wyglądać, jak śpiewać, co nosić na estradzie i poza nią, jak się czuć. Ale do tego wszystkiego nie można dojść od razu. Najpierw staram się w domu zaskoczyć własnego męża czymś nowym.

— I co mówi mąż na te eksperymenty?

— Czasami je akceptuje a czasami nie. Wnioski wyciągamy wspólnie.

— Nigdy nie mówi pani w wywiadach o mężu?

— Mój mąż Andrzej Błażejczyk jest muzykiem perkusistą w big-bandzie Stanisława Fijałkowskiego. Jest to mój prawdziwy przyjaciel.

— Jak godzi pani życie rodzinne z pracą estradową?

— Kocham swoją pracę i kocham dom, więc czasami muszę dokonywać cudów, żeby wszystko ze sobą pogodzić. Np. ostatnio jestem bardzo zaabsorbowana nowo otrzymanym mieszkaniem na Stęgnach w Warszawie, co prawda tylko 30 m, ale nareszcie własnym, w którym chcę urządzić swój azyl. Mimo małej powierzchni, kłopotów jest mnóstwo, prawie tyle samo co przy urządzaniu willi, przynajmniej ja tak to odczuwam.

— Z problemem kariery — rodzina nie może sobie poradzić wiele pani koleżanek piosenkarek zwlekających z urodzeniem dziecka...

— Ja również należę do ich grona, nie mam dzieci, ale wychodzę z założenia, że jeśli naprawdę czegoś się chce, to można jakoś pogodzić.

— Co jest dla pani miarą sukcesu tego co robi?

— Największym sukcesem jest dla mnie to, gdy słyszę, że jestem chętnie słuchana.

— W jakim kierunku pójdzie pani dalsze śpiewanie?

— Chciałabym, żeby to była dobra, ambitna muzyka rozrywkowa oparta na najlepszych amerykańskich wzorach. Takiej muzyki słucham i taka sama chcę śpiewać.

— Jaki będzie pani miała na to wpływ i co będzie zależało od niej samej?

— Sam fakt, że zdecydowałam się na współpracę z grupą młodych, nieznanymi twórców o wspólnych z moimi przemysłamiach muzycznych i że będziemy razem realizowali, mówi za siebie. Ponieważ oni słuchają tego samego co ja, myślę, że dojdziemy do wspólnych wniosków i wszystko zabrzmi tak, jak to sobie wyobrażam i spodoba się odbiorcom.

— To były poszukiwania muzyczne, a sugestie co do kreślenia wizerunku estradowego?

— Radzę sobie sama. Teraz chcę nawiązać współpracę ze znanym choreografem i moim serdecznym kolegą Januszem Józefowiczem, przy pomocy którego mam nadzieję zaistnieć pełniej i wyraźniej na estradzie.

— Kto pomaga pani wokalnie?

— Jestem pod stałą kontrolą wokalną znakomitego fachowca w tej dziedzinie pani Alicji Barskiej, u której zasięga porad wielu piosenkarzy.

— Przydałby się dobry impresario?

— Współpracuję z Centrum Sztuki Estradowej w Lublinie, które wydało mój plakat i zajmuje się przygotowaniem nowego programu estradowego. Wszystko inne załatwiam sama. Na razie mam jeszcze siły i jakoś daję sobie radę.

— A gdyby miała pani to wszystko, co mają renomowane piosenkarze na Zachodzie?

— Może byłabym wtedy nieznosna, kapryśna, histeryczna, taka jak tamte wielkie gwiazdy. A tak muszę zachowywać umiar i równowagę psychiczną. Czuję się dobrze.

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Lato '88

Nie tylko koni mi żal...

MAREK JUŚKIEWICZ

giem jeziora rozstawione namioty. Jest ich kilkadziesiąt. Z drogi biegnącej po skarpie pole namiotowe wygląda bardzo kolorowo. Za to okoliczny las... Poza lasem Boże! Cały chrust został już wybrany i spalony. Jakże miło posiedzieć wieczorem przy ognisku. Coraz częściej spotyka się wycięte przez turystów drzewa. Przyczyną jest do „cudów cywilizacji” znaturyzowani czasowicze zapędzają się w las. Dzięki czterem kółkom nie trzeba dźwigać drewna na kemping.

Z prywatnym polem namiotowym sąsiaduje Stacja Wodna PTTK. To cel mojej wyprawy. Tu — na obozie jeździeckim — przebywa moja znajoma.

Ściągam z ramion plecak i mokra od potu koszulka. Jest prawie 30 stopni w cieniu. Upału nie łagodzi nawet lekki wiatr.

Niewielki teren stajni zajmują domki kempingowe. Byłe jak zaparkowane samochody niczym wierne psy warują na zniszczonym trawniku. Ośrodek typowy dla naszej turystyki — częściowo w budowie, częściowo w rozspyce. Jest pole namiotowe, pomost, kąpielisko, świetlica. Czego dusza zapragnie.

2.

Kiedy chcemy znaleźć kogoś w ośrodku czasowym, powinniśmy nie zwlekając skierować nasze kroki do recepcji. Tak też zrobiłem. Obskurny barak spełniający te funkcje był jępną zamkniętą. Również wywiad w najbliższym domku nie przyniósł rezultatu.

Pomimo zbliżającego się południa jego mieszkanek zastałem jeszcze w pościeli — dziwne zwyczaj jak na zorganizowany wypoczynek.

W sąsiednim domku również chłodno przyjęło moje bezcelne pytania dotyczące nieznannej osoby. Czyżym pomylił adres? Ale przecież w tym „kurortcie” nie ma innej stajni. Ostatecznie udało mi się wydobyc wskazówkę dla dalszych poszukiwań.

Pelen nadziei wkraczałem na podwórze domu vis-a-vis kempingu. Niestety, także zapracowana osoba — ukryta za sterem dokumentów, mimo kompetentnego wyglądu nie potrafiła udzielić mi konkretnej informacji. Zostałem jednak skierowany dalej — do stajni. Wszak osoba, której szukam przebywa na obozie jeździeckim. Logiczne więc, że aby ją znaleźć, należy udać się do stajni. Zeż sam na to nie wpadłem.

3.

Od asfaltowej szosy odchodzi wąska, oślejczyta droga. Po prawej stronie, w zabudanych ogródkach z idealnie wystrzyżoną trawą stoją wesołe domki letniskowe ze strumynami, drewnianymi dachami. Druga strona drogi wygląda zupełnie ina-

Dlaczego tu siedzą? Dlaczego nie wyjadą, nie zrezygnują? Kiedy ich o to pytałem, odpowiedzieli, że kochają konie, że mimo trudności jest to fantastyczna przygoda. Czy to prawda? Czy tylko taki jest powód ich pobytu w miejscu, gdzie nie ma żadnych warunków do wypoczynku?

A może jest jeszcze jeden powód — wstyd przed przyszanym, że zostało się oszukany. Można to zrozumieć. Ja też nie przyznałbym się do tego, że wyrzuciłem w błoto 90 tysięcy — taki koszt tego trzytygodniowego obozu najczęściej wymieniano.

5.

Kiedy dowiedzieli się o zorganizowanym obozie jeździeckim, nie zastanawiali się długo. Chcieli nauczyć się jeździć konno, poznać zwierzęta, które lubią. Zapłacili za określone warunki gwarantowane przez organizatora — noclegi w domkach kempingowych w stajni PTTK, 3 posiłki dziennie, jazdy konne i inne zajęcia programowe w wolnym czasie. Kiedy przyjechali na miejsce, nie dostali nawet śniadania. Nikt nie wiedział gdzie ich zakwaterować. Także realność dalszych posiłków stała pod znakiem zapytania. Obiad jednak był — w małej, prywatnej jadłodajni — na dwie tury. Kto się spożył, odchodził z kwitkiem.

A śniadania i kolacje?

Trzeba było kombinować na własną rękę. Dobrze, że dostali chleb i konserwy rybne. Tylko takie były w sklepie. Po kilku dniach sytuacja uunormowała się na tyle, że na śniadania i kolacje dowożono uczestników autokarem do restauracji w miejscowości oddlegiej o kilkanaście kilometrów — również na dwie tury. Restauracyjne posiłki są jednak skromne, a praca przy koniach pochłania ogromne ilości energii. Jak to pogodzić?

6.

W ciasnej, drewnianej szopie-stajni warunki są fatalne — zarówno dla koni, jak i dla obsługi. Zaimprovizowane boksy nie ułatwiają pracy wachcie, a wręcz stwarzają zagrożenie dla życia pracującej tu młodzieży.

Konie stoją tyłem do siebie w minimalnych odległościach. Między zadami jest zaledwie 60 cm wolnej przestrzeni. Jeżeli jeden z koni kopnie obsługującego go człowieka (podobno wcale nie takie rzadkie przypadki), ten lądnie na sąsiednim zadzie, skąd niczym piłka tenisowa wraca na dawną pozycję z pomocą twardego kopyta. Tak! ping-pong trwa do czasu, aż któryś z koni przypadkiem nie trafi w

wanym, gnijącym płótnem. W załamaniach i szparach gnieją się pajaki, skorki, karaluchy. Na sufłach przyczepiły komary — czekają na wieczorny chłód sprząający ich natrętnym hartem.

Na stojącym przy stajni krytym wozie rozłożone śpiwory. Miejsca w namiotach nie starczyło dla wszystkich. Wygodnie tu — luzno i na świeżym powietrzu. Ale co będzie, kiedy pogoda się popsuje? Na razie o tym nie myślą.

Dokoła porozrzucane odpadki, puste puszk, słotki, butelki, resztki chleba, potłuczone szkło. W trawie leży poknity talerz. Nie ma nikogo, kto zechciałby go sprzątnąć. Brud i bałagan panujący wokół wydaje się nikomu nie przeszkadzać.

8.

Mija 19 — siódma godzina oczekiwania. Wreszcie na drodze widać konie. Idą stepem. Cały dzień poza obozem. Jeźdźcy są tak zmęczeni, że nie czują nawet głodu.

Kilka minut na oporządzenie koni i wreszcie możemy porozmawiać.

— Dużo jeździecie?

— Na czym? Konie są chore albo kulawe. Tylko kilka jest sprawnych.

— Nie macie koni? Przecież to oboz jeździecki.

— To co z tego?

— Ale są chyba zajęcia zastępcze? Co oni wszyscy robią, kiedy nie ma jazdy?

— Nudzą się i piją. Czasami jeszcze robią dzieci...

9.

Wchodzimy na kwaterę. Mały domek kryty dachówką — jak większość tutaj. Wydzielone, boczne wejście prowadzi do dwóch małych pokoiów. Dwie szafki, jedna szafa — jak zwykle. Umieblowana „dopielnia” stół i dwa tapczany. Na jednym z nich ktoś śpi. Dziewczyna próbuje go obudzić. Po chwili ciężkie powieki unoszą się i nieprzytomne oczy szukają czegoś po pokoju. Ręka sięga po stojącą na stole puszkę piwa. Nieprzytomny koleś wlewa w siebie zawartość i znów zasypia.

— Chyba mamy go z głowy, można zająć się kolacją.

Woni strawy budzi śpiącego. Wszak nie samym piwem człowiek żyje. Nie jestem jednak przekonany o tym do końca. W czasie kolacji koleś wlał w siebie kolejne puszkę „Heinekena”.

— Może byśmy się popluszczyli? — rzuca propozycję.

Chwilę później siedzimy w jego „Maluchu”. Nie jestem pewien, czy powinienem uczestniczyć w tej szalonej jeździe. Koleś ma kawalerską fantazję. Zamienił jednego konia na 25 mechanicznych „Utan”

Sposób

tek mi bezkształtnie
smutno
smutno
dusta szklanka

hipopotam znówu pożarł
cicho śliczna deszcz
tyle dzieł wokół i
nagość opuszków

chyba rozważył
chory i mi smutno że
najświetniej pragnę

dotknij w głąb
wywracam się a tam
garnitur

Półka z książkami

AUTOPORTRET CZESŁAWA MIŁOŻA

Aleksander Flut wydał w 1981 r. „Rozmowy z Czesławem Miłoszem”, które — jak pisze — nie usatysfakcjonowały ani Miłosza, ani autora książki. Przeto po latach powstało „uzupełnienie” owych rozmów — wywiadów, a tym samym dość klarowny wizerunek laureata Nagrody Nobla. „To jakby Miłosza pamiętnik mówiony, zamknięty historyczną datą 1 września 1939” — pisze Aleksander Flut we wstępie. Tak więc w omawiany przez mnie tom weszły owe pierwsze rozmowy paryskie z 1979 r. oraz te późniejsze z lat osiemdziesiątych. Całość została bogato uzupełniona licznymi fotografiami.

DOCIEKANIA PSA

To nie jest opowieść ze świata zwierząt: Eranz Kafka w jemu tylko właściwy sposób, przedstawia kondycję człowieka odartego ze wszystkich zdobyczy i narażonego na wszystkie możliwe i niemożliwe nieszczęścia. Co prawda człowiek nadal jest ponad tym światem, jest przecież istotą myślącą, jednakże nie potrafi zrozumieć ani pojąć odwiecznych praw determinujących jego pragnienia i zmagania.

NOCE MIŁOŚCI I ŚMIECHU

Jeszcze nie przebrzmiały zachwyty i polajanki po ukazaniu się w „Literaturze” fragmentów „Zwrotnika Raka”, a już otrzymaliśmy zbiór opowiadań Henry Millera pod zagadkowym i intrygującym tytułem „Noce miłości i śmiechu”. Czy te opowieści także zbulwersują czytelników? Nie wiem, ale ich szczerość autobiograficzna zapewne pozwoli lepiej zrozumieć autora, dla którego nie ma tabu ani w życiu, ani w literaturze. Przekład Juliusza Kydryńskiego.

Oprac.: E.I.

Lektura tomiku poetyckiego Tadeusza Chrościelewskiego „Jasień i jesień” należałoby rozpocząć od przypisów. Przypisy owe sporządzone ze wzorową wręcz filologiczną rzetelnością przez Bogdanę Mazana pełnią rolę głosu — objaśnienia cytacji, aluzji i kulturowych oraz realiów, które stanowią specyficzny „świat przedstawiony” utworów T. Chrościelewskiego, są

Pamięć i poezja

przeto komplementarnym elementem tomu wprowadzającym odbiorców w rzeczywistość Łodzi, dzisiejszej a przecież jakby trochę „zapomnianej”. Pomniki, parki, łódzka topografia są oglądane przez większość łódzian bez owej szczególnej aury, której przydaje im historia bądź legenda. Nie pominąć — na szczególne — komentarz zasług samego Tadeusza Chrościelewskiego w ustraszeniu „pamięci” miasta: za jego to (poety) przyczyną niektó-

re relikty łódzkie uznano za obiekty zabytkowe, niektóre uratowano od zagłady, na niektórych (Radogoszcz) wypisano jego reka dramatyczne epitafia. Charakterystyczny to fakt, że znaczna część wierszy dedykuje poeta swoim najbliższym i nie świadczy to jedynie o rodzinnych sentymentach, ale przede wszystkim o przesłaniu, iż pamięć o swoich „korzeniach” należy przekazywać z ojca na syna (i wnuczek).

Może jest i w tym zjawisku trochę gorczy, bowiem wiedza o Łodzi może być wytrącana w miarę, jak odchodziłby da ludźmi, którzy temu miastu (niesłusznie nazywanemu „łym miastem”) oddali swoje serce i pióro. Ci z odbiorców, przeto, którym podarzył się zdobyć tomik Chrościelewskiego (a sądzę, że nie poleży on długo na księgarskiej ładzie) będą mieli znakomitą poetycką przewodniczką po Łodzi, zaś w osobie poety osobliwego cicerone, który znakomita

wiedzę o dziejach miasta i kulturową perspektywę, która wydarzenia i realia wpisuje w nową czasoprzestrzeń, podaje w sposób „demokratyczny” trochę gawędziarski, niekiedy żartobliwy i sentymentalny zarządek. Używam tu określenia „tomik poetycki”, ale słusznie należałoby mówić o książce poetyckiej, bowiem w równie mierze ważna jest tu „pierwsza przyczyna” (wiersze) jak i opracowanie graficzne Janusza Szewczyka oraz (o czym pisano na wstępie) przypisy. Za te uroczą „książkę” wdzięczni będą nie tylko, jak mniemam, miłośnicy poezji, ale i piękna syrenka z pasaży ZMP i strażacka motopompa z Wólczańskiej i bociany Gałkiewicza na Karłowickiej „jak sam Romcio G. tegie” — „bohaterowie” tych wierszy ocaleni od zapomnienia.

HENRYK
PUSTKOWSKI

Tadeusz Chrościelewski — „Jasień i jesień”, Wyd. Łódzkie 1983 s. 84
cena 200 zł.

„Kłatwy, mikroby i uczeni”

Od kilkunastu lat jedną z pasji życiowych Zbigniewa Świecha, dziennikarza i eseisty, czerpiącego wzory z pięknych tradycji piśmiennictwa historycznego Pawła Jasienicy — stanowi tropienie i popularyzowanie, odkrywanie przez uczonych, przeszłości. Kanwą ostatniej, arcykrajowej książki tego autora pt. „Kłatwy, mikroby i uczeni” (zamierzony na trylogię), opublikowanej przez „Iskry”, jest zagadkowa i sensacyjna zarazem wawelska historia, wiążąca się również z nieprzeciętną osobowością, pierwszego w dziejach, polskiego papieża.

W 1973 roku, kiedy Karol Wojtyła był jeszcze kardynałem metropolitą krakowskim, powodowany duszą uczonego humanisty (kierował się też tym, pobudkami znacznie wcześniejszym, przy podejmowaniu wielu innych — tego typu — trudnych decyzji), wyraził zgodę na otwarcie w Katedrze Wawelskiej, w celach badawczych, grobowca jednego z najwybitniejszych królów polskich — Kazimierza Jagiellończyka, a wcześniej jego żony: Elżbiety z Habsburgów Rakuszanek (zwanej także Matką Królów Europy).

Wiedza — co ciekawe — od tej pary królewskiej wywodzi się najwięcej koronowanych głów, aż do dziś jeszcze panujących (między innymi Elżbieta II — królowa Wielkiej Brytanii, Baudouin — król Belgów, Reinier III — książę Monako).

Na Wawelu wielokrotnie badano i porządkowano już groby królewskie, ale nigdy wcześniej, co takiego zgoda się nie wyrażała. Od 1974 r. nastąpiła bowiem seria gwałtownych śmierci (na zawał serca i wylew krwi) kilkunastu osób z kręgu badaczy grobowca Kazimierza Jagiellończyka.

W podwawelskim grodzie wtenczas zawrzało. Zaczęło szeptać o rzekomej kłatwie, raczonej przez Jagiellończyka. Wydarzenia te, jako żywo, poczęły kojarzyć z jedną z najtajniejszych tajemnic XX wieku — tzw. kłatwą Tutenchamona. Od czasów otwarcia w 1925 r. — przez Howarda Cartera — grobowca tego egipskiego faraona, zaprzęta ona i bulwersuje umysły uczonych. Nastąpiła tam również seria tajemniczych zgonów badaczy.

Prasę obiegły wówczas wiadomości o „zemsie egipskiego władcy na ludziach”, którzy odważyli się otworzyć jego grób.

Krakowskie wydarzenia zaczęły nabierać światowego rozgłosu i jawić się w zupełnie innym kontekście — jak to szczegółowo dokumentuje Zbigniew Świech, gdy profesorowi Bolesławowi Smykowi, wybitnemu mikrobiologowi, badającemu mikroświaty z wnętrza grobu Kazimierza Jagiellończyka, udało się odczytać, po prawie pięciu latach (precedens w skali światowej) wiele nieznanych szczepów bakterii i grzybow. Rozpoznano i odkryty przez tego uczonego szczególnie groźny, toksyczny mikroob o nazwie *Aspergillus flavus* (kropidlak żółty) — powodujący najcięższe zawały serca, wylewy krwi i kilka odmian raka, mógł być przyczyną śmierci osób, penetrujących zawartość grobowca.

Niewykluczone także, że odkrycie to rzuca nowe światło na „sprawę Tutenchamona”.

Kiedy Zbigniew Świech opublikował w 1983 roku

w „Literaturze” trzy pierwsze rozdziały książki „Kłatwy, mikroby i uczeni” wywołały one żywe echa nie tylko w prasie krajowej, lecz także w czasopiśmie zagranicznych korespondentów, akredytowanych w Polsce, donosili na pierwszych stronach czołowych gazet światowych: „Jest polski autor, który na tropie wyjaśnienia wielkiego sekretu „kłatwy faraona”. Filmowcy z RFN, Arno R. Peik i Eberhard Thiem, we współpracy z UNESCO, nakręcili film telewizyjny, oparty na wątkach sensacji wawelskich.

Zbigniew Świecha spotkało również w 1987 roku zaszczytne, międzynarodowe wyróżnienie — został bowiem przyjęty w poczet członków ekskluzywnego, nowojorskiego Klubu Odkrywców. Autor nadal współpracuje z wybitnymi uczonymi nad rozwijaniem tej frapującej zagadki. W tym celu odwiedził między innymi Dolinę Królów w Górny Egipt, grób Tutenchamona, zbierał materiały w bibliotekach i muzeach Paryża, Londynu, Rzymu i Nowego Jorku.

„Jest teraz wiadomo — pisze autor tej pasjonującej książki — że mikroob *Aspergillus flavus* (...) jest bardzo groźny i występuje niestety powszechnie (...). Nadal jest nieznanym ogółowi lekarzy, a wszechobecny, bo występuje w domach zawilgoconych, gdzie pojawiają się grzyby i pleśń. Ostry „kłatwy Jagiellończyka” nie zmiały więc na próżno, jeśli poprzez ujawnienie przyczyn ich śmierci i spopularyzowanie wiedzy wybitnych uczonych, uda się otworzyć oczy zarówno lekarzom, jak i zagrożonym wielkim a ciągle nie docenianym niebezpieczeństwem (...) To jedno z najważniejszych przesłań tej książki”.

Z Świech daleki jest od przedstawienia bulwersujących wawelskich odkryć w kategoriach takiej sensacji. Opiera się na mało znanych źródłach oraz rozmowach przeprowadzonych z uczonymi. Relacjonuje — z właściwym sobie obiektywizmem — zwerifikowane żmudnie fakty.

Reporterska dociekliwość nie powstrzymała autora od odbycia również niełatwych rozmów z członkami rodzin zmarłych naukowców, których dosięgło wawelskie fatum, w imię doświada do prawdy. Książka Zbigniewa Świecha zawiera również — co uczucie z pewnością czytelników — często nie mniej interesujące opisy wcześniejszych eksploracji grobów wawelskich. Wzbogaca pokaznie wiedzę z zakresu tak różnorodnych dziedzin — potraktowanych interdyscyplinarnie — jak: historia, dzieje kultury, archeologia, medycyna, mikrobiologia i ekologia. Splendoru dodają jej unikatowe fotografie.

Wiele wątków, humanistycznym przesłaniem, czyni z tej publikacji, będącej zarazem raportem, literaturą faktu i esejem popularnonaukowym, jedną z najwartościowszych książek ostatnich lat.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



Rys. Sławomir Łuczyński

LAURY DLA ŁÓDZIAN

W Gdyni odbył się XX Festiwal Filmowy „Ludzie i Morze”. W kategorii filmów fabularnych główną nagrodę — Grand Prix — „Wielki Zagiel” otrzymały ex aequo filmy w reż. Frederico Felliniego „Pamiętnik” oraz „Asta-tek plynie”. „Srebrny Zagiel” przyznano filmowi „Piraci” w reż. Romana Polańskiego, „Brazowy Zagiel” — „Kapitan Wędrowek” w reż. Jurija Praczynki.

W kategorii filmów dokumentalnych Grand Prix — „Wielki Zagiel” zdobył film w reż. Włodzimierza Golaszewskiego (produkcja RFN) pt. „Wilhelmshaven — miasto Morza Północnego”. „Złoty Zagiel” otrzymał film Ryszarda Wyrzykowskiego WFO — Łódź, pt. „Polarne wyprawy Włodzimierza Puchalskiego”. „Srebrny Zagiel” — „Mariusz Zaruski — żeglarz tatarnik” w reż. Edwarda Pałczyńskiego — WFO — Łódź, zaś „Brazowy Zagiel” — „IX — ostatni” w reż. Włodzimierza Stepińskiego.

Jury przyznało także wyróżnienia studentom łódzkiej Szkoły Filmowej za zestaw etiud morskich. Wyróżnienie otrzymał również zestaw filmów amatorskich

w reżyserii Sergieja Biełozapki z Rostowa nad Donem.

Liczne grono łódzkich śpiewaków-laureatów wielu prestiżowych konkursów powiększyła ostatnio solistka Teatru Wielkiego w Łodzi — Roma Owsińska, która na XIX Międzynarodowym Konkursie Śpiewaków Operowych w Sofii zdobyła pierwszą nagrodę specjalną. O randze tej nagrody niech zaświadczy fakt, iż w konkursie brało udział 50 solistów z kilkunastu krajów.

Gratulujemy laureatom.

TEATRY ULICZNE ŚWIATA

W dniach od 1 do 16 sierpnia, już po raz szósty, odbywa się w Jeleniej Górze Festiwal Teatrów Ulicznych, którym patronuje tamtejszy teatr im. Cypriana Norwida. W tegorocznym spotkaniu wzięły m.in. udział Teatry Uliczne z Włoch, Francji, Polski, NRD, RFN, Kanady, Japonii, Chile i Czechosłowacji. Prezentowane na ulicach spektakle mogły obejrzeć nie tylko publiczność Jeleniej Góry, lecz również Lubawki, Zgorzeła i Lwówka.

NIE MAJĄ KŁOPOTÓW

Przebywający w naszym kraju (w lipcu br.) wybitny pisarz radziecki, naczelny redaktor miesięcznika „Nowy Mir” — Siergiej Żalynin oświadczył, że jego miesięcznik nie ma obecnie żadnych kłopotów z cenzurą. W najbliższym czasie zamierza opublikować w miesięczniku dwie powieści Aleksandra Sołżenicyna „Pierwszy krag” i „Oddział chorych na raka”, pisarza którego twórczość jak i samego Sołżenicyna — jeszcze do niedawna traktowano jako wroga. Ale w historii zostanie.

NIE POMOGŁO KAJANIE

„Meyerhold” (Włodzisław Emiliewicz — jeden z najwybitniejszych reżyserów radzieckich, o losach którego napisał obszernie „Ogoniok” — dop. M. B.) wiedział, że Stalin niechętnie zapomniał. A wspomnienie, które od dawna dreczyło reżysera, była pamięć o nieszczęsnym geście sprzed lat: wystawiając — z okazji piętej rocznicy utworzenia Armii Czerwonej — spektakl pt. „Ziemie stają się” zamieścił na afiszach i programach teatralnych

uroczystą dedykację: „Armii Czerwonej i Pierwszemu Czerwonoarmiejskiemu Lwu Trockiemu pracę swoją poświęca Włodzisław Meyerhold”. W roku 1923 taka dedykacja nikogo nie dziwiła. Ale w latach trzydziestych myśl o niej musiała budzić przerażenie. Czy ta wina zostanie wybaczona? (...) 28 stycznia 1936 r. ukazał się w „Prawdzie” artykuł redakcyjny (czyli dyktando), w którym nikt nie mógł i nie śmiał polemizować pod tytułem „Gmatwani na zamiast muzyki”. Była w nim mowa o operze Dymitra Szostakowicza „Lady Mackbet powiatu niecńskiego” dopiero co wystawionej w Teatrze Wielkim. Artykuł potępiał „sztukę lewacką, stanowiącą zaprzeczenie prostoty, realizmu, zrozumiałości obrazu i naturalności słowa”. „To wszystko — napisano w tym artykule — nie jest niczym innym, jak tylko przeniesieniem do opery i muzyki najbardziej ujemnych cech „meyerholdowszczyzny” (...) Takie epitety pojawiające się w prasie lat trzydziestych działały jak rozżarzone żelazo służące do wypalania politycznego piętna (...) Wkrótce potem dano Meyerholdowi w sposób niedwuznaczny do zrozumienia, że nie uważa się go już za „człowieka reżysera”: pozbawiono go tytułu artysty ludowego. (...) 7 sierpnia zmarł Stanisławski. Nie

PESTKI DYNI

Kantor przemówił i to przemówił smacznie. Chodzi oczywiście o Tadeusza z Wielopola i o jego prywatną historię sztuki, którą zaczął nam wyznawać w telewizorze. Właśnie prywatną i właśnie wyznawać, odnoszę bowiem słusze chyba wrażenie, że artysta chce podzielić się z nami czymś osobistym i ważnym. Indywidualności telewizyjnych zajmujących się sprawami kultury i sztuki — poza małżeństwem Gucwińskich — nie mamy. Państwo Gucwińscy, chociaż na pozór mówią tylko o zwierzętach, to w rzeczy samej mówią o kulturze w sposób, który stał się sztuką. Profesora Zina słuchać nie mogę, oglądać tym bardziej. Innych wymieniać nie będę, bo szkoda mi i papieru i czasu. A Kantor zapowiada się ciekawie i życzy mu dalszych sukcesów...

Żeby nie było nieporozumień, nie jestem wielbicielem ani teatru Tadeusza Kantora ani też innych form jego artystycznych poczyni. Więcej, kiedyś, kiedy jeszcze nałogowo wystawiał czarne i białe parasole i urządzał happeningi z sosem pomidorowym i Bałtykiem Morzem — pisałem o nim krytycznie, niechętnie i napastliwie, i tego się nie wypieram ani wstydę. Dziś też bym to krytykował, może tylko z większym dystansem — ale zapalczywość w dyskusji i ocenie jest przywilejem wieku.

Od czasów bzdurnych (a jednak mnie ponosi!) happeningów Kantor wyrosł, zobaczył trochę świata na własne oczy (co dla artysty jest konieczne) i przetrwał w środku. (Co każdemu twórcy przychodzi z latami). Dojrzał i ma skalę porównawczą. Zawsze myślał przekornie i twórczo; dziś myśli bardzo przekornie i śmiało sobie mierzy w stronę intelektualnej perwersji... Ciekaw jestem, ile z tego swojego wnętrza potrafi nam sprzedać? Jak dalece otworzy się przed nami i jako artysta i jako człowiek? Mam prawo stawiać takie pytania, bo, jak już powiedziałem, odniosłem wrażenie, że idzie mu o bardzo własne widzenie i rozumienie sztuki i kultury.

Rozpoczął Tadeusz Kantor wielkim wizjonerem i wspaniałym malarzem (dla mnie również) — Malczewskim i generałem zanegowaniem wszelkich wartości współczesnego malarstwa polskiego, dokumentując te negacje bardzo sensownie, przewrotnie i przekonująco...

Na pochwałę kogo i negacji czego skończy? Cała sprawa jest o tyle jeszcze interesująca, że oglądaliśmy niedawno w TV szwajcarski serial zatytułowany „Przygoda z malarstwem”, bardzo specyficznym, nieszablonowo skonstruowany, z mądrym, ale również wielce prywatnym komentarzem...

ANDRZEJ GRUN



Azja w Europie?

Takie pytanie zadano Andrzejowi Wawrzyniakowi — dziennikarzowi, dyplomacie, podróżnikowi, twórcy najciekawszych na europejskim obszarze zbiorów i samego Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie.

— Jestem kolekcjonerem — odpowiedział Andrzej Wawrzyniak — i kiedy 40 lat temu znalazłem się w Azji zainteresowałem się tamtejszą sztuką, kulturą. Bardzo po amatorsku zacząłem zbierać pierwsze eksponaty... Temat „Azja” zajął mi następne kilkadziesiąt lat... W rezultacie kiedy w 1971 roku wróciłem do Polski zorientowałem się, że kolekcja mnie przerosła. Eksponaty rozrzucone były w kilku miejscach, nie zabezpieczone, nawet nie wiedziałem dokładnie co mam. Pierwszy odruch, to chęć otworzenia czegoś na kształt prywatnego muzeum albo galerii. Zaczęłem nawet starać się o jakieś lokum, jakieś pomieszczenie do remontu. Pierwszą barierą okazały się finanse. Jeżeli chciałem wyremontować odpowiedni budynek, musiałbym sprzedać część eksponatów, czyli okaleczyć kolekcję, która — jak twierdzi moja rodzina — była moim najdroższym dziełem. A dzieci się nie kaleczy!

No właśnie. Czy jednak ktoś się zainteresował propozycją pana Wawrzyniaka? — Nikt — odpowiada dziennikarzowi PAP. — Owszem wziął by wzięli, ale muzeum? A ja zdawałem sobie sprawę, że jeżeli moje zbiory trafią np. do Muzeum Narodowego, to powędrują do piwnic, szaf i nikt ich nie zobaczy, a przecież nie o to chodziło... „Nudziłem” tak długo, aż minister kultury i sztuki powołał komisję, która miała ocenić wartość moich zbiorów. Krótko mówiąc, komisja miała odpowiedzieć na pytanie: „co to właściwie jest?” Szesć osób pracowało kilka miesięcy, najchętniej w moim domu. Okazało się, że jest to kolekcja licząca się i sprężystość materialną, chociaż część rzeczy w ogóle nie wyszła, mogły być warte i 300 tys. i 5 mln. A komisja co na to? — „Bierzmy!” — mówi pan Wawrzyniak. — A wtedy ja postawiłem warunki: samodzielna placówka prowadząca działalność kulturalną, popularizatorską (pierwotnie tylko kółko kultur malajskich tzw. rejonu Nusanary, obejmującego Indonezję, Malezję, Singapur i Filipiny), budynek, personel, fundusze. Ponieważ jestem człowiekiem konfliktowym, zostałem mianowany dyrektorem, a nie kierownikiem, forma zabezpieczenia. Wreszcie zgodzono się, że żeby ktoś z moich dzieł mógł przejechać placówkę po mieście... Kłopoty? — „Miałem kłopoty. Przez pierwsze 10 lat muzeum, formalnie powstało w 1973 r. było bezdomne. Najpierw robiliśmy wystawy, u mnie w domu, potem po różnych, przypadkowo wynajmowanych miejscach, aż w końcu udało mi się uzyskać dwa duże budynki przy ul. Solec, chociaż nadal nie ma głównego pawilonu, nie ma stałej ekspozycji... W tej dziedzinie jesteśmy totalnymi wariacjami! Ja co roku zapowiadam mojemu zespołowi, że kończymy z partyzantką, że ograniczymy się do 6 dobrze przygotowanych wystaw rocznie, no czym robimy tych wystaw... 30. Do tej pory było ich 275, w kraju i za granicą... Czy są znani za granicą? — „Bardziej niż w kraju. Mam bardzo rozbudowane kontakty z zagranicą, skąd też otrzymujemy liczne dary, już ponad 2 tys. eksponatów na 12 tys. jakie posiada Muzeum. Ostatni dar to replika pałacy w wykonaniu przez wietnamskich konserwatorów”. A chłuba muzeum? — „Biała broń indonezyjska. Kolekcja dorównująca zbiorom białej broni w Indonezji. Miałem z tego powodu zabawne żarty, podobno „okradłem” Indonezję! Jestem tam „spalony”. Ciekawe, 4 lata temu byłem gościem ministra spraw zagranicznych Indonezji, w maju mieliśmy tam wystawę „Orient w plakatce polskiej”. Jak na człowieka „spalonego” nieźle mnie traktują...”

Oprac.: M. B.

Szkolnictwo w muzeum

Pięć lat temu, 1 września 1983 roku, staraniem działaczy oświatowych miasta i przy współpracy Kuratorium, Biblioteki Pedagogicznej i łódzkiego archiwum zostało otwarte Muzeum Oświaty w siedzibie Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej przy Wólczańskiej 23.

Najlichnijszą grupą eksponatów są różnego rodzaju dokumenty ukazujące rozwój szkolnictwa w Łodzi i okolicach. Ekspozycja zaczyna się od dokumentów z okresu powstania styczniowego, przez rewolucję 1905 roku i dwudziestolecie nie-

— Od dawna nie wypowiadał się pan na łamach prasy...
— To prawda, z małymi wyjątkami — od 1978 r.
— Dlaczego?
— Z różnych powodów, ale również z tego, że bardzo nie lubię udzielać wywiadów. Niechętnie mówię o swojej pracy. Uważam, że moje dokonania aktorskie powinny funkcjonować samodzielnie. Nie chciałem ich „tłumaczyć”. A moje życie prywatne, jest moją prywatną sprawą. W pierwszym okresie po szkole udzieliłem wiele wywiadów, a potem wszystkie wydały mi się podobne do siebie.
— W tym sprostowaniu zawartych jest wiele racji, ale wykonuje pan zawód publiczny, a to zobowiązuje do szerszej wypowiedzi, nie tylko poprzez rolę.

najbardziej „pamiętaną” rolę jest Romeo z dramatu Szekspira.
— W jakiego typu rolach czuje się pan najlepiej?
— Bardzo cenię sobie te role, po których usłyszę od kogoś: „nawet nie przypuszczałem, że możesz coś takiego zagrać”.
— Czy takie przekraczanie granic, które w życiu są trudne do przebycia, bywa skuteczną terapią dla własnych kompleksów?
— Myślę, że bycie na scenie może być i czymś takim...
— Czy aktorstwo wpływa na pańską osobowość, kształtuje ją?
— Hmm...
— Przecież każda rola coś w panu przemawia.
— No, nie przesadzajmy...
— Czy w życiu prywatnym pan także gra?

lubie w filmie dużo mówić. W życiu też jestem mało mówny, w ogóle mówienie nie jest moją najsilniejszą stroną. Przegadane sceny po prostu męczą mnie. Ciekawski jest dla mnie sposób reagowania, spojrzenia, gesty...
— Ma pan ogromne doświadczenie sceniczne, telewizyjne, filmowe, proszę powiedzieć, które role przyniosły panu największą satysfakcję?
— Proszę pani, to już 15 lat... to nie takie proste wskazać konkretne tytuły. Szalenie ważny był dla mnie początek, a więc rola Wacława u A. Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym. Spektakl cieszył się ogromnym powodzeniem. Niektórzy jeszcze dzisiaj powiadają, że to moja najlepsza rola. Przyjemnie, że widzowie pa-

„Wątpliwy komplement”

— rozmowa z KRZYSZTOFEM KOLBERGEREM.

— A może dlatego zostałem aktorem, bo dopiero na scenie znalazłem możliwość wypowiedzenia się, nie umiając znaleźć jej w życiu?
— Czy ma pan poczucie humoru?
— Na swój temat — myślę, że mam.
— A poczucie sukcesu zawodowego?
— Nie. Myślę, że mało kto ma takie poczucie. Mam świadomość, że zrobiłem może więcej niż parę innych osób, ale zawsze wydaje mi się, że to co mam do zrobienia jest jeszcze przede mną.
— W którym momencie nastąpiło u pana poczucie dojrzałości zawodowej?
— Może w tym momencie, kiedy chciałem zrezygnować z... aktorstwa. A może w stanie wojennym, kiedy dane mi było znaleźć nowy sens i nową wartość uprawiania tego zawodu, „bycia aktorem”.

— Na czym polega ta wartość?
— Wydaje mi się, że po raz pierwszy chciałem mówić nie tylko jako aktor i nie tylko ze sceny.
— Czy aktorstwo podlega rutynie?
— Staram się, żeby tak nie było.
— W jaki sposób?
— Dobieram role, które dają mi szansę rozwoju i wymagają ode mnie czegoś więcej niż do tej pory.
— Czy są to role zróżnicowane?
— Na początku byłem obsadzany w rolach romantycznych bohaterów. Po kilku zakochanych księżkach, kolejno zagranym w telewizji powiedziałem: dość!
— Którego z romantycznych książek wspomina pan najczęściej?
— Bardzo jestem przywiązany do roli Don Carlosa — może dlatego, że była pierwszą główną rolą w teatrze telewizyjnym, choć wiem, że

— Nie więcej niż inni ludzie.
— W życiu prywatnym jest pan związany z aktorką, czy rodzinno-zawodowy tandem wywala konkurencję?
— Bardzo zabiegam o to, aby nie łączyło mojego życia prywatnego z życiem zawodowym.
— Ale jednak w filmie R. Zaluskiego pt.: „A jeśli się odnajdziemy” stworzyliście Państwo parę, jakby żywcem z życia przeniesioną na ekran, no może w zupełnie inne realia...
— I tak i nie. Fakt, że jesteśmy małżeństwem nie był jednoznaczny z przeniesieniem naszej prywatności do filmu. Zagrałmy tylko to, co było napisane w scenopisie.
— Czy to znaczy, że zawsze pan się dystansuje do roli?
— Nie, widzi pani, pracując nad rolą nigdy z góry nie wiem, nie zakładam. Przecież wiele zależy od sytuacji, w jakiej się człowiek znajduje w trakcie kreowania konkretnej sceny. Należę do aktorów bardzo silnie reagujących na otoczenie, dlatego, gdy ktoś proponuje mi współpracę, moje pierwsze pytanie brzmi: z kim mam grać? Bywa, że jakiś drobny wyzwał pomyśl zagrańca sceny. Niedawno w „Kancelerzu” R. Bera grałem scenę erotyczną. To jest dość trudne zadanie aktorskie, no bo, co można pokazać nowego? Na planie, w dekoracji były pomarańcze. One właśnie nagle stworzyły całą scenę. Gdyby ich nie było, zapewne ta scena wyglądałaby zupełnie inaczej. Sytuację wywołał pomyśl, nie mający nic wspólnego z moimi doświadczeniami w tej dziedzinie.
— Jakich scen nie lubi pan grać?
— To może śmiesznie zabrzmieć, ale moich ustach, tym bardziej że w teatrze głównie grałem role oparte na długich monologach, ale nie

miętają, ale usłyszeć po 15 latach, że moja pierwsza rola w całym moim dorobku jest najlepsza, to już wątpliwy dla mnie komplement. Ale rzeczywistość ta postać wyrzła się w moją pamięć. Z innego powodu ważną rolę odegrał się Konrad w „Dziadach”. Był to przełomowy moment w moim życiu. Zostałem ojcem, zdarzyło się parę śmierci bliskich mi osób, sam uległem poważnemu wypadkowi samochodowemu... I tu możemy wrócić do pytania o wpływie życia na to, co się dzieje na scenie. Po powrocie ze szpitala, rozmawiając z A. Hanuszkiewiczem, po próbie, o tym co zrobiłem na scenie w tym dniu usłyszałem: „Słuchaj Krzysztole, ty jesteś zupełnie innym człowiekiem”.

— Kim byłby pan, gdyby nie wybrał zawodu aktora?
— Hmm... Nie wiem. W dzieciństwie chciałem być... księdzem.
— A kominiarzem nie chciał pan być?
— Nie, ale muzykiem też chciałem! Pianistą.

— Gra pan na jakimś instrumencie?
— Nie.
— Może córka spełni pana marzenia?
— Jakoś nie zanosi się...
— No to życzę panu zięcia muzyka. A co będzie jeśli córka pojdzie w ślady rodziców?
— Życie pokaze...
— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA



Foto: Andrzej Maras

Kronika

CEKAWY EKSPONATY wzbogaciły niedawno zbiory Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi.

Należą do nich m.in. drzeworyty (26 sztuk) Stanisława Żukowskiego, Mariana Stepińskiego, Jana Knothe, Stefana Michalskiego. Zostały one wykonane podczas ostatniej wojny — w obozie jenieckim w Woldenbergu.

Zestaw cennych pamiątek stanowią również fotografie łódzkich robotników, uwiecznionych podczas pracy, uroczystości rodzinnych i odpoczynku.

W MAGAZYNACH MUZEUM NARODOWEGO W KRAKOWIE odnaleziono, przypadkowo, cenny zbiór plakatów rosyjskich i radzieckich z lat 1905-1920.

Z pewnością złoże się one na interesującą ekspozycję.

ALOJZY BUKOLI, były dyrektor Centrali Wynajmu Filmów w Bydgoszczy (obecnie na zasłużonej emeryturze), od najmłodszych lat gromadził wszelkie pamiątki i materiały, dotyczące historii kina niemelego.

Obecnie zajmuje się organizowaniem ekspozycji, poświęconej pamięci Pol Negri. Ta wielka gwiazda ekranu urodziła się niedaleko Bydgoszczy, i w mieście tym nabyła dom, dla swojej matki.

TEGOROČNYM LAUREATEM głównej nagrody — „Złotego Kamelona” — Festiwalu Muzyki Rockowej w Jarocinie zostali „Zielone łabki” z Jawora. Na drugim miejscu uplasował się zespół pod nazwą „Chłopcy z Placu Broni”, na trzecim — „Egzekutor”. Akredytowanym dziennikarzem najbardziej przypadła do gustu grupa muzyczna „Wielkanoc”.

Publiczność festiwalowa szokowała zarówno muzyką, jak i nazwy zespołów. Do już wymienionych dodajmy — na przykład — „Magistra z wiejścia przysiadła mózgowa”.

„Złota czcionka” dla pomysłodawców „uderzeniowych” nazw.

IWONA BARTOSIK, dotychczasowy kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KL PZPR, została — z dniem 1 sierpnia br. — kuratorem oświaty i wychowania województwa łódzkiego.

Jest absolwentką Wydziału Filozoficznego.

Historycznego UL w oświacie przeprowadziła 11 lat, rozpoczynając pracę jako wychowawczyni w domu dziecka. Następnie uczyła historii w łódzkich szkołach i kierowała balunką oświaty. Później 13 lat pracowała w aparacie partyjnym.

Uważa, że na hobby, którym jest dla niej literatura piękna, malarstwo i muzyka — pozostaje bardzo mało czasu.

PODŁAS SOPOCKIEGO MIĘDZYNARODOWEGO FESTIWALU PIOSENKI, który odbędzie się w dniach 17-20 bm. w Operze Łódzkiej, wystąpi 26 piosenkarzy, reprezentujących 21 krajów.

W konkursie o Grand Prix wykonawców oceniał będzie międzynarodowe jury, pod przewodnictwem Czesława Niemena.

Przewidziana jest „szalawa” konferansjerka. Koncerty poprowadzą bowiem: Krystyna Łoska z córką Grażyną Torbińską i Lucjan Kydryński z synem Marcinem.

POCIESZAJĄCA I MIARODAJNA WIADOMOŚĆ dla zaniekopokojnych i rozsierdzonych subskrybentów, „silniaczajacy się”, tzw. „finiskie” edycji 4-tomowej „Encyklopedii powszechnej PWN”.

Jak nas poinformował redaktor naczelny Zespołu Encyklopedii i Słowników PWN — Ryszard Marcinkowski — pod koniec tego roku powinien dotrzeć do księgarni tom trzeci, zaś w połowie przyszłego roku — ostatni. Trzymamy „za słowo”, panie redaktorze!

PREZES SW „CZYTELNIK”, STANISŁAW BEBENEK, w wywiadzie udzielonym „Kurierowi Polskiemu”, o cenach książek powiedział: „Przy niezamierzonym ciągle jeszcze ostrym procesie inflacji, mówienie o stanie tego szczególnego towaru, jest abstrakcją. Martwimy się raczej, by drożenie książki nie nabrało charakteru epidemiologicznego. Trzeba szukać mecenasów, zwłaszcza książki niskokupkowej.”

Cóż powie na to dictum, przepojony urzędowym optymizmem minister, prof. Aleksander Krawczuk?

W SPECJALNYM ALBUMIE, przygotowanym i okazy 40. rocznicy powołania UNESCO, odnotowana została twórczość łódzkiego plastyka — Grzegorza Szablowskiego (pomieszczone jego wypowiedzi oraz szkice, z reprodukcją, o twórczości artysty).

W PLANACH WYDAWNICZYCH OFICYNY TPPE „WSPÓŁPRACA”, znajduje się kilka publikacji wynalazczych tzw. „białe plany”. Są to m.in.: powieść Borysa Jampolskiego „Ulica moskiewska” (o strachu paraliżującym ludzi w okresie „kultu jednostki”), Anatolija Zygułina „Życie na Kolumbie” (o obywateli stalinowskich), Fiodora Burlackiego „Chruszczow”, prof. Róży Miedwiediewa „Rewolucja 1917 roku”, „Brzeźniew” oraz książka o Stalinie.

A więc sama, muirowane bestsellery.

WDOWA PO JANIE RYBKOWSKIM, znanym reżyserze, wieloletnim kierowniku zespołu filmowego „Rytm” — Maria Rybkowska — przekazała łódzkiemu Muzeum Kinematografii cenne pamiątki, pozostałe po mężu.

ARIANNA S. HUFFINGTON, autorka kontrowersyjnej biografii „Picaśko”: „twórcą i niszczycielem”, twierdzi, iż artysta był patologiem, nienawidził do kłobit.

Według niej, symbolizującą ją niektóre obrazy i rysunki Picaśsa. Jak pisał w książce, swoją słynną modelkę Maarę, malarz często bił i upokarzał.

ELIZABETH TAYLOR oświadczyła dziennikarzom, że obecnie głównym jej celem w życiu jest wspomaganie walki z AIDS.

Założona przez aktorkę fundacja zgromadziła już na ten szlachetny cel 12 mln dolarów.

NA EKRANIE KIN MOSKIEWSKICH wszedł film Dmitrija Barszczewskiego i Natalii Wołnyj „Ryzyko II”, poświęcony historii radzieckiej bomby atomowej.

POLSKA KINEMATOGRAFIA, na tegorocznym 45. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji, reprezentowała będzie film Wojciecha Haasa „Niezwyciężona podpora Białasza Kobera”.

Do głównej nagrody kandydują 22 filmy fabularne, wyselekcjonowane spośród 150 zgłoszonych.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

było więc już nikogo, kto mógłby stanąć w obronie Meyerholda. W owych dniach odwiedził Meyerholda Borys Pasternak. Zinaida Reich (żona reżysera, wybitna aktorka) zadawała mu pytanie: „Czy to prawda, że sytuacja się poprawiła i że skończyły się aresztowania?”. Odpowiedź brzmiała: „Niestety, nie. Ostatnio zmarł w etapowym więzieniu Mandelstam” (...). 20 czerwca 1939 r. został aresztowany. Zanim go aresztowano usiłował dodzwonić się do Moskwy Zinaida Reich usłyszała jego głos, lecz nie zdążyła odpowiedzieć. Rozmowę przerwało. Rewizja przeprowadzona w moskiewskim mieszkaniu Meyerholda trwała 12 godzin. W tym mieszkaniu została w niespełna miesiąc później zamordowana Zinaida Reich. Nieznani sprawcy zadali jej dziesięć ciosów nożami. Wkrótce po jej pogrzebie cała rodzina Meyerholda i Reich została bezceremonialnie i w trybie nagłym wysiedlona z Moskwy...

Nie pomogło publiczne okazywanie się Meyerholda na ogólnozwiazkowych konferencji reżyserów 13 czerwca 1939 r. Został rozstrzelany w 1941 roku.

TA OSTATNIA NIEDZIELA

Trzy lata temu Marek Łuczak

wpadł na pomysł, aby jedną z letnich niedziel poświęcić muzyce country. Propozycję podchwycił Dzielnicowy Dom Kultury na Widzewie. W tym roku, już po raz trzeci widzowski amfiteatr w ostatnią niedzielę sierpnia będzie rozbrzmiewać muzyką country.

Występujące zespoły będą oceniane publicznością, wśród której po przyznaniu najlepszemu zespołowi trofeum konkursowego, zostanie rozlosowanych kilkanaście płyt gramofonowych. A kogo oceniać będzie publiczność? Dziś wiadomo, że będzie Country Road i Western Standard. Może wzorem ubiegłego roku w ostatnią niedzielę sierpnia zagrają w Łodzi najlepsi wykonawcy z Mragowa. Ba, może konferansjerem będzie sam Korneliusz Pacura. Jedno jest pewne na sto procent — 28 sierpnia Widzew będzie rozbrzmiewał muzyką country.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Robert F. Stratton „Czas nietoperza” — 1200 zł (cena nominalna 600 zł); Maria Dąbrowska „Dzienniki” — 8000 zł (cena nominalna 5000 zł); Lucy Moud Montgomeri „Błękitny zamek” 600 zł

(cena nominalna 380 zł); David H. Lawrence „Kochanek lady Chatterley” — 1000 zł (cena nominalna 670 zł); Witold Gombrowicz „Dzienniki 1961-1968” — 2000 zł (cena nominalna 1150 zł); A. Bakowski, S. Stupkiewicz „Z rybami na ty” — 1000 zł (cena nominalna 650 zł); Zbigniew Świąch „Kłatwy, mikroby, uczeni” — 1200 zł (cena nominalna — 650 zł); Mariusz Karpowicz „Barok w Polsce” — 4500 zł (cena nominalna 3800 zł); Aleksander Kondratow „Zaginione cywilizacje” — 1500 zł (cena nominalna 1200 zł); Tomasz Goworek „Samoloty myśliwskie i wojny światowej” — 800 zł (cena nominalna 450 zł); „Słownik kultury antycznej” 4500 zł (cena nominalna 3600 zł); Roman Bratny „Nagi maj” 500 zł (cena nominalna 300 zł); Tadeusz Dołęga-Mostowicz „Znachor” — 900 zł (cena nominalna 800 zł); „Słownik poprawnej polszczyzny” — 4000 zł (cena nominalna 1800 zł); Hans Frey „Moje akwarium” — 1000 zł (cena nominalna 800 zł) Krzysztof Boruń, Stefan Manczarski „Tajemnice parapsychologii” — 700 Mary McCarthy „Grupa” — 1000 zł; „W ojczyźnie Chrystusa (Przewodnik po Ziemi Świętej)” — 1600 zł

watnych, jest od prezesa rady ministrów dla Technikum Łączności. Można tu zobaczyć oryginalny zbiór pomocy naukowych do fizyki, geografii, astronomii i chemii (dla wyciągatorów), są lawki, jakich dziś już się nie spotyka, z unikalnymi kalamarzami.

Muzeum Oświaty, oprócz funkcji wystawienniczej, pełni funkcję badawczą, opracowuje dokumenty. Z 1000 prac uczniów tajnych kompletów wybrano i przygotowane do druku 50. Opracowano także około 130 biogramów nauczycielskich. Przygotowano do druku album „Historia sztandarów szkół łódzkich”.

W muzeum organizowane są seminaria dotyczące rozwoju szkolnictwa, prowadzona jest współpraca z Uniwersyteciem Łódzkim.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Fraszki

JAN GROSS

TARCZA OCHRONNA

Czasem za dużym polem czoła, Kryje się mały mózg matola.

DO URODZIWEJ AKTORKI

Rola to dla mnie będzie wymarzona, Gdy ujrzę cię w akcie Po kilku odsłonach.

SPRYCIARZ

Słus: nie uchodził Za sprytnego: Bierze pod włos Nawet tysego.

UROČA KASJERKA

Całując jej usta Myśl mam grzeszne I wyznam w sekrecie, Ze czekam na resztę.

POZORY MYŁA

On ją co chwile Bierze w ramiona, Tak mocno w rękę Trzyma go ona.

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

ARNOLD MOSTOWICZ

Konfrontacja (2)

Później przybył z zachodu zaczął masowo wymierać: na rozpadową gruźlicę, na czerwonkę, na tyfus, a najczęściej po prostu z głodu. No i przy każdej okazji, kiedy Niemcy żądali wysiedlenia jakiejś liczby Żydów, przybyli byli pod ręką, jak znalazł. Tajemnicą poliszynela było, że w obozowej większości wypadków wysiedlonych posyłano na śmierć. Tajemnicą poliszynela było także i to, że podobny los Niemcy zgnotowali wszystkim Żydom. Ludzono się ciągle nadzieją, że nie zdąży. Przekonywano się też nawzajem, że im się to nie opłaci, przy dochodach, jakie przynosił getto. Dlatego też z ledwo ukrywana ulgą przyjmowano do wiadomości, że usuwa się na razie z getta tych obcych, w dodatku nie pracujących. Stwarzało to nadzieję, że życie getta będzie przedłużone, jeśli mniej w nim zostanie gęb do nakarmienia. Kalkulacja taka, faktycznie nieludzka, była uzasadniona, gdyby stosunek Niemców do zamkniętych w getcie Żydów oparty był wyłącznie na zasadzie korzyści, to znaczy na kalkulacji, iż niewolnicza praca dać może maksimum zysku przy minimalnych kosztach. Wystarczyło jednak krótkie doświadczenie pierwszych lat, by przekonać się, że obłąd ideologii rasistowskiej usuwał w cień racje ekonomiczne. Zresztą może i grały one jakąś rolę; niewykluczone, że stojące bezużytecznie komory gazowe i piece krematoryjne utrudniały amortyzację...

„Ocknął się. W pokoju było cicho. Chora zasnęła. Zasnęły też i dzieci. Spojrzał na zegarek: Sanitariusza nie było już dobrą godzinę. Siegnął do pudła z lekarstwami i wyciągnął stamtąd zeszty z wezwaniemi do chorych. Było tych adresów jeszcze dziewięć. Wszystkie z adnotacją: atak serca. Wzywający wiedzieli, że

Nazajutrz po skończonym dyżurze nie poszedł jak zwykle do domu, by się trochę przespać, lecz prosto do szpitala. Trochę z ciekawości, trochę, by z miejsca zażegnać burzę. Wiedział, że to, co zrobił, było niedopuszczalne.

W Izbie Przyjęć zapytał o małą Reiserówną, którą pogotowie w nocy przywiozło do szpitala. Nie dokładnego nie potrafili mu powiedzieć. Udał się na pierwsze piętro, do lekarza miejscowego. Ten, gdy tylko go zobaczył, nie nie mówiąc wręczył mu odpis raportu, jaki zamierzał wysłać do Wydziału Zdrowia.

— Szpital broni się przed zawżeniem i nam się to jakoś udaje, a ty jakby nigdy nie przysyłasz dziecko tak zawżone, że starczyłoby na oddzielenie trzech szpitali.

— Oglądałeś dziecko?

— Oglądałem dzisiaj rano.

— Żyje?

— Żyje i, co dziwniejsze, będzie żyło. Wyjdzie chyba z tego.

— Gdyby trzeba było czekać do rana, aż przyjdzie ekipa sanitarna, i gdyby ekipa sanitarna dopiero pod odwżeniem skierowała dziecko do szpitala, jak ci się zdaje — byłoby jeszcze żywe?

— Wiesz dobrze, że to, nie jest argument. W getcie nie można uprawiać filantropii, i to kosztem całego szpitala.

— Wysyłaj ten raport, gdzie chcesz. Wiem, że gdybyś był na moim miejscu, zrobiłbyś to samo.

Było dwóch lekarzy miejscowych. Ten, z którym rozmawiał, cieszył się opinią człowieka niezwykle przyzwoitego. Nie czekając na jego odpowiedź wyszedł. Gdy zamykał drzwi, kątem oka dostrzegł, że tamten, zatroskany, czyta swój raport jeszcze raz.

Poszedł na salę szpitalną. Dziecko było ciągle nieprzytomne. Na białej poduszce twarzyczka odbijała się ciemną szarością. W kąciach ust i w zagłębieniach przy nosie widniały czarne smugi, których widocznie nie udało się na razie zmyć. Dziewczynka miała włosy jasne jak malka i jak u matki wtedy na Franciszkańskiej jeden pukiel opadał jej na czoło.

W ciągu pierwszego tygodnia odwiedzał dziewczynkę prawie co dzień. Pod koniec drugiego mogła już trochę spacerować, chociaż ugięły się pod nią cienkie jak zapalki nogi. Czekala teraz na niego i tuliła się jak mały piesek. Pielęgniarki powiadzały jej, że matka i braciśzek nie żyją. Przyjęła tę wiadomość z powagą, jak dorosły człowiek. I ona widąc w ciągu tych kilku miesięcy w getcie przywykła do śmierci. Po miesiącu pobytu w szpitalu już prawie przypomniała ową wesołą dziewczynkę z obozu przejściowego na Franciszkańskiej, której szukał brat. Pielęgniarki i lekarze ubóstwiali ją. Niestety nie mogła w szpitalu pozostać dłużej. Trzeba ją było przesłać do sierocinca, gdzie widywał ją już znacznie rzadziej.

Dopiero w pół roku później razem z pozostałymi dziećmi sierocinca załadowano ją podczas wielkiej szpery wrześniowej na furmankę, a z furmanki na samochód ciężarowy. Jak wszystkie prawie dzieci getta a więc i dzieci Goldsztajnow, została w tym samochodzie, zamienionym przez Niemców na szczelnie zamkniętą komorę gazową.

Zastanawiał się później czy ci, którzy samochód ten otworzyli, zwrócili uwagę na jej przepiękne włosy. Załował też, że wówczas, podczas dyżuru pogotowia, naruszył przepis. Gdyby umarła w swoim barłogu, czekając na brygadę sanitarną, nie musiałaby śmierci patrzeć w oczy. I jeszcze mówiono, że umieranie pod wpływem spalin trwało kilkanaście minut. Cyklon załatwiał to podobno znacznie krócej.

go nie jestem pewien. Łódź to były trzy, co ja mówię, cztery miasta, albo i więcej. Na pewno więcej. Była Łódź Polaków, Łódź Żydów, Łódź Niemców, Była Łódź Bałut, Łódź Chojen, Łódź Śródmieście. W mojej pamięci, bo przecież do niej zechciał się pan odwołać, pozostała Łódź ulic i dzielnic zamieszkałych głównie przez bałaśliwą, rozdygotaną, zagonioną, niespokojną biedotę żydowską, żyjącą od soboty do soboty, od Jom Kippur jednego roku do Jom Kippur drugiego. Na Nowomiejskiej i na Wschodniej, na Kamiennej i na Pełperna, na Południowej i Żydowskiej — ona właśnie, ta kapociarsko-rzemieślniczo-handlarska biedota była wizytówką miasta. (Już widzę, jak któryś z sumiennych historyków analizując ten fragment mojej opowieści zapyta o klasę robotniczą, o ruch rewolucyjny, o... Tylko że ja nie o tym. Ja o sprawach, którymi sumienny historyk nawet nie powinien się interesować. Po prostu nie wypada). W ponurych, szarych, brudnych kamienicach ponure, szare, brudne mieszkania zachowane były gratami i dziećmi i zawsze pachniały cebulą i praniem. W tych to mieszkaniach podczas piątkowo-sobotnich spotkań opowiadano sobie o fortunie Poznańskiego, o mądrości i wplywach tego czy innego cadyka, o ostatniej roli Molly Pi-con, o chorobach dzieci i o podatkach, co oddychać Żydom nie pozwalają, o Palestynie i o Trockim. Tutaj też rodziła się i przechodziła z ust do ust legenda o łódzkiej dintojry i o jej bohaterach, o Fajwlu Buchu, o Szaj Magnacie, a przede wszystkim o Slepym Maksie.

Dintojra... Wie pan chyba, skąd ta nazwa pochodzi? Dosłownie znaczy: sąd według zasad Tory. Takie sądy sprawowali rabin, a później terminem dintojry określano wszelkie sądy polubowne, to znaczy takie, które pozwalały na omijanie zwykłych, oficjalnych sądów państwowych reprezentujących władzę i porządek administracyjny goiów. Wielowiekowe doświadczenie nauczyło Żydów, aby do takiego sądu, reprezentującego porządek prawny społeczeństwa, w których żyli, odnosić się z daleką idącą rezerwą. Nie nie wzbudzało zaufania — ani przewlekła procedura, ani decyzje, wyroki, orzeczenia, na które miały wplyw siły nie zbadane, najczęściej wrogie Żydom.

Dintojra stwarzała rekonję, że wyrok będzie bezstronny, tym bardziej że obydwie strony uzgadniały skład sądu i obydwie strony zobowiązywały się do decyzji tego sądu respektować. Rozumie pan? Dopiero później nazwa ta przeszła na sądy czy wyroki świata przestępczego, rozstrzygające wszelkie spory w myśli niepiśmianych praw, zwyczajów czy zasad środowisk przestępczych. Bardzo ważne było to, że zgodnie z sensem pierwotnego wyroku dintojry były święte i nie było od nich odwołania. Niech mnie pan nie ciągnie za język... Nie jestem specjalistą w tych sprawach i nie jestem przygotowany do rozwinięcia tego tematu, który, jak widzę, bardzo pana zainteresował, ale niech mi pan wierzy, dintojra stanowiła ważny czynnik w kreowaniu swoistych norm postępowania obowiązujących w żydowskim świecie przestępczym, a później nie tylko żydowskim. Dzięki dintojrze powstały pewne reguły gry, które pozwalały na lepszą organizację a przede wszystkim dyscyplinę. Nie muszę chyba pana przekonywać, jakie w tym świecie ma to znaczenie...

Powiedziałem panu, że nie zamierzam rozwijać tego tematu, ale chciałbym jeszcze podzielić się z panem pewnymi spostrzeżeniami, które za chwile przeniesie nas, jeśli pan pozwoli, za ocean. A w czasie — w lata dwudzieste i trzydzieste tego wieku. Lata trzydzieste to w Stanach Zjednoczonych złota lata prohibicji. Złota — dla różnego rodzaju band, gangów, potężnych organizacji o obrotach idących w setki milionów dolarów, organizacji zatrudniających tysiące ludzi; kontrolujących produkcję, transport i handel alkoholem, setki domów publicznych, tysiące domów gry, nocnych lokali, racket, rządzący syndykami, a przede wszystkim Tammany Hall — partię demokratyczną w Nowym Jorku.

W związku z tym potężnym, można rzec, wspaniałym wzrostem siły świata przestępczego, czyje to nazwiska były wówczas na ustach wszystkich, a już na pewno nie znikły z łamów prasy? Pan oczywiście tego ani pamiętać, ani wiedzieć nie może. O toż były to nazwiska prawie wyłącznie Włochów i Żydów.

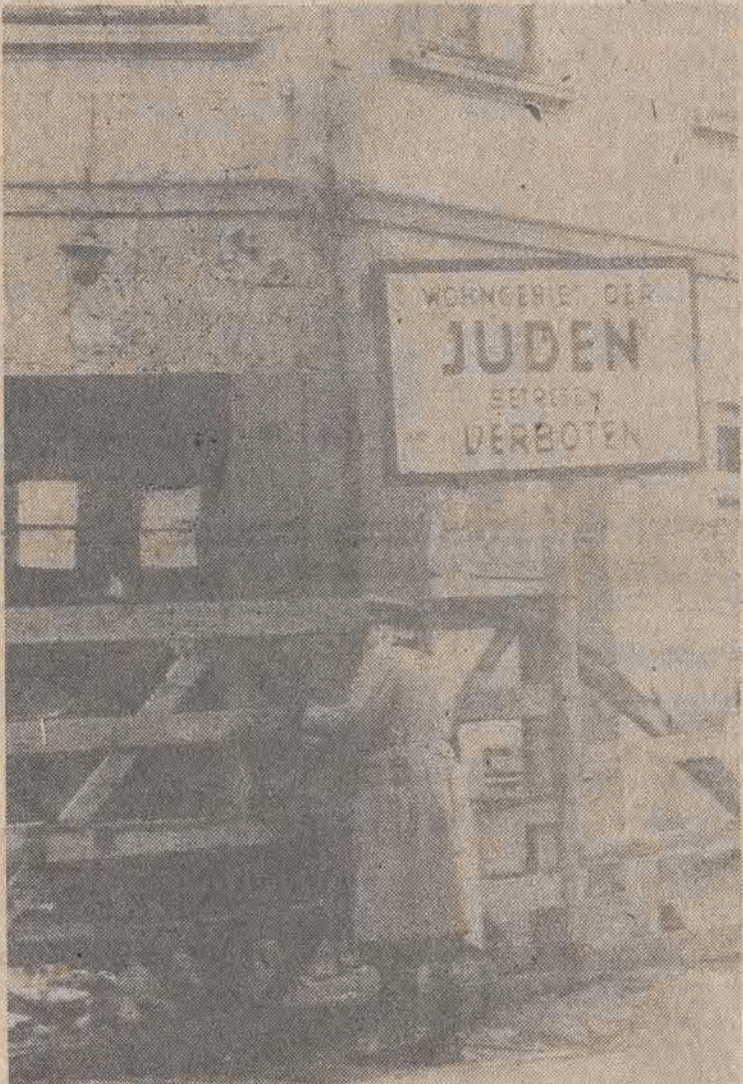
Jeśli o Włochów idzie, rzecz wydaje się zrozumiała: przeniesiono do Nowego Jorku, do Chicago czy Los Angeles prawa mafii, a przede wszystkim organizację mafii. Jeszcze z początkiem tego wieku niejaki Ignazio Saitta sprowadził pierwszych mafioso do Nowego Jorku i do Chicago. Później Joe Masseria, Cira Terranova, Alberto Anastasia, Vito Genovese, no a przede wszystkim Al Capone i Lucky Luciano wspięli się na najwyższe szczeble hierarchii świata przestępczego. Ale przecież nie tylko oni są bohaterami złotej legendy tych czasów. Jeśli pan będzie kłódy w Nowym Jorku, niech pan pomówi ze starymi barmanami, z rentierami obcinającymi kupony z zysków zgarniętych w okresie bootleggerstwa, z dziennikarzami pamiętającymi czasy najbardziej skorumpowanej w historii Stanów Zjednoczonych, a może w ogóle w historii polityki instytucji — Tammany Hall. Niech pan ich wszystkich wypyta, a powiedzą panu, że ta złota legenda byłaby jedynie zbiorem kronikarskim informacją prasowych, gdyby nie, takie postaci, jak genialny Arnold Rothstein, Lubu Rozenkrantz, Abe Landau, Abbadabba Berman, Mendy Weiss, Jack Zelig, Gurnhy Shapiro czy szefowie Murder Inc. założonej przez Lucky Luciano. — Bo Weinberg i Lepke Buchalter, którzy, jak na takich fachowców przystało, skończyli na krześle elektrycznym. Skąd się wzięło tam tyle Żydów? Może pan powiedzieć, że Włosi czy Żydzi stanowili najliczniejsze, a jednocześnie najbardziej wydzielone grupy etniczne. Może pan tak powiedzieć, ale każdy przypomni panu, że weale nie mniejszą grupę biedoty nowojorskiej stanowili Irlandczycy, w Chicago — Polacy, wszędzie — Portorykańczycy. A poza tym taki Arnold Rothstein był synem bogatego przedsiębiorcy, a Lucky Luciano — synem właściciela stajni wyciskowej. Niech pan nie szuka w ekonomice odpowiedzi na to pytanie. Prawda bowiem jest ta, że prawa i obyczaje mafii znalazły uzupełnienie w prawach i tradycjach dintojry. A może nawet i na odwrót...

Nie byłoby wszystkich tych sprawnych organizacji gangsterskich, które dzisiaj należą do legendy, gdyby nie niepiśmiana prawa dintojry i mafii. Na tym fundamencie mogły dopiero się rozwinąć — talent organizacyjny Lucky Luciano, zdolności finansowe Arnolda Rothsteina i Al Capone'a czy rozmach Lepke Buchaltera. Tu Sytyla i miasta Europy Wschodniej podały, sobie rece. Taki Arnold Rothstein chlubił się, prosząc pana, tym, że nigdy nie odwołał się do pomocy policji czy sądu, aczkolwiek mogło mu to być pomocne w jego rolicznych interesach. A kiedy został śmiertelnie postrzelony w jakimś hotelu — nie zdradził policji nazwiska tego, kto do niego strzelał, zabrał je z sobą do grobu. Czy to nie wspaniale? Uważa pan, że się trochę w tym entuzjastycznie zagalopowałem? Możliwe.

Tylko niech pan nie sądzi, że przemawia przeze mnie jakaś narodowa duma. To jedynie podziw, a jednocześnie i pewna pretensja do Pana Boga, który jak zwykle nie wtedy, kiedy potrzeba, pamięta o swoim narodzie wybranym. Podczas gdy włoscy mafioso po latach wzbłotów i burz dożywali chwały, jak na przykład Lucky Luciano, który osiadł w swojej ojczyźnie Sytyli, lub jak Vito Genovese czy Albert Anastasia, którzy zebrały sobie godne szacunku miliony, przyjmowani byli z otwartymi ramionami w ekskluzywnym towarzystwie nowojorskich bogaczy, to taki Buchalter, Weiss czy Weinberg skończyli na krześle elektrycznym, a Arnold Rothstein czy „Dutsch“ Schultz (jedeny Żyd nie ze wschodniej Europy) padli ofiarą porachunków osobistych...

(Jest to dalszy ciąg fragmentów książki Arnolda Mostowicza „Złota Gwiazda i Czerwony Krzyż”).

C.D.N.



Scena z łódzkiego getta.

tylko w ten sposób skłonią pogotowie do szybkiego przyjazdu. Z reguły te ataki serca okazywały się osłabieniami z głodu i wycieńczenia. Zresztą szybki przyjazd pogotowia był i tak iluzoryczny. Przy braku telefonów wzywający musiał wpięć odbyć pieszą wędrowkę do pogotowia, a lekarz z pomocą mógł przybyć w najlepszym razie po kilku godzinach. Wielkim usprawnieniem w pracy pogotowia okazała się druga dorożka. Wobec tego, że dwie części getta przedzielone były drutami, a połączone mostami, każda dorożka obsługiwała jedną z tych części...

Wreszcie usłyszał kroki na schodach. Drzwi się otworzyły i wszedł sanitariusz wnosząc ze sobą chłód nocy.

— Załatwione, panie doktorze. Dla tych dwojga z dołu trzeba będzie wypisać karty zgonu.

Zapomniał o tym.

— Zaraz napiszę. Przyjęli dziewczynkę?

— Niech się pan lepiej nie pyta. Najpierw osłupieli, jak zobaczyli pakunek, a później omal nie dostali ataku szału, jak zaszli do środka.

— Lekarz dyżurny zbadał ją?

— Na odległość. Dziecko weszło do kaflowej wanny i strumieniami wody zmywali wszy. Lekarz powiedział, że i tak nie wyżyje.

— Daj pan blankiety. Tam na dole muszą być jakieś dokumenty czy papiery.

Znalazły się. Leżały w szufladzie stołu. Kobieta nazywała się Marie Luise Reiser i miała trzydzieści sześć lat. Chłopiec nazywał się Ludwik. Dziewczynka miała dwa imiona — Sara Elżbieta, co było dowodem, że się urodziła, kiedy Żydów niemieckich obowiązywał już przymus nadawania dzieciom przynajmniej jednego imienia żydowskiego. Machinalnie wypisał karty zgonu, a dla dziewczynki skierowanie do szpitala.

— Trzeba będzie te karty zgonu zanieść jutro do Wydziału Administracyjnego.

— Kto to zrobi, panie doktorze? — zaniepokoił się mężczyzna.

— Ktoś to musi zrobić. Przecież inaczej nikt stąd tych zwłok nie zabierze! — zdenerwował się sanitariusz.

Zrozumiał, że mając psychicznie chorą żonę, mężczyzna do pracy iść nie może i w ogóle nie może ruszać się z domu.

— Dobrze. Niech pan jutro zostanie cały dzień przy żonie. Pogotowie zawiadom Wydział Administracyjny. Przysła karawan. Myślę, że jutro przyjdzie także psychiatra... Do widzenia panu. Dziękuję za przesłanie. Postaramy się je odesłać...

Prawdziwy koniec łódzkiej dintojry

Początek tego, co mam panu do powiedzenia, sięga bardzo dawnych czasów. My, Żydzi, wie pan, tak bardzo przywykliśmy do batów historii, że nasze dzieje poszatkowaliśmy według klęsk, którymi żydowski Pan Bóg doświadczał swój naród wybrany. Od niewoli egipskiej począwszy stopy milowe tych dziejów z rzadka tylko wskazywa na epoki względnego spokoju i jeszcze względniejszego dobrobytu. Większość stupów przybrana jest podartym talosem lub zakrwawioną poszwą o pogromie. Jeszcze w okresie mojego dzieciństwa, gdy w sobotnie popołudnia cała rodzina zbierała się u mojej babki, o rzekach dokonywanych przez kozaków Petlury czy białogwardystów Denikina opowiadano sobie jak o wydarzeniach ciągle aktualnych, jakby cytowano z gazety kronikę wypadków. Wydarzenia te, być może podświadomie, przyjmowane były przez wielu Żydów jako coś, co pozwala uwiarygodnić bieg historii. Bez nich byłaby nierzeczywista. Czasy mojej młodości oznakowane były innymi rzekami i pogromami. Ukryżowani zostali Żydzi przez naród, który ukochali, a rolę Piłata spełniał cały świat cywilizowany, ze swoimi instytucjami i kościołami. Nie, nie... Niech mi pan nie przerywa. Naprawdę nie ma się o co spierać. Chętnie się z panem zgadzam, że rozpocząłem to opowiadanie uderzając w nazyty potężny dzwon, choć to przecież ani Hagada, ani Księga Estery. A poza tym, jakie w ogóle znaczenie może mieć mój pogląd na te sprawy? Mniej on znaczy niż pyłek na klapie pańskiej marynarki... O tutaj, pozwól pan, że go strąsne. Chciałem tylko podkreślić, że historia, którą zamierzam panu opowiedzieć, mieści się w okresie, którego początek stanowił cezura pogromów kozackich, a koniec cezura rzezi hitlerowskich. W okresie spokoju, kiedy to najwyższe „Maly Dziennik” zajmował się powszechnym szkoleniem społeczeństwa w zakresie podstawowej wiedzy i podstawowych zasad antysemityzmu. Frank przyjeżdżał na wykłady do Polski zapraszany przez niektóre gremia profesorskie, a Przytyk i Radom, które w drugiej połowie lat trzydziestych były terenem krwawych pogromów żydowskich, przypominały, że Żydzi nie powinni dostawać zawrotu głowy od nadmiaru spokoju.

Jednym słowem, to, co zamierzam panu opowiedzieć, dotyczy maleńkiego fragmentu żydowskiego życia, między dwiema wojnami i w początkach okupacji, a ten fragment tak się ma do wielkich spraw ówczesnej historii, jak nieprzymierzając fortuna sklepikarza z Nowomiejskiej do fortuny Rotszyda. Mam wrażenie, że na ten fragment nawet sam Pan Bóg nie zdażył zwrócić uwagi, aczkolwiek i tak nabyłby interesu się wszystkim, co jest związane z losem jego narodu... Widzę, że się pan niecierpliwi. I słusznie. Ja tu niepotrzebnie filozofuję, ale niech mi pan wybaczy, tę historię o końcu łódzkiej dintojry musiałem jakoś zacząć...

To było bardzo dziwne miasto, owa Łódź, przez nikogo w tych czasach nie kochana. Może przez jej mieszkańców, chociaż i te-

Teraż chodziło o to, żeby dostać się do Belgii, ponieważ Georgia ubzduriała sobie, że jeśli tam poproszą o azyl, to dostaną go natychmiast. Była wprost zakochana w tym niewielkim kraju, od czasu, kiedy wracając z Duchem z Nigerii, zatrzymała się na tydzień w Antwerpiu, oraz na kilka dni w Gandawie. Zwiedziła wtedy inne miejscowości, Brugge, Brukselę — w stolicy spodobała im się szczególnie dzielnica Uccle, pełna zieleni i bogatych domów.

— Tutaj kiedyś będę mieszkała — powtarzała Georgia, nie biorąc już wówczas w swoich planach Ducha pod uwagę — będziesz mnie odwiedzał ze swoją nową żoną.

Jej pewność siebie była przekonująca do tego stopnia, że Duch w pewnych momentach wierzył jej całkowicie. Ale w innych chwilach zadawał sobie pytanie: jak ona to zrobi? Przecież te domy, te wspaniałe wille, warte są miliony franków, ona nie ma najmniejszych szans...

Nie wiedział, że kobieta ma szansę zawsze — młoda, piękna kobieta. Właścicielami takich wspaniałych domów bywają zwykle starzy, pełni seksualnych niespełnień chłopczkowicie, którym trzeba tylko znaleźć, dać powąchać, rozgalić ich wyobraźnię, zmęczoną nieustannym robieniem pieniędzy... O, tak, Georgia miała szansę — i wykorzystała ją w pełni.

Jan Duch natomiast szansy nie miał. Owszem, słyszał o przypadkach, w których młodzi mężczyźni grali rolę Kopciuszka w życiu starych, bogatych dam. Znał historię pewnego grafomana, który wyjechał z Polski na kilka lat przed Duchem i ożenił się z miliarderką, wdową po „królu mustardy”, czy czegoś równie pasjonującego. Zabawne w tej sprawie było to, że facio w dniu ślubu liczył sobie lat dwadzieścia pięć, a panna młoda blisko siedemdziesiąt. Oczywiście wykochał ją z życia bardzo szybko. Trochę tych milionów przeszło na jego własność. Wynajął tłumaczy i korzystając z układów oraz intensywnej reklamy, rozprowadził po kontynencie amerykańskim kilka milionów egzemplarzy swojego grafomanstwa. W Polsce oczywiście pewnie wciąż istniejące kregi, obfitujące w to, jak to określał Ezra Pound, intrawaginalną ciepłotę rodzimych uczuć, w to intymne życie trzustki, sprawiły mu przyjemie godne wielkiego pisarza. Jan Duch jednak należał do takich samców, którzy nie sprzedają seksu za forsz. Wciąż nawet nie zastanawiał się nad swoim życiem w kategorii „szans”. Ciągnęło go do młodych, zdrowych kobiet, a nie do bogatych osób, naznaczonych piętnem śmierci. Nie każdy może być nekrofilem. Jest to rzecz gustu, nie komu do tego.

Starali się więc o wizę do Belgii, ale w konsulacie powiedziano im, że mogą dostać wyłącznie tranzytową wizę na trzy dni, w drodze powrotnej do Polski. Kazano im pokazać bilet lotniczy do Warszawy. Tłumaczyli, że spóźnili się na statek i będą wracać koleją. Kazano im więc pokazać bilet kolejowy do Warszawy. Wrócili na drugi dzień i powiedzieli, że znajomi powiozą ich do Polski samochodem. W takim razie będą przejeżdżać przez Francję? Oczywiście. Więc proszę najpierw postarać się o wizę tranzytową przez Francję. Będzie wiza francuska, znajdzie się i Belgijka.

Zaczeli więc odwiedzać konsulat francuski. Zażądano ich odmownie, żądając najpierw wizy belgijskiej, potem biletu samolotowego, kolejowego... Trwało to dwa miesiące.

W tym czasie Jan Duch próbował nielegalnie zarobić trochę pieniędzy. Gledroyć nie był skłonny posyłać więcej, czekał na polityczny statement. Duch nie wiedział, co napisać. Chciał, żeby wilk był syty i owca cała.

— Nie wiem — mówił do żony — nie mam pojęcia, co z siebie wyjąć. Ani tamto, ani to, nie obchodzi mnie do tego stopnia, żebym miał o tym pisać. Nie chcę mieszkać w Polsce, chcę mieszkać w Belgii. To wszystko. Dlaczego? Bo mi się tak podoba. Czy muszę zaraz doczepiać do tej zwykłej, ludzkiej chęci, cały wagon argumentów politycznych, ideowych i diabli wiedzą jakich? Czy mam wyznaczyć miłość do pierwszego wejścia kapitalizmowi i obrzucić tamten balagan stekiem nienawistnych słów? Od chwili, kiedy zszedłem ze statku, tamten kraj nie mnie już nie obchodził. Nie mam żadnych uraz, zadawionych pretensji, to przeszłość, zupełnie próchno, niebyt. To, co dzieje się dzisiaj, jest ważne. Tamto zginęło. Umarłem. Czy mam pisać o Polsce zza grobu? Wszystko jest w głowie. Nie ma innego życia, niż to, które masz w głowie. Rzeczywistość jest wewnątrz twojej głowy, i może być taka, albo inna. Będąc w siatki, mam odczuć owak? Nie mnie to nie obchodzi. Niech mi dadzą spokój.

— Dadzą ci spokój, ale nie dadzą ci azylu — powiedziała Georgia. — A jak tobie nie dadzą azylu, to i ja go nie dostanę. A wtedy nie daruję ci tego, skurwysynu. Siadać i pisać, komunizm to nie żaszkodzi, mają już skórę nosorożca, a nam pomożesz.

— Zobaczysz, że to się źle skończy. Rozpiszę się, nawytkam im wszystkim i dostanę kopy z każdej możliwej strony.

— Bądź sobą — upierała się. — Nie bój się nikogo. Kim są w ogóle ludzie na tej ziemi? To jedna wielka, ogromna banda tchórzów. Posłuchaj, tutaj widzisz tych pieprzonych moralistów, antykomunistów na każdym kroku. Ale gdyby nagle pomór na nich padł, taki ekonomiczny, i okazuje się, że to rubel właśnie wart jest więcej, że w Rosji właśnie jest zarcie, że tam można normalnie żyć, a tu się zdycha jak myślisz, co ta cała banda skurwysynów by zrobiła? Popędziłby na kolanach do Moskwy, błagać o azyl!

— Warszawa odmówiłaby im wiz tranzytowych — zauważył chłodno Duch.

— Ładuj to, co myślisz, pal diabli wszystkie kombinacje — machnęła ręką Georgia. — Gledroyć i tak wydrukuje.

— Nie wydrukuję, jeśli napiszę głupstwa.

— Wydrukuję, żeby pokazać, jakim jesteś głupcem. On przecież nie bierze żadnej odpowiedzialności za ciebie, jesteś zarówno dla niego, jak i dla czytelników, egzotycznym, zwiario-

wanym zjawiskiem, po którym można spodziewać się wszystkiego. Wall!

Duch popełnił błąd, że nie napisał swojej „wypowiedzi” zaraz po otrzymaniu propozycji od Gledroyca. Wtedy jeszcze był „świeży”, mógłby korzystać z elementów myślowych, wywiezionych z kraju, mógłby zrobić tekst „literacki”, spokojny, wyważony. Teraz jednak było już za późno. Przez te kilka tygodni, w czasie których nie mogli otrzymać wiz i stali się praktycznie więźniami słonecznej Italii, przez te kilka tygodni biedy, kiedy jedli raz dziennie po kawałku pizzy i po połowie pomidora, podczas tych kilku tygodni, podczas których Duch nie mógł otrzymać najgorszej nawet pracy — w umyśle Ducha pojawił się strach. Poczł, że jest sam. Zupełnie sam na obcej ziemi, odrzucony przez wszystkich, nie nie znaczący. Cały Jan Duch był wart tylko tyle, ile dla Gledroyca wart był jego tekst, w założeniu obmalowujący na perłowo tak zwaną rzeczywistość Polski Ludowej.

Mijały dni i Duch coraz mocniej zdawał sobie sprawę z tego, że grzęźnie coraz głębiej w mlekim bagnie szantażu. Nie ma wizy, nie ma pieniędzy na bilet, nie ma pieniędzy na jedzenie, na hotel — Gledroyć nie odpowiada na telefon, Zahorski jest nieuchwytny... Przecież wiedzieli, że tamta suma wystarczy tylko na kilka dni. Czekała na strzał. Trzeba pokazać, wykazać czarno na białym, że się ucieka z komunistycznego piekła — wtedy pojawia się pieniądze i będzie można w knajpcie na rogu pożreć całą, okrągłą pizzę.

Próbował dostać pracę jako śmieciarz, zamiatacz ulic. Okazało się, że należy stawić się przed bramą biura pośrednictwa z własną

jego twarz, wiecznie szeroko uśmiechnięta, wyglądała jak ulepiona z surowego, lekkiego skwaszonego ciasta. Pal diabli urodę gościa, Duch nie zamierzał doświadczać go erotycznie, to tylko Georgia narzekała, że nie może patrzeć na faceta bez obrzydzenia. Nie ukrywała swoich uczuć w obecności glizdziaka, a on, dostarczając to, wydawał się z tego coraz bardziej zadowolony. Wszystko, o czymkolwiek mówili, odnalazł Duch prawie rok później w swoich aktach, udostępnionych mu przez przyjaznego urzędnika z Komitetu do Spraw Uchodźców. Przypomnił sobie żalował sił, walił anonimami po każdym spotkaniu, zniekształcał wypowiedzi Ducha, kłamał — a przecież, trzymając się dramaturgii i chronologii spotkań wskazywała na siebie, jako na donosiiciela. Skąd zresztą mógł przypuszczać, że Duch kiedyś się o tym wszystkim dowie.

Pozostali członkowie „klubu starszych panów” trudnili się tym samym procederem, każdy z nich miał swój przydział świeżego towaru. Przypomnił sobie zawiadnął Duchem i Georgią, więc już nikt inny nie miał do nich prawa. Kiedy pojawiał się młody, przystojny uchodźca, kilku staruchów walczyło o prawo aneksji. Walka była krótka, nie robili sobie nawzajem kłopotów. Szczęśliwiec miał już wtedy wyłączne prawo do eksploatowania młodego. Niekiedy znikali obaj zaraz po mszy, osobno, udając, że się nie znają, mimo że poprzedniej niedzieli gadali na oczach wszystkich przez dwie godziny i wypróżnili kilka litrowych flakonów coli.

Duch spotkał w Kanadzie kilku takich młodziaków. Dowiedział się, że wpływały na nich donosy i anonimy, pisane przez łaskawych opiekunów. Kilku spośród staruchów przyjno-

— Napisz to paskudztwo — powiedziała. — Nie możemy tu zdechnąć. Wyprzedź z siebie to, czego ten bandyta wymaga. Wtedy przysła pieniądze, wyjedziemy stąd. Kupimy bilet na pociąg do Warszawy, pokażemy w konsulacie francuskim i belgijskim i dostaniemy tranzytówki. I zostaniemy w Brukseli. Stracimy na tym parę dolarów, ale warto. Pisz, kochany.

I Jan Duch, zmuszony okolicznościami, napisał tekst, zamówiony przez redaktora Jerzego Gledroyca. Wyjaśnił, dlaczego chce mieszkać na Zachodzie, zamiast w Polsce.

Po blisko dwudziestu latach, wciążam Ducha na drugie piętro Domu Literatury w Warszawie, wchodzący do biblioteki, proszę o numer „Kultury”, w którym ukazał się artykuł Jana. Czytamy go wspólnie. W pewnym miejscu Duch powiada, że nie jest antysemitą, po prostu nie lubi tych, którzy wojnę przetrzymali na Wschodzie, zajęli pozycje w UB i rozprawiali się z Polakami w sposób daleki od związków z cywilizacją. Ponieważ jednak Polacy robili podobne rzeczy, a on nie widzi siebie jako anty-Polaka, przeto stwierdza, że jest po prostu anty-skurwysynem. Z boku uwaga, dopisana ołówkiem przez jakiegoś czytelnika: „Błąd. Zamiast anty, powinno być arcy”.

— O, tak jestem arcy-skurwysynem — śmieje się Duch. — Za pisanie na książkach rozwałiłbym idiole nos.

Pytam, czy dzisiaj jeszcze, po tylu zmianach w Polsce i na świecie, i po zmianach w nim, podpisałby się bez zastrzeżeń pod tym tekstem.

— I tak, i nie. Napisałem uczciwy kawałek, prawie dokładnie to, co myślałem. Ale nie można napisać dokładnie tego, co się myśli. Zawsze po krótkiej chwili przychodzi odbicie w inną stronę. A może tak, a może inaczej. Pamiętam charakterystyczny gest Andrzeja Jędraka: trzymał dłoń płasko w powietrzu i mówił: „może być tak”, po czym przekręcał dłoń wewnętrzną stronę i dodawał: „ale może być i tak”. Dopowiedziałem kiedyś: „załóżmy, na której stronie siedzisz?”. „Reprezentujesz typowo niemiecką ciężkość myślenia”, odparł, „i będziesz przegrywał z takimi, co myślą szybko, coraz szybciej i szybciej, aż staną się nieuchwytni”.

Jerzy Andrzejewski starał się myśleć szybko, lecz przegrał z nieuchwytnymi. Dziś znów z nieuchwytnymi zaczyna przegrywać cały kraj. Nie dość, że szybko myślał, to jeszcze mają do pomocy komputery, programowane dla wtajemniczonych. Ich polityka nie jest po prostu polityką, jest polityką wewnątrz polityki: szybka, niewidoczna, nieuchwytna. Ale co nas to obchodzi? Nam wystarczy dbać o codzienne koryto. Prawda, Janie poeto?

— Więc tak, owszem, podpisałbym się dzisiaj pod tamtym starym tekstem. Ale pod warunkiem, że podpisując się dzisiaj, miałbym możliwość dopisania suplementu. Minęło tyle lat, i wcale nie o to chodzi, że zmieniałem się znacząco, tylko chodzi o to, że wszystko, cokolwiek mnie otacza, ma dla mnie inny wymiar niż dawniej. Jest po prostu mniejsze. Mniejszą jest świat, bo okrążyłem go kilka razy, mniejsze problemy tego świata, mniejsi ludzie. Takich samych idiotów spotykałem w Zambii, w Londynie, w Sydney, w Pekinie i w Kuala Lumpur. Spośród około tysiąca kobiet różnych ras, z którymi spędzałem noce, zaledwie jedna czy dwie były interesujące na tyle, że miałbym ochotę z nimi rozmawiać raczej, niż kopulować, przy czym to pierwsze nie wyklucza drugiego, rzecz jasna. Ale rozumiesz: nie spodziewam się wiele po ludziach, ponieważ poznałem masę ludzi przylepionych do planety ze wszystkich stron jak muszki, i ta masa jest tylko masą, niczym więcej, nudną, szarą i wiecznie czegoś tam głodną. Proste mechanizmy poruszają się nędzne stwoiry. Kiedyś jakiś tam Gledroyć, czy inny głuptak był dla mnie sprawą, przeszkodą albo sojusznikiem, graczem, na którego ruchy trzeba było uważać i je umiejętnie kontrolować, wszystko w ogóle, i w Polsce i poza nią, stanowiło grę, sprawę, problem, było ważne, istotne, cholernie absorbujące młody, niedoświadczony umysł, spalające energię. Teraz jest inaczej, mój drogi. Mam pięćdziesiąt trzy lata, pozuję ile? Dziesięć, piętnaście? Widzę wyraźnie dystans, który mam do przeszłości i metę. Widzę ważność mojego życia dla najbliższych mi osób, dla mnie samego. Piękne jest życie, piękny jest świat, pod warunkiem, że nie patrzy się nań w kategoriach politycznych. Bo są to po prostu kategorie myślenia mózgów niepełnych, chorujących, podpalonych ambicją i strachem. Kiedyś w Polsce wstawiano młodzieży, że wszystko, cokolwiek robimy, każdy nasz gest i oddech, mają znaczenie polityczne, że od polityki uciec nie można. Że po prostu człowiek jest stworzeniem politycznym z istoty rzeczy. Może się dziś uśmiechnąć, kiedy przypominam sobie te bzdury, efekty pracy tych szybko myślących mózgów, od których należy się odseparować, żeby nie stracić szacunku dla samego siebie.

— Dlaczego wobec tego udzieliłeś mi pozwolenia na opisanie twoich przeżyć jako „azylanta”? Czy nie sądzisz, że jest to rozgrzebywanie jakichś starych spraw, od których dzisiaj się odłączasz? Dlaczego pozwalasz mi pisać o sobie, narażając się na zarzut, że robisz tanią politykę?

— Przecież to nie ma żadnego znaczenia — powiedział Jan Duch. — No, skoro utrzymujesz się z pisaniami, to jednak...

C.D.N.

Świat pomniejszony

miotła, o specjalnym kształcie. Duch nie miał takiej miotły. Nie miał żadnej miotły. Jakis Polak, rezygnujący z pracy, podarował mu swoją miotłę. Następnego dnia Duch, już uzbrojony odpowiednio, stawiał się przed drzwiami biura. Nie przyjęli go, ponieważ kandydatów było stu na trzy miejsca. Oddał miotłę jakiemś niedziedzicowi i wrócił do hotelu pieszko przez całe miasto. Nie stać go było na autobus.

W niedziele chodzili z Georgią do polskiego kościoła na ulicy Boteghe Oscure. Trzeba było odstąpić całą mszę, by uzyskać prawo wejścia do małego ogródka za kościołem. Tam na stołach księża rozstawiali tace z herbatnikami i litrowe butelki coca-coli. Można było jeść, ile się chciało. Zdarzało się facci, pożerający pełny półmisek herbatników i wypijający dwie butle coli. Byli to ludzie, którzy jedli dwa, trzy razy w tygodniu. Nie wiadomo, co robili w Rzymie, od jak dawna tu byli, co spodziewali się osiągnąć w przyszłości.

Nie rozmawiano tu z sobą wiele. Przy stolikach słychać było szmer głosów, czasem jakiś głośniejszy śmiech, ale nie radości, tylko podsycony pogardą, gniewem, złościwością. Kiedy przybywali „nowi”, rzucano się na nich. Zawsze przy krześle nowego zjawiali się dwaj lub trzej usłużni panowie, wypytujący go o wszystko, co się dało. Udawali starych emigrantów, tęskniących za krajem. Czasami jakiś młodziak rozgadywał się, szczęśliwy, że narzeczka ma do kogo gębę otworzyć, a oni słuchali, podgrzewając najwłaśnie sprytnymi pytaniami i fałszywym współczuciem. Podczas takich sesji księża bezszereście pojawiali się obok stolika, stawiając nowe butelki coli i półmiski z herbatnikami. Niekiedy takich „świeżych” było kilku, i wtedy ogródek funkcjonował przez kilka godzin.

Tacy, którzy znajdowali się w podobnej sytuacji jak Duch, nie rozmawiali już z sobą na osobiste tematy. Jeśli któryś wygłosił jakąś „ostrą polityczną” uwagę, szczególnie w obecności obsługującego stół księdza, czy jakiegokolwiek z socjalicy, reszta wymieniała znaczące spojrzenia. Facio chce się podliznąć, wkupić w łaski, okazać prawomówność, ot co.

Ducha i Georgię traktowano tam w sposób szczególny. Od samego początku nikt z normalnych tułaczy nie siadał przy ich stoliku — zresztą nie było łatwo zająć jakikolwiek stolik; gdy wchodził do ogródka, już nad kaloriami klebił się tłum. Zawsze jednak byli dwa wolne miejsca przy stoliku, okupowanym przez „starszych panów”. Na widok poety czynili energiczne, zapraszające gesty, których z nich zawsze zrywał się, by ucałować dłoń Georgii. Poczłkowano oboje myślenie, że ta gościnność spowodowana jest naturalnymi skłonnościami tych panów, szybko jednak zorientowali się, że chodziło o coś zupełnie innego.

Wódzem tej grupy donosiicieli był niejaki Przypociński, literat, który wyjechał z Warszawy kilka lat wcześniej. Specjalizował się w literaturze dla dzieci i młodzieży, przeważnie o tematyce morskiej. Jan Duch, kierując się zasadą, że na „bezpieczu i żopa solowej”, traktował kolegę literata z sympatią i szacunkiem. Spodziewał się, że na tej zupełnie pustyni wreszcie odkryje bratnią duszę, że będą mogli sobie pogadać o czymś bardziej interesującym niż kłopot z upałem, wizami i gonitwą za groszem.

Przypociński był wysokim, tłustym facetem,

wało ich do siebie na chatę, w zamian za wyświadczenie usług seksualnych. Dla kogo właściwie „klub” pracował, Duch nie mógł się zorientować. Chodziło o uniemożliwienie otrzymania azylu przybywcom — ale tylko niektórym, bo inni, przeciwnie, właśnie dzięki przyjaźni staruchów azyl dostawali bardzo szybko. Najbardziej prawdopodobne jest to, że był to swojego rodzaju kontrwywiad kościelny, zważywszy na bardzo ścisłe powiązania tych ludzi z klerem. A marynista młodzieżowy Przypociński zginął dwa lata później, uderzony pięścią w głowę przez młodą Polkę, którą przyjął na nocleg i próbował zgwałcić. Mocna musiała być baba.

Jan Duch był wysokim, szczupłym człowiekiem, ale mimo tej wrodzonej smukłości tu w Rzymie chudł coraz bardziej. Pewnego dnia, odwiedzając jednego z Polaków, posiadających już własny kąpiel, zwał się na łazienkowej wadze i pomyślał, że przyszedł na żepsuty. Zamiast osiemdziesięciu kilogramów strzałka wskazywała sześćdziesiąt pięć. Georgia też wyglądała jak kościolup, a co gorsza, zaczęły wypadać jej włosy. Wypadały garściami, wystarczyło przeciągnąć ręką nieco mocniej, a już miało się w garści kłęb tych czarnych, długich, niedługich i mocnych włosów.

Tego już było za wiele. Brak odżywienia, witamin, upał, palące słońce, nieustanny stres — to były przyczyny ich fizycznego rozkładu.

— Do kurwy nędzy — powiedziała Georgia — co ten skurwiel sobie wyobraża?

Miała na myśli Gledroyca. O ludziach z Wolnej Europy nawet już nie wspominała. Nie mogli widać darować Duchowi tego, co na ich temat parę lat temu napisał. Gledroyć jednak wydawał się być na początku jakas szansa.

— Nie potrzebujemy wiele — tłumaczyła Duchowi, jakby sam tego nie wiedział. — Ten głupi azyl, prawo pobytu w którymś z tych pieprzonych krajów, i już. Resztę załatwimy sobie sami.

Teraż już rozumowała w kategoriach „my”, „nas”, ponieważ czuła zagrożenie. Włochy nie są odpowiednim krajem do samodzielnego zacynowania nowego życia. Mają za dużo własnych problemów, żeby dbać o jakichś sukinyśnów spoza żelaznej kurtyny. Duch i Georgia rzeczywiście nie potrzebowali wiele. Prawo pobytu na Zachodzie, prawo pracy — to było wszystko, czego chcieli. Gdyby byli prostymi, zwyczajnymi ludźmi, dostaliby to w ciągu dwóch tygodni. W owym czasie nie było to zbyt trudne. O ile, oczywiście, nie wpadło się w ten ściek, a właściwie w to stojące szambo, zwane Latina.

— Przecież wie, że w swoim fachu jesteś jednym z najlepszych w Polsce. Powinien sam po ciebie przyjechać do La Spezji, i to samochodem z klimatyzacją. Patrz, jak się przeciwstawiało rozpanoszyło. Facet prawie nie umie po polsku, w życiu nie zrobił niczego, co mógłby z czystym sumieniem podpisać własnym nazwiskiem, poza najwyższymi raportami dla CIA, a i to pewnie bazarze po francusku... I masz, zobacz, jak ciebie traktuje. Jak go spotkam, powiem mu to w oczy, opierdoleń dziada na okrągło.

Duch wiedział, że Georgia to robi, i robiła, ale dużo później, kiedy mogła sobie na to pozwolić. Na razie wściekała się sobie a muzom. Wniosek jednak był jeden, znali go od początku.

W warszawskiej WFD Edward Skórzewski przystąpił do realizacji telewizyjnego filmu fabularnego pt. „Romeo i Julia z Saskiej Kępy”, według oryginalnego scenariusza napisanego do spółki z Zygmuntem Koziańskim. Inspiracją twórczej dostarczył reżyserowi samo życie. Jako zasiedziały mieszkaniec Saskiej Kępy, a zarazem dokumentalista, Skórzewski od dawna był zafrapowany jej odmiennością. Saska Kępa jest bowiem swoistą enklawą, jak gdyby miasto w mieście. Z jednej strony otoczona aleją Waszyngtona i Trasą Łazienkowską, z drugiej — przegłąda się w Wisłę. Wyzolowanie tej małej społeczności lokalnej decyduje o jej charakterystycznym obliczu. Choć dzisiejsza Saska Kępa bardzo różni się od tej sprzed lat, to reżyser wyjątkowo dobrze zna to środowisko i jego tajemnice. Tam właśnie spotkał parę przedziwnych, starszych ludzi, którzy wędrowali od śmietnika do śmietnika i wybierali najrozmaitsze, cenne dla nich trofea: butelki, słoiki, szmaty, makulaturę, które



Na zdjęciu: Barbara Zielińska — Sabina.

Foto: Roman Suszyński

„Romeo i Julia z Saskiej Kępy”

— sprzedawali w pobliskich punktach skupu. Mieszkali po piwnicach, na strychach, bywało, że pod mostami. Nie wiadomo skąd przybyli. Mieszkańcy zła nazywali ich „Romeo i Julia”.

W przeszłości Romeo był „niedorobionym” malarzem. Julia zaś przybyła z mazowieckiej wsi do Warszawy w poszukiwaniu pracy. Przeglądając się tym ludziom, E. Skórzewski postanowił nakręcić o nich film. Wprawdzie losy tej pary zostały już sfilmowane przez Beate Postnikoff w telewizyjnym filmie dokumentalnym pt. „Szperando — Romeo i Julia z dzielnicy”, to, jak twierdzi reżyser, jego pomysł został złożony znacznie wcześniej, w redakcji zatwierdzającej scenariusz do realizacji. Nie udało się twórcy uzyskać wcześniej akceptacji. Dopiero dzisiaj pozwolono mu opowiedzieć losy tej samej pary, ale inaczej.

— W jakiej konwencji będzie się snuła pańska opowieść o Romeo i Julii z Saskiej Kępy?

— Staramy się zrealizować ten film w konwencji psychologicznego dramatu obyczajowego. Będą w nim zawarte elementy melodramatyczne, ale chcielibyśmy uniknąć wymuszania łez. Trudno nam przewidzieć, w którym momencie telewizyjny widz ulegnie wzruszeniu... Stylistyka filmu jest trochę wydumana. Szukaliśmy inspiracji w kinie francuskim lat 30., unikając tym samym „Bytowszczyzny” charakterystycznej dla kinematografii radzieckiej. Wyeksponowaniu tego stylu podporządkowana jest scenografia, sposób fotografowania, gra aktorska. Wszystko to razem służy odrealnieniu opowiedzianej przez nas historii. Jest to świadome założenie.

— Czemu ma służyć owo odrealnienie?

— Już w trakcie pisania scenariusza wspólnie z Z. Koziańskim odeszliśmy od prostych realiów, próbując konstruować story o dziwnej parze, żyjącej w niekonwen-

cjonalny sposób. Prawdziwi bohaterowie byli ludźmi starymi, z marginesu społecznego, choć z poczuciem własnej godności. Nie chcieliśmy zohydzić naszego obrazu. Dlatego nasi bohaterowie są ludźmi w średnim wieku: Leopold — lat 40, Sabina około 30. Obydwójce pochłonięci swoimi sprawami i osobliwym sposobem organizowania życia. Spotykają na swej drodze ludzi im życiowych. Brak jest w filmie konfliktów społecznych. Uwaga zostaje skierowana głównie na przeżycia i rozterki wewnętrzne. Zarówno bohaterowie jak i otaczające ich tło, są obrazem wyidealizowanym. Jest to celkowi kreacja zjawisk. Przecież w życiu tak nie bywa... Lecz dzięki temu właśnie zabiegowi, dużo ostrzej, naszym zdaniem, zarysowany jest podstawowy problem w filmie, którym jest poczucie osamotnienia, nieprzystosowania do życia, próba odnalezienia siebie i sensu życia, potrzeba ciepła i miłości drugiego człowieka, potrzeba wzajemnego zrozumienia, obrona własnej godności...

— Czy może pan skrótkowo opowiedzieć jak zawiązuje się akcja filmu?

— Młoda ładna służąca z zamożnego domu nagle zostaje zwolniona przez „Panią”, która przezuwa zagrożenie dla swego statecznego stadła małżeńskie. Chlebodawca, pan docent i ordynator szpitala, bogato „wzensiony w wille”, mimo sympatii dla Sabiny nie może przeciwstawić się decyzji żony. Pozbawiona środków do życia Sabina wiąże swój los z dziwnym malarzem, którego od dawna obserwując z tarasu willi kokietowała i czasami obdarowywała ukradzionymi od „państwa” wysokoprocentowymi trunkami. Dzięki życzliwości Kiciarza, miejscowej „złotej rączki” i kombinatora, zakochanego bez powodzenia w Sabinie, Sabina i Leopold znajdują lokum w pustej pakamerze przy kołtówni. Palacze, koledzy Kiciarza lubią Sa-

bing, zaś do Leopolda odnozą się z rezerwą. Ich „szekspirowska i dyla” nie trwa długo. Leopold, robiąc nad Wisłą szkice do kolejnego obrazu, spotyka młodą dziewczynę Jolkę, do złudzenia przypominającą mu jego wielką miłość z okresu studiów na ASP i...

— Komu pan powierzył główne role?

— Sabinę zagra Barbara Zielińska. Zależało mi na tym, aby aktorka nie miała hollywoodzkiej urody, a raczej żeby reprezentowała siłę, zdrowie i jedność mazołwieckich dziewcząt. Ma trudne zadanie aktorskie, bowiem musi pokazać cały diapazon własnych umiejętności zawodowych. Leopolda gra Krzysztof Chamiec. Poprosiłem go o współpracę, gdyż jego wyrazista twarz nosi w sobie jakąś tajemnicę. Poza tym jego gra jest niezwykle oszczędna a jednocześnie bardzo sugestywna...

— Kiedy przewiduje pan ukończenie filmu?

— Chciałbym w lipcu, ale...

Rozmawiała:
IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„Romeo i Julia z Saskiej Kępy” scen.: Edward Skórzewski, Zygmun Koziański
reż.: Edward Skórzewski
muz.: Henryk Janas
muz.: Bogdan Orlewicz
kier. prod.: Andrzej Lubianowski
wyk.: Krzysztof Chamiec, Barbara Zielińska, Gustaw Lutkiewicz, Roman Kłosowski, Włodzisław Giliński, Anna Stankówna, Katarzyna Gniewkowska i inni.

„Dzieci gorszego Boga” — reżyseria: Randa Haines — to film znany tym, którzy oglądali tegoroczne Konfrontacje. Ten perfekcyjnie zrealizowany melodramat amerykański, porusza do łez każdego, kto lubi taki gatunek filmu (a któż nie lubi!). Opowiada o trudnej miłości głuchoniemej dziewczyny i nauczyciela, uśmiałego nakłonić ją do nauki mówienia. W rolach głównych występują: Marlee Matlin (Oscar 87), William Hurt, w pozostałych — Piper Laurie, Philip Bosco i in.

mnie głośno” Jacka Bromskiego. W kategorii filmów telewizyjnych do nagrody konkursowej będą: „Znad wielkiego wieloryba” Mariusza Trelińskiego, „Co to konia obchodzi” Grażyna Popowicz, „Ballada o Januszku” (I odc.) Henryka Bielskiego, „Do domu” Janusza Zatorskiego, „Dom” (I odc.) Jana Łomnickiego, „Kobieta samotna” Agnieszki Holland i „Wielki wóz” Marka Wortmana.

* Autor świetnego kryminału pt. „Zabój młotem” Jacek Bromski zabiera się do nakręcenia kolejnego filmu o wielce obiecującym tytule — „Sztuka kochania”. Reżyser zapowiada, że będzie to „komedia erotyczna”. Gdy chodzi o seks warto odnotować jeszcze, że i Marek Kotarski, autor głośnego „Życia wewnętrznego” zabrał się do nakręcenia z tego gatunku pt. „Porno”.

W Piotrkowie i w okolicach Zalewu Sulejowskiego narastała psychoza strachu. Zaczęto uważnie spoglądać w twarze nieznajomych. Nawet na porębie dzieci czujność nie osłabła. A może morderca zechce przyjąć? Podejrzany był każdy. Uwagę zwrócił na siebie młody mężczyzna w sutannie, spod której wystawały dżinsy. Stojący w pobliżu zawiadomili milicję. Po wylegitymowaniu zatrzymany okazał się jednak być precyzyjnie księdzem.

Strach narastał. Na wszelki wypadek rodzice zabierali dzieci z obozów i kolonii nad Zalewem Sulejowskim. Krążyły przeróżne plotki. Zaczynała się już panika.

Gdy po intensywnych poszukiwaniach zatrzymano domniemanego sprawcę, wiadomość rozeszła się po mieście błyskawicznie. Pod blokiem, w którym mieszkał, zaczął gromadzić się tłum ludzi oburzonych bestialstwem mordu, ludzi domagających się sprawiedliwości. Gdyby mogli, pewnie wymierziliby ją sami.

Wielu z dżin znało go, był ich sąsiadem. Niektórzy znali jego rodziców mających mieszkanie w sąsiednim bloku. Niechęć tłumowi zwróciła się przeciw nim. Potrzebna była ochrona milicji.

Wyjątkowe okrucieństwo, wstrząsający, bestialski mord, ponura zbrodnia, jakiej nie zamotywały dotąd kroniki kryminalne — pisała prasa. Nie ma

Sledztwo prowadzone było energicznie. Miało kilka kierunków. Dopuszczono bowiem możliwość, że morderstwo było aktem zemsty lub popełnione dla wymuszenia okupu, choć najbardziej prawdopodobne wydawało się, że było dziełem zbrodniczego seksualnego czy zorganizowanej grupy.

Dokładnie spenetrowany został teren wokół zalewu w poszukiwaniu śladów mogących naprowadzić na trop sprawcy bądź sprawców. Jednocześnie trwały poszukiwania wśród ewidencjonowanych przez milicję dewiantów seksualnych. Trzeba było przejrzeć wcale niemałą kartotekę, rozpatrzyć metody działania poszczególnych ewidencjonowanych, biorąc pod uwagę fakt, gdzie znajdowali się na przełomie lipca i sierpnia, czy mogli w tym czasie dopuścić się tego czynu.

Wiele wskazywało, że należało bliżej przyjrzeć się Mariuszowi T. Wiadomo było, że lubił towarzystwo młodych chłopców. Był już karany za czyn lubieżny. Dwa lata temu zwał do lasu chłopca, ucznia szkoły podstawowej, ale wtedy przyszkodził mu ojciec malca, który zawiadomił władze. Sprawa znalazła finał w sądzie. Sąd Wojskowy, bo Mariusz T. odbywał w tym czasie służbę wojskową, skazał go na 18 miesięcy pozbawienia wolności oraz odebrał prawo wykonywania zawodu na trzy lata. Mariusz T.

bibelotów babci, ale Mariusz T. zaczynał już urządzać je po swojemu.

Dzień, w którym wyprowadził się z domu rodzicielskiego uważał za przełomowy w jego życiu. Dotychczas znajdował się stale pod kontrolą rodziców, którzy prowadzili go niemal za rękę. Babka i matka dmuchały i chuchały na jedynaka, ojciec wybrał za dość licznych konfliktów szkolnych. W swoim środowisku miał Mariusz T. opinię człowieka mimo że inteligentnego (potwierdziły to badania psychiatryczne przeprowadzone przy okazji sprawy, w której był sądzony), to jednak nie przystosowanego do życia, słabego psychicznie, o chwiejnym charakterze. Mieszkając sam musiał usamodzielniać się.

Kto wie, czy drugim momentem zwrotnym nie był dla Mariusza T. pobyt w więzieniu. Nietrudno domyślić się, co tam przeszedł. Wśród więźniów, gwałcicieli i zbrojnych traktowani są jako margines ich społeczności, najniższa grupa więźniów.

Można podejrzewać, że kult szatana mógł stać się dla niego, w jakiś sposób atrakcyjny. Szatana, którego wyznawcy podniecają się myślą, że są tymi najgorszymi, z samego dna, a jednocześnie w swojej hermetycznej zamkniętej grupie czują się wybrani przez los, wtajemniczeni.

Z Piotrkowa Trybunalskiego

Mariusz T. podejrzany o zamordowanie trzech chłopców

był bowiem z wykształcenia nauczycielem. Uczył nawet tuż po ukończeniu studiów przez kilka miesięcy wychowania technicznego w piotrkowskiej szkole.

W kwietniu 1988 roku sąd, ze względu na zły stan zdrowia Mariusza T. i konieczność leczenia, pozwolił na przerwę w odbywaniu wyroku. Przerwa trwać miała do 2 sierpnia, ale została jeszcze przedłużona.

Ten trop wymagał sprawdzenia. Rano, w czwartek, 11 sierpnia, do mieszkania Mariusza T. zapukali funkcjonariusze służby kryminalnej. Mariusz T. przyznał się. Powiedział: — To moja robota.

Jego wyjaśnienia są jednak w wielu punktach niejasne. Początkowo, według relacji rzecznika prasowego WUSW w Piotrkowie majora L. Łukasika, zasłaniał się zaniżeniem pamięci. O wydarzeniach opowiadał tak, jakby relacjonował swoje sny.

Przyznaje, że 29 lipca, w piątek pojechał swoim motocyklem nad jezioro Bugaj, gdzie spotkał chłopców i zaproponował im wizytę u siebie w domu. Podał adres i po jakimś czasie przyszedł. Chłopców perspektyw zabawy grami komputerowymi, jaką obiecywał, wydała się bardzo atrakcyjna.

W tym momencie, jak twierdzi, wamię go zawodzi. Nie wie, jak doszło do tego, że narodziła się agresja. Sugerował, że być może, gdy usiadł sobie, iż dzieci przebiegają już w jego mieszkaniu kilka godzin poraża go myśl, że ktoś mógłby oskarżyć go o ich przetrzymywanie. A przecież, w jego sytuacji, gdy ciał nad nim wyrok, byłoby to jednoznaczne z uchyleniem przerwy w karze, a może spowodowałyby nawet jej podwyższenie. Co jednak wydarzyło się, nie pamięta.

Pamięta, że tego samego dnia, 29 lipca, pojechał do rodziców na obiad. Prosił ich, aby nie wracali z dączy do domu, tłumaczył to swoim złym samopoczuciem, chciał być sam. W czasie wstępnego przesłuchania powiedział, że w drodze powrotnej przeżywał, że znajduje zwłoki w mieszkaniu. Jak przez mgłę przypomina sobie, że zniósł ciała martwych chłopców do piwnicy. Pewny jest, że następnego dnia przetransportował je wartyburgiem ojca za miasto. Dlaczego zdecydował się na spalenie, nie potrafi wyjaśnić.

Mieszkanie aresztowanego potwierdzały tezę o satanistycznym motywie zbrodni. Stało się jego własnością mniej więcej przed dwoma laty. Przesał je po babce, która tymczasem przeniosła się do rodziców. Rodzice wyposażyli je w bardzo porządną segment „Tadeusz”, zostało trochę naczyń i

Będąc może pod wpływem satanizmu zawiesił w swoim mieszkaniu, naprzeciw wejścia, obrazek przedstawiający odwrócony krzyż, z postacią dziecka nad nim, rycinę z motywami diabła galopującego na koniu, podkową z imieniem szatana. Miał też w domu legitymację dla organizacji satanistycznej, przerobioną z legitymacji L.O.K., na których jest napis dużymi literami SAT.

Gromadził w mieszkaniu to, czym się interesował. Miał duży (około trzydziestu) zbiór zdjęć małych chłopców. Były to zdjęcia komunijne lub wakacyjne, w krótkich spodkach, bez koszulek. Zgromadził kilka pejczy, sporo noży, jeden z trzech nacięciem trzymał pod poduszką.

Podczas przeszukania mieszkania znaleziono franki, przesłania z charakterystycznym dwukolorowym ściąganiem łączącym obie części, ściereczki z monogramem, takie same, w jakie owinięte były ciała dzieci. Stwierdzono ślady krwi, ślady jej usuwania — malowanie. Odnaleziono również zegarek należący do jednego z chłopców. To zdecydowało o podaniu do wiadomości publicznej informacji o zatrzymaniu domniemanego zabójcy dzieci.

Według relacji Mariusza T. zbrodnia musiała wydarzyć się w jego mieszkaniu w bloku. Sąsiedzi nie słyszeli jednak odgłosów świadczących o dokonywanym przez niego okrutnym mordzie. Nasuwa się pytanie, jak jeden mężczyzna mógł, bez zwrócenia uwagi sąsiadów, zamordować trójke chłopców? To nie jedyne pytanie, na które brakuje odpowiedzi.

Zestawmy jeszcze raz daty. Mariusz T. przyznaje się do popełnienia zbrodni 29 lipca. A przecież 1 sierpnia widziano chłopców jeszcze żywych w Zarzecinie. Rysownik mężczyzny widzianego z chłopcami odpowiada rysopisowi Mariusza T. Według orzeczenia biegłych zgon nastąpił 2 sierpnia. Czy lekarze mogą się aż tak pomylić?

Zeznanie aresztowanego nie zgadza się również z okolicznościami znalezienia zwłok. Płonące ogniska Edward S. zauważył w czwartek, 4 sierpnia. Jak opowiadał, myśli o palącym się ogniu nie dawała mu spokoju. Gdy powrócił na to samo miejsce następnego dnia, czyli w piątek, 5 sierpnia, dokonał szokującego odkrycia. Rodzice Mariusza, którzy być może mogliby wyjaśnić, co robił ich syn przez te kilka dni, odmawiały wyjaśnień. Czy Mariusz T. chce coś ukryć?

ZOFIA
KEDZIORA

A może do kina?



Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

* Komisja kwalifikacyjna tegorocznego Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, który odbędzie się w Gdyni w dniach od 12 do 18 września, zdecydowała do pokazów konkursowych zakwalifikować 15 filmów kinowych i 7 telewizyjnych. Filmy kinowe to: „Bez grzechu” Wiktor Skrzyneckiego, „Dzikun” Andrzeja Barszczyńskiego, „Dotknijcie” Wiesława Saniewskiego, „Gwiazda Piłun” Henryka Kluba, „Kingsajz” Juliusza Machulskiego, „Krótki film o zabijaniu” i „Krótki film o miłości” Krzysztofa Kieślowskiego. Niezwykła podróży Baltazara Kohera” Wojciecha Jerzego Hasy, „Obywateli Piszczek” Jerzego Sztwiertni, „Schodami w górę, schodami w dół” Andrzeja Domalik, „Tabu” Andrzeja Barańskiego, „Trójkąt bernardzki” Wojciecha Wójcika, „Wigilia 1981” Leszka Wosiewicza i „Zabij

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

JAK SIĘ MIESZKA NA OLECHOWIE?

W odległości dwóch kilometrów od Widzewa-Wschodu w kierunku Andrzejowa znajduje się nowo budowane, najmłodsze osiedle Olechów-Słowiańskie. Droga prowadzi przez powstające osiedle domków jednorodzinnych, za którym od samego Olechowa rozciąga swe uroki typowy wiejski krajobraz — łany zboż, łąki i las.

Do osiedla można dojechać liniami autobusowymi „55” i „82”. Ta pierwsza bardzo szybko, bo w trzydziście minut pokonuje trasę z centrum Łodzi. Druga objężdża wszystkie zakłady pracy Widzewa, następnie przebiega przez duży obszar o typowo wiejskiej zabudowie, aż do dociera do celu.

Nie posiadając dobrych informacji o możliwości dojazdu do Olechowa, wsiadłam niezbyt fortunnie w autobus linii „82” i zanim dotarłam na miejsce, zdążyłam się zmęczyć oglądaniem złotych łanów żyta i pasących się krów, a żeby było śmieszniej, to jak później się dowiedziałam, mieszkańcy osiedla tę długą trasę pokonywali do niedawna codziennie.

W samym osiedlu zamieszkałych jest około piętnastu bloków, pozostała część jest wielkim placem budowy. Obraz, jaki tam zastałam nie był budujący. Tylko przy kilku blokach zrobiono trawniki, zresztą w czynnie społecznym przez mieszkańców, bo jak się niekiedy domyślić, tego typu prace dokonuje się po skończeniu budowy osiedla, co wkrótce na pewno nie nastąpi. Poza tym niedużym skrawkiem zieleni, na całym już zamieszkanym terenie, jest tylko rozkopana ziemia i walające się elementy budowlane.

Do niedawna nie było tu jeszcze chodników, teraz są, ale nie wszędzie docierają. Aby jednakże mieszkańcom się zamieszkanie nie powodziło, budowlani dla równowagi zakładają chodniki, zlikwidowali dojazdy do bloków i teraz znowu nie bardzo można dojechać samochodem do domu, a postawić go gdzieś dalej strach. Dla dzieci taki teren jest doskonały do zabawy, ale na pewno niebezpieczny.

Mieszkańcy wprowadzili się tu w grudniu 1987 roku, do kwietnia 1988 roku musieli czekać na pierwszy, i jak dotąd jedyny sklep, i choć jak twierdzą, zaopatrzenie tego jedynaka jest dobre, to jednak po południu niektórych artykułów, np. mleka, kupić nie można. Od niedawna czynny jest co drugi kiosk warzywny. W inne artykuły, łącznie z prasą, trzeba się zaopatrywać gdzieś indziej. Co więc ma robić mieszkaniowiec Olechowa, kiedy zauważy, że nie ma w domu mydła?

W planach jest budowa szkoły. Termin jej rozpoczęcia na jesień 1988 r. mocno niepewny, ponieważ Kombinat Budowlany „Jedynka” za postawienie szkoły zażądał od spółdzielni piętnastu mieszkań. Teraz tylko pozostaje zadać pytanie, co będzie, gdy spółdzielnia tych mieszkań nie, da? A jeżeli Kombinat te mieszkania jednak otrzyma, to ile zażyczy sobie za wybudowanie żłobka i przedszkola? Nawiasem mówiąc, o budowie których nikt nie wie.

Znosi się na to, że jeszcze bardzo długo w porze powrotów z pracy, w zatłoczonym autobusie, objuczonym zakupami pasażerowie, będą starali się usilnie sobie przypomnieć, czego to jednak zapomnieli kupić, a przy ostrzejszym zakreście nie będą wiedzieli, jak pogodzić utrzymanie równowagi i łapanie upadającego dziecka. Poza tym całej licznej dzielnicy zapewni się minimum wytchnienia na górze plażu, między powrotem ze szkoły z Andrzejowa a odrabianiem lekcji.

Co sądzą o tym mieszkańcy? Mówią, że można się przyzwyczaić. Ale czy mogą w ogóle coś innego powiedzieć?

Poleciłabym im, na oderwanie się od kłopotów dnia codziennego trochę rozrywkę: kino, teatr, kawiarnię lub też wizytę u znajomych. Jednak moje szczere chęci nie na wiele się zdadzą, bo jak tu wrócić późnym wieczorem czy nocą do domu, kiedy nie ma do osiedla nocnego autobusu. Od Widzewa-Wschodu pieszo? Takśówa co prawda dojechać można, ale z Widzewa przejazd kosztuje obecnie 500 zł a nocą nawet 200.

W jaki sposób mają wrócić do domu osoby pracujące do późnego wieczora lub te, które muszą wyjść bardzo wcześnie rano? Skoro MPK przysłużyło się mieszkańcom linią „55”, to czy nie mogłoby przedłużyć z Widzewa linii nocnej?

Sądzę, że problem z jakimś borykają się mieszkańcy najmłodszego osiedla w Łodzi, przy lepszej organizacji samej budowy i koordynacji z lokalnymi służbami miejskimi, mogłoby nie mieć wcale miejsca lub byłoby ograniczone do minimum. Ile jeszcze w Łodzi powstanie osiedli budowanych w ten sposób? Bo chodząc po Olechowie, dostrzegłam tylko jego jedną dobrą stronę — świeże powietrze.

MARZENA KJEWSKA

GOSPODARZE MIASTA ŁODZI

24 czerwca br. na pierwszym posiedzeniu Rady Narodowej Miasta Łodzi prof. Andrzej F. Grabski wybrany został jej nowym przewodniczącym.

W latach 1945—1950 na czele Rady Narodowej stali: Kazimierz Mijał (w 1945 roku — b. krótko), Jan Stefan Haneman (1945—1946) i Edward Andrzejak (1946—1950). Równocześnie prezydentami miasta byli: Kazimierz Witarski, Kazimierz Mijał, Eugeniusz Stawinski i Marian Minor.

W maju 1950 roku zniesiono stanowiska wojewodów i prezydentów miasta, a ich kompetencje przejęli Prezydya Wojewódzkich (Miejskich) Rad Narodowych. Na czele Prezydium stał przewodniczący. Stan ten istniał do grudnia 1973 roku. W Łodzi stanowiska przewodniczących Prezydów Rady Narodowej piastowało 5 osób: Marian Minor (1950—1952), Ryszard Olasek (1952—1954), Bolesław Geraga (1954—1956), Edward Kądziora (1956—1971) i Jerzy Lorens (1971—1973). W grudniu 1973 ponownie przywrócono stanowiska wojewodów i prezydentów miasta. Postanowiono też, iż przewodniczącym Rady Narodowej zostaje z urzędu i sekretarz KW PZPR. W Łodzi był nim Bolesław Koperski, do listopada 1980 i sekretarz KŁ PZPR.

W grudniu 1980 r. nowym przewodniczącym Rady Narodowej m. Łodzi został znany łódzki naukowiec, profesor Politechniki Łódzkiej — Mieczysław Serwiński, pełniący tę szaczną funkcję do czerwca 1988.

Obecny prezydent miasta Łodzi — Jarosław Pietrzyk jest trzecim od grudnia 1973 r. — po Jerzym Lorensie (1973—1978) i Józefie Niewiadomskim (1978—1985).

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

„ZAKAZ FOTOGRAFOWANIA”

Coś, jakby nam ostatnio zaczęło przybywać na rozmaitych płotach i murach tabliczek z napisem: „Zakaz fotografowania”. I słusznie, Obywatele! Czujność, Obywatele! Co by to było, jakby obywateli szpieg zaczął rozstawiać aparat fotograficzny na statywie i utrzymywać na kliszy: a to balagan na zapleczach przedsiębiorstw budowlanych, a to drewno, które dokładane jest do palenisk w wytwórni PMT, a to nudzącego się wartownika przed obiektami WAM! Zgroza zaś pomyśleć, gdyby sfotografował wagoniki kolejek wąskotorowych (np. w Łęczycy), które, notabene, w ocenie znawców są unikalne i mogłyby stanowić nie lada atrakcję turystyczną. A może by w Ameryce skopowali rozwiązania techniczne i technologiczne i co by z tego wynikło?

Zarty na bok. Obywatel zaczyna zwracać uwagę na obiekt dopiero wówczas, gdy zobaczy taką tabliczkę z zakazem. A jeśli chodzi o zawodowców w tej branży? Nie czarujmy się: mają oni sposoby, na które takie tabliczki nie skutkują. Nie mówiąc już o technikach satelitarnych...

Proponuję więc nie marnować blachy i farby. Chyba, że chodziłoby o dobre samopoczucie osób odpowiedzialnych za „strzeżenie tajemnicy” i „ochronę”.

W. AFELT

CZY TO, ABY BYŁO PROSTO Z PARYŻA?

W numerze 30 „Odgłosów” z 23 lipca 1988 r. ukazał się artykuł Aleksandry Orłowskiej pod podwójnym tytułem: „Prosto z Paryża. — Zamaskowany Łuk Tryumfalny”.

Chciałabym sprostować trzy ewidentne błędy. Pierwszy. Autorka napisała, że wśród siedmiu generałów Polaków, których nazwiska wyrzeto na Łuku Tryumfalnym, figuruje „Łazowski”. Oczywiście generała napoleońskiego tego nazwiska nie było. Idzie o generała francuskiego noszącego polskie nazwisko „Łazowski”.

Józef Feliks Łazowski, inżynier mostowy i drogowy, oficer inżynierii podczas rewolucji, za Napoleona I doszedł do stopnia generała dywizji. Urodził się 20 listopada 1759 r. w Luneville jako syn Jana Chrzyciela i Katarzyny Granddier. Zmarł w Paryżu 8 października 1812 roku. W dokumentacji francuskiej figuruje jako „Łazowski Joseph-Felix”. W Polsce był w 1807 r. i uczestniczył w charakterze komendanta inżynierów przy oblężeniu Grudziądza 19 kwietnia 1807 r. W Wojsku Polskim nie służył.

Szczegóły o gen. Józefie Feliksie Łazowskim można znaleźć w Polskim Słowniku Biograficznym, tom XVIII, 1973, s. 300—301, oraz w książce Georges Six, Dictionnaire biographique des généraux..., Paris 1934, Tom II, s. 77.

Drugi. Autorka pisze, że Łuk Napoleona (winna była dodać „I” — pierwszego) z Marią Luizą miał miejsce w 1807 r. Przykry błąd. W 1807 r. Napoleon I był żonaty z Józefiną Beauharnais. Ślub Napoleona I i Marii Luizy, ten cywilny, miał miejsce 1 kwietnia 1810 r. w Saint-Cloud, a ślub religijny miał miejsce w wielkiej galerii (a więc nie w kościele) pałacu Louvre w Paryżu.

Obie te uroczystości opisane są w książce Michela de Grece „Quand Napoleon faisait trembler l'Europe”, Paris 1977, s. 234 i nast.

Trzeci. Autorka podaje, że na Łuku Tryumfalnym figuruje 558 nazwisk. Sam ich nie liczyłam, ale źródła francuskie podają, że nazwisk tych jest 386. Jednakże przyznać trzeba, że w przewodniku po Paryżu Micheline'a podana jest właśnie liczba „558”, o czymś omyłkowym. Również omyłkowo podana jest liczba „660” w Przewodniku turystycznym: Paryż i okolice, Roberta Bieleckiego (KAW 1979).

A więc nie wszystko co ma być „Prosto z Paryża”, jest tak proste. Czytelnikom „Odgłosów” należało się ściśle informacje historyczne, właśnie obecnie, gdy tyle się mówi o ścisłości historycznej.

LESZEK ŚLUGOCKI

AUTOSTOP CIESZY SIĘ POWODZENIEM

Autostopem jeżdżą po Polsce młodzi i starzy, jeżdżą całe rodziny. Na przykład Tadeusz Jodłowski z Wrocławia wędruje autostopem z żoną Grażyną i córką Adrianną (14 lat), a Jolanta Kapusta z Jeziorka w województwie krakowskim wybrała się w podróż po Polsce z trojgiem dzieci: Kamilem (3 lata), Anetą (9 lat) i Sabiną (12 lat). Jak do tej pory nie było ani jednej skargi, ani jednego nieszczęśliwego wypadku. Oby tak dalej!

Spółeczny Komitet Autostopu przypomina, że 20 i 21 sierpnia 1988 roku w Olsztynie nad Jeziorem Krzywe odbędzie się Zlot Autostopowiczów i Kierowców. Wesołej zabawy!

WYKROCZENIA ZAWODOWEGO NIE BYŁO

Rzecznik Dobra Służby Zdrowia przy Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej w Łodzi — dr Tadeusz Lewy zawiadomił redakcję „Odgłosów” urzędowym pismem, że skarga naszej Czytelniczki złożona w czasie dyżuru reportera przy telefonie nr 36-77-70 w dniu 30 lipca 1988 roku została rozpatrzona. Przepisy nie wymagają podania do wiadomości osoby, która skargę zgłosiła. Skarga była złożona na działalność zawodową lekarza Kazimierza Koprowskiej-Pikulskiej. Po jej rozpatrzeniu Rzecznik Dobra Służby Zdrowia stwierdził, że nie było wykroczenia zawodowego. Postępowanie wyjaśniające z tego powodu zostało umorzone.

LEKARZ BYŁ W PORZĄDKU

Dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej Łódź-Bałuty w związku z notatką prasową zamieszczoną w nr 31 „Odgłosów” z 30.07.1988 r. w relacjach z dyżuru z 21 lipca 1988 r., wyjaśnia:

Sprawa, o której opowiedział w redakcji Ob. Grzegorz Biernacki wpłynęła do ZOZ Łódź-Bałuty 22.01.88 r. Po przeprowadzeniu wnikliwego dochodzenia oraz zasięgnięciu opinii konsultanta ds. pediatrycznych udzielono skarżącemu odpowiedzi pismem I. ZOZ-O i N-0671-1/88 z 11.02.1988 r., w którym wyjaśniono, że brak jest dowodów na okoliczność nieprawidłowego postępowania rejonowego lekarza pediatry.

Następnie, wszczęte zostało postępowanie Rzecznika Dobra Służby Zdrowia przy Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej w Łodzi w związku ze złożonym doniesieniem małż. Biernackich na okoliczność nieprawidłowego postępowania leczniczego w stosunku do dziecka Daniela Biernackiego.

Wynik tego postępowania będzie wiadomy po doręczeniu orzeczenia, które dotychczas nie wpłynęło.

Lek. med. TERESA WORONTKIEWICZ

„RUCH” WYJAŚNIA

W odpowiedzi na Wasze pismo z 23.07.88 r. informujemy, że kiosk nr 418 róg ul. Wojska Polskiego, i Spornej nie miał nadzielonych „Odgłosów” w związku z chorobą sprzedawcy, natomiast kiosk nr 420 przy ul. Spornej 82 otrzymał 80 egz. „Odgłosów”, co przy zamknięciu kiosków przy ul. Brackiej i Boya Żeleńskiego okazało się niewystarczające.

Ponieważ dni 22—24.07.88 r. były dniami wolnymi od pracy w Oddziale Łódź-Północ nie było możliwości zorganizowania przerzutów prasy do w.w. kiosków. Osobom odpowiedzialnym za zaopatrzenie w prasę w Odd. Łódź-Północ zwrócono uwagę na występujące niedociągnięcia i polecono je w przyszłości wyeliminować.

KAROL WIŚNIEWSKI
(Zastępca dyrektora PUPIK „Ruch”)

PRETENSJE NIEUZASADNIONE

Odpowiadając na interwencję Ob. Teresy Jerzykowskiej przekazaną Przedsiębiorstwu 4 lipca 1988 r. zgłoszoną do Urzędu Dzielnicowego Łódź-Polesie za pośrednictwem Redakcji tygodnika „Odgłosy” w sprawie odgródnienia jezdni od chodnika na ul. Rokicińskiej na wysokości posesji nr 80, Wojewódzka Dyrekcja Dróg Miejskich w Łodzi wyjaśnia:

Interwencja Ob. T. Jerzykowskiej była rozpatrywana na posiedzeniu zespołu ds. bezpieczeństwa ruchu 18 lipca 1988 r. Po wywysy zespół nie uznał zasadności wygródnienia rejonu posesji nr 80 przy ul. Rokicińskiej z uwagi na liczne wypadki i wyjazd z osiedla.

Inż. STANISŁAW ZDRAJKOWSKI
(Zastępca dyrektora Wojewódzkiej Dyrekcji Dróg Miejskich w Łodzi)

CZYTELNIKÓW TO NIE POWINNO INTERESOWAĆ

Wobec zapytań waszego poczytnego pisma dotyczących interwencji posła w Sejmie PRL na temat rozliczeń za gaz i energię elektryczną, związanej ze zmianą cen, jaka nastąpiła od 01.04.1988 r., uprzejmie informujemy, że Zakład nasz jak i inne Zakłady Energetyczne na terenie całego kraju otrzymały w ostatnich dniach odpowiednie polecenia wprowadzenia zmian prowadzących do likwidacji dotychczas stosowanych cen, tzw. uśrednionych.

Ministerstwo Przemysłu podało za pośrednictwem PAP informację dotyczącą tych zmian, która także została przekazana czytelnikom przez prasę lokalną np. u nas, przez „Dziennik Łódzki” z 28.07.1988 r.

Poza tą informacją podaną przez Ministerstwo Przemysłu nie dodac nie możemy, ponieważ są to już polecenia robocze mające na celu zabezpieczenie pełnej realizacji ustaleń, a nie interesujące czytelników.

Mgr inż. WIESŁAW KMIN
(Dyrektor)

NIEBEZPIECZNE BALKONY

W odpowiedzi na pismo ILL.GK.VI-8140/65/88 z 1988.07.12 Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej Łódź-Polesie informuje, że balkon (w ilości 1 szt.) w posesji przy ul. Rąbienieckiej 9 jest w złym stanie techn. i zostanie zburzony w roku bieżącym.

Natomiast pozostałe balkony kwalifikujące się do naprawy będą sukcesywnie remontowane w 1989 r. w administracji przez n. Przedsiębiorstwo dzielnicy poleskiej.

Ponadto informujemy, że odgróznione tynki płyt balkonowych na terenie ww. osiedla będą zbijane przez pracowników ROM II.

Mgr GRZEGORZ BARAŃSKI
(Zastępca dyrektora PGM-Polesie)

TELEFON — 36-77-70

Po zapoznaniu się z przesłanym materiałem red. Dariusza Dorczyńskiego, uprzejmie informuję:

Zmiana pierwszeństwa przejazdu na skrzyżowaniu Przybyszewskiego — Kilińskiego spowodowana została wyłączeniem z ruchu ul. Piotrkowskiej i wyznaczeniem ul. Kilińskiego jako trasy zastępczej dla tramwajów. Aktualne zaawansowanie prac nad instalowaniem sygnalizacji świetlnej pozwala oczekiwać szybkiej poprawy swobody ruchu w tym miejscu.

Mgr inż. LECH KRUPOWICZ
(Dyrektor Wydziału Komunikacji UML)

REDAKCJA — CZYTELNICZY

R.R. z Łodzi, autor listu o obserwacjach poczynionych pod Wydziałem Zatrudnienia przy ul. Wólczańskiej w Łodzi. Tekst pana nas zainteresował. Prosimy skontaktować się z redakcją. Podajemy telefon: 36-52-44. Prosimy redaktora Edmunda Lewandowskiego.

ANTONI WARPUCKI, MIECZYSLAW KOZAK, Łódź. Zadaniem redakcji — tak je przynajmniej rozumiemy — jest przedstawić Czytelnikom pisma taką propozycję, aby każdy mógł znaleźć jak najwięcej dla siebie interesujących pozycji do czytania. Formuła ta nam się sprawdza, co pokazuje nakład i nie tak znów duże zwroty. Mimo „urlopowego szczytu” nakład powoli pnie się w górę. Rozumiemy jednak, że niektóre pozycje mogą budzić u niektórych Czytelników bądź to niechęć, bądź wręcz sprzeciw. A nawet skłaniać do polemiki. Listy takie drukujemy. Pod warunkiem, że polemika jest rzeczowa i dotyczy istoty sprawy.

Natomiast propozycje, aby Mirosława Sarbińskiego nago przed kioskami „RUCHU” zachęcała do czytania swoich artykułów albo żeby zmienila zawód i w żadnym wypadku nie zabierała głosu publicznie, traktujemy jako bardzo zły żart. Żartowanie, posługiwanie się dowcipem, opowiadanie nawet dowcipów, to bardzo trudna sztuka i nie każdy ją może posiadać.

Nasze niepomierne zdziwienie budzi fakt, że wśród przeciwników Mirosławy Sarbińskiej są sami... mężczyźni. Czyżby kobiety były bardziej wyrozumiałe?

BOLESŁAW ZAJĄCZKOWSKI, Łódź. Ma pan rację. W liście Aleksandra Pytkie nie ma ani słowa na temat tego, jakoby pan i Mieczysław Kozak budowali pomnik. Nieporozumienie wzięło się stąd — jak to wynikało z pana listu — że odczytaliśmy ten list jako sugestię, jakoby listu Aleksandra Pytkie w ogóle nie było. Przepraszamy i jeszcze raz przyznajemy rację!

JAN WOJTCZEK, Łódź. Zwróciliśmy uwagę autorowi, że stwierdzenie: „Pisało także, iż można...” jest błędne. Autor dziękuje za uwagę i obiecuje, że poprawi się.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI, Łódź. Z faktu, że zdaniem naszego komentatora w Łodzi powinna być ulica Józefa Piłsudskiego, nie wynika, aby trzeba było wszystkim gmachom i instytucjom przywrócić imię Józefa Piłsudskiego, bo kiedyś takie imię im nadano lub zamierzano nadać. Nie przesadzajmy!

Z. WOLSKI, Łódź. Listu pana nie publikujemy. I nie dlatego, że brakuje nam odwagi. A tylko dlatego, że nie publikujemy insynuacji, pomówień i inwektiw, niezależnie pod czym adresem byłyby skierowane. Nas, przede wszystkim i wyłącznie, interesują teksty a nie plotki z życia prywatnego ich autorów.

WSPÓLPASAZER (imię, nazwisko i adres znane redakcji). Na temat różnicy w ilości kilometrów wykazanych na biletach kupowanych w Łodzi i Zakopanem już pisaliśmy. Nie mamy zamiaru wracać do tego tematu. Gdyby na PKP był to jedyny objaw bałaganu i lekceważenia pasażerów, to można byłoby z tym jakoś tam pogodzić się.

REDAKTOR DYŻURNY



Masz temat dla reportera?
Coś ci drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

18 sierpnia — BOGDA MADEJ — godz. 10—15

25 sierpnia — MAREK KOPROWSKI — godz. 10—15

RELACJA Z DYŻURU W DNTU 11 SIERPNIA 1988 R.

Dobrze teraz tym, co na morzu, tym nad morzem także nieźle. Tegoroczne lato sprzyja wczasowiczom, natomiast ludzior, którzy urloń mają już za sobą, bądź też wola wyjechać zimą, dopieka chyba zbyt mocno. Pracować w taki upał, nawet w biurze, dosyć trudno. Jeszcze trudniej zdobyć się na jakiegokolwiek inne, poza niezbędnymi formy aktywności. Stąd też zapewne nasz koleś dyżur nie przyniósł zbyt obfitych plotek — Czytelników zadzwoniło niewiele, a wśród poruszanych przez nich tematów znalazły się również takie, które można by zakwalifikować do typowo wakacyjnych — czyli rozrywkowych.

Ot — chociażby poruszony przez pana Andrzeja N., który znalazł sposób na uzyskanie pewnej sumy pieniędzy na pożądane społeczne cele.

Czytałem niedawno — powiedział pan Andrzej — że w Polsce mamy ponad 50 tys. pań, uprawiających najlżejszy zawód świata. Wszyscy wiedzą, że zjawisko takie istnieje, ale przemykają na to oczy — albo też próbują niemrawo z tym walczyć, apelując do pań, żeby porzuciły intratny, przynoszący dewizowe zyski zawód i zajęły się pracą mniej płatną, ciekawszą, nudniejszą, ale za to bardziej moralną. Tymczasem

— żadna praca nie hańbi, ta też nie, powinno się więc uznać zjawisko za normalne, forsować przez setki lat historii nikt żadnymi metodami, nie potrafił go zwalczyć, a pracownicy tego zawodu — podobnie jak prywatnych usługodawców innych branż — opodatkować w złotychkach i w dewizach. Zysk byłby niebagatelny. Pomysł jest zabawny ale... może i słuszny?

Drugim wakacyjnym tematem — ale już wcale nie śmiesznym — jest sprawa poruszona przez panią Elżbietę K. Podobne kłopoty dotykała, zwłaszcza w wakacje, wszystkich mieszkanek miasta. Ołóż przy ul. Niemcewicza (dzielnica Górna) był sklep spożywczy. Pracował dobrze zaopatrzony był nie najgorzej. W maju sklep przekształcony został w ałencję. Od tej pory pracowała w nim cała rodzina — łącznie 5 osób. Pracowała jednak krótko — od połowy czerwca, gdy tylko zrobiło się ciepło, aż do tej pory, na drzwiach sklepu wisł odręczny napisana kartka, nawet bez stempla wydziału handlu, że placówka nieczynna z powodu choroby. Zmieniała się tylko kolejna data otwarcia. Czyżby w rodzinie ałenta zapawała epidemię? Niestety, takich przykładów w handlu można podać wiele.

I latem i zimą wraca jak bumerang od wielu lat temat kupowania opakowań różnego typu. Tym razem zadzwoniła matka małego dziecka, która często kupuje soczki Bobo-Fruit. Butelczek tych nie chce skupować nikt, nie nadają się one — z powodu braku zamknięcia do przygotowania przetworów domowych. A przecież na pewno przydałyby się w zakładzie, może nawet cena przetworu, w którą test wkalkulowany koszt opakowania, mogłaby być niższa? Podobnie — nie wiadomo co zrobić z butelkami po płynach do mycia naczyń, szamponach i innych używanych w domu środkach. Z drugiej strony — słyszy się często, że produkcja jakiegos specyfiku jest ograniczona z powodu braku opakowań.

Mieszkańcy domu przy ul. Sienkiewicza 18 do jeziora mają co prawda daleko, ale, tak- że mieszkają nad wodą. Z hydrantu na podwórku od trzech tygodni bez przerwy leje się woda i byłoby zupełnie przyjemnie spędzać wolny czas nad powstałym rozlewiskiem, gdyby nie przykry widok porzuconych obok pojemników na śmieci, zepsutych kuchenek, połamanych tapczanów itp. Administracja budynku od długiego już czasu obiecuje, że śmieci będą wywiezione, a hydrant — naprawiony. Naszym zdaniem nie ma po co. Teraz jest woda dla o- chłody, zimą będzie lodowisko — i też dobrze.

Pan Andrzej G. jest mieszkańcem nowego osiedla Radogósz-Wschód, mieszkanie ma ładne, chciałby więc, aby ładnie było także wokół, na osiedlu. A tymczasem — co jeden zrobi, to drugi zniszczy. Nowe trawniki już nie istnieją — bo zniszczyły je kierownicy samochodów parkujących tuż pod oknami. Podobnie — zamienili na parking plac zabaw, z którego wypłoszyli dzieci.

Inni — estetyczną elewację zapaskudzili malując na okropne kolory, zmieniając balkony na werandy, malując

myszki Miki i inne potwory. Podobno nie ma na nich sposobu. Nam się jednak zdaje, że kilka solidnych mandatów odstraszaloby „architektów” od takiego upiększania fasad.

Z jednej okolicy pochodzą problemy poruszone przez dwóch następnych czytelników. Pan W. porusza sprawę zdecydowanie złej nawierzchni (jest to raczej polna droga, niż ulica) ul. Urzędniczej. Zdumiskiej i pobliskich. Wyboje, dziury, śmieci powodują częste uszkodzenia samochodów, a ponadto w niektórych miejscach trasy wytyczone są tak, że aby dojechać na parkingi przed domami z przelotowej ulicy Złotowskiej trzeba, jechać po chodniku. Wypadki już były.

Pan D. R. w imieniu Samorządu Osiedlowego prosił o interwencję w MPK, które od dwóch lat nie chce wybudować wstwy na przystanku autobusowym przy rogu ul. Zachodniej i Limanowskiego. Proponują aby wiatę wybudowali mieszkańcy w czynnie społecznym. Obiecali załatwić te sprawy radni ubiegłej kadencji, nie załatwili, a tymczasem zbliża się kolejna, deszczowa jesień.

I jeszcze jeden temat wakacyjny — smutny. Wielu emerytów, którzy przecież na ogół nie wyjeżdżają na wczasy spędzić ciepłe dni w Łagiewnikach. Niestety nie mają gdzie iść, aby spokojnie odpoczywać na powierzu. Stare ławeczki zmurszały, rozsypują się. Dwie stoją koło przystanku, tam, gdzie najczęściej balasu i spalin, ale i one nie mają oparcia. Prosimy, w imieniu emerytów, o nowe, wygodne ławeczki z oparciami, takie jak w parkach.

TERESA JERZYKOWSKA

Przybył prokurator. Zszedłem z więźniami i zamełdowałem mu o przywiezieniu skazanych. Wreczyłem dokumenty. Prokurator pobieżnie je przejrzał i schował do teuszki. Podszedł podporucznik i zamełdował gotowość plutonu egzekucyjnego do wykonania wyroku. Podeszli ksiądz, lekarz i naczelnik. Prokurator omówił czynności, które w kolejności powinny zostać wykonane. Zwracając się do mnie, polecił ustawić skazanych tyłem przed wykonanym dołem.

— Są to ludzie wyjęci spod prawa — powiedział — w razie ucieczki strzelajcie bez ostrzeżenia. Zdejmijcie im kajdanki. Skazani podtrzymywani przez milicjantów, schodzili powoli z samochodu. Droga do dołu pokonywali długo wlokąc nogi, jakby nagle stali się z ołowiu. Kiedy zostali ustawieni, milicjanci otworzyli kordon zabezpieczający akcję. Do skazańców podeszli ksiądz. Kazał żałować za grzechy, podawał stule do pocałowania. Tylko jeden odwrócił się od księdza i nie pocałował stule.

Na wyznaczone stanowisko podeszli żołnierze. Stanieli w odległości dziesięciu metrów naprzeciw skazanych. Do każdego ze skazanych dwóch żołnierzy miało strzelać. Ale tylko jeden posiadał w magazynku ostre naboje, drugi ślepek. Nikt nie wiedział, kto zabija.

Ksiądz skończył i odszedł za kordon. Głos zabral prokurator. Odczytał wyrok. Popelnili około dwudziestu napadów rabunkowych, zamordowali wiele osób, Hersztem bandy była kobieta.

Zapamiętałem opis napadu na zakład krawiecki. Robotę nadała kobieta i poleciała ją wykonać czterem członkom bandy. Wrośli z niczym tłumacząc, że w zakładzie i przyległym mieszkaniu nie ma złota. Dokładnie je spłądowali pod nieobecność domowników. Kobieta im nawymyślała. Jeszcze tej samej nocy poprowadziła ich w to samo miejsce. W trakcie rabunku przyszła niespodziewanie właścicielka zakładu. Kobieta poleciała ją zawiązać i zakneblować usta. Dano jej kilka minut czasu na wskazanie schowka z ukrytym złotem. Właścicielka głową zaprzeczyła. Wówczas rozwścieczona jej uporem herst — poleciała położyć ją na krawieckim stole, zerwała z niej majtki i wbiła w jej pochwę długie, ostre krawieckie nożyce. Rano śladzki znaleźli ją martwą.

Żołnierze z uwaga słuchali prokuratora, nie patrzyli na skazanych, ich wzrok blądził ponad ich głowami.

— Krajowa Rada Narodowa, biorąc pod uwagę wysoką szkodliwość społeczną czynów popelnionych przez skazanych, nie skrotyła w stosunku do nich z prawa łaski — mówił prokurator.

— Jaka zbrodnia taka kara.

Uchylił kapelusza i zwrócił się do oficera ze słowami:

— Proszę o wykonanie wyroku.

Skazańcy poczęli krzyczeć.

— Ja chcę żyć, nie róbcie tego — wołał jeden.

Inny krzyknął: — Niech żyje demokracja!

Kobieta histerycznie powtarzała: — Wybaczcie mi.

Tylko ten, który odwrócił się od księdza, stał opanowany z re- omdo tyłu, o twarzy z której nie można było wyczytać ni- zego.

Ich krzyki przerwała komenda:

— Pluton cel, do ostatniego naboju ogniem ciągłym — pa!

Salwa trwała kilka sekund. Na moment zamknąłem oczy. Skazani padli na ziemię jak podcięci.

Padła następna komenda:

— Rozładuj broń, w prawo zwrot, odmarsz!

Żołnierze odeszli do samochodu. Zdali pepesze i wzięli łopaty.

Lekarz przystąpił do rutynowych czynności, aby stwierdzić, czy u wszystkich rostrzelanych nastąpił zgon. Okazało się, że u dwójki było jeszcze życie. Strzałem z pistoletu skrócono ich mek.

Ksiądz odjechał pierwszy. Prokurator, oficer i lekarz prowa- dzili rozmowy, czekając aż mogła zostanie zwołana z ziemią. Prokurator powiedział, że za kilka dni zwłoki rostrzelanych zos- taną zabrane, podziękował za współpracę, przy wykonywaniu przykrego obowiązku.

Milicjanci zajęli miejsca na ciężarówce. Wiał lekki wiatr, wszę- dzie panowała zupełna cisza. Nie nie wskazywało na to, że jesz- cze przed kilkoma minutami rozegrał się tu finał ludzkiej trage- dii. Minęły nas dwa samochody załadowane wojskiem. Zmierza- li na strzelnicę, aby odbyć planowane, jak co dzień, ostre strzelanie.

Przez kilka lat z rzędu, w miejscu wykonania wyroku, w dntu Święta Zmarłych ktoś zapalał tam świeczki. Palły się do późnej nocy.

EUGENIUSZ DWORNICZAK

Awantury o Bebiko

Sklep znany z najdłuższych kolejek

Głos w słuchawce zabrzmiał dramatycznie:

— Jeżeli sytuacja się nie poprawi, to w najbliższym czasie urządzimy marsz głodowy. Dzwonię w imieniu kilkudziesięciu matek, postanowiłyśmy wózkami przemarszerować na znak protestu Piotrkowską. Już mamy dość. Musi się coś zmienić. A może wy byście spróbowali jakoś pomóc. Może wam się uda? Zróbcie coś!

Ala co?

Przed sklepem firmowym krajowej Spółki Przedsiębiorstw Koncentratów Spożywczych stoi najdłuższa kolejka w Łodzi. Ludzie ustawiają się codziennie w nadziei, że będzie w tym dniu dostawa. Z myślą, że może uda się i starczy i dla nich. Sklep otwierany jest codziennie o dziesiątej, ale pierwsi kolejkowicze przy- chodzą o kilka godzin wcześniej.

Ludzie czekają na kleiki ryżowe, kaszki, puszki z tak lubianymi przez dzieci warzywami z mięsem. Najbardziej pożądane jest jednak BEBICO, jak mówią niektórzy mleko wartościowe.

O mleku, a dokładniej o szkodliwych składnikach, których w nim za dużo pisano już wiele. Nie chcą go pić dorośli, którzy pamiętają jeszcze dobrze jak powinno smakować. Nie chcą i często nie mogą go pić dzieci, które wprawdzie nie pamiętają jak powinno smakować, więc są może w szczęśliwszej sytuacji, ale z kolei ich organizmy często buntują się przeciw przyjmowa- niu białej cieczy o wdzięcznej nazwie mleko.

Matki ratują się wtedy podając dziecku Bebiko. I nie ma się co dziwić, że robią wszystko, aby zapewnić swojemu dziecku zdroweżywienie. Mają bowiem przekonanie, że Bebiko produkowane jest z mleka najbardziej wartościowego, spełniającego bardzo ostre reżimy narzucone przez technologię.

Bebiko, tak jak kaszki, kleiki ryżowe są łatwo przyswajalne przez organizm i dlatego stanowią tak atrakcyjny towar. Produ- kowane są przez Polskie Zakłady Koncentratów Spożywczych. Zakłady te zaopatrują w swoje wyroby cały kraj, albo inaczej, cały kraj czeka na ich produkcję... Jest to ogromny kombinat, o dużej produkcji, ale niestety jedyny w kraju. To co wyproduk- uje, musi starczyć dla wszystkich. Łódź ma swoją działkę i więcej, nawet gdyby chciała nie dostanie.

Cale nasze województwo otrzymuje trzydzieści ton odżywek miesięcznie, a jedną trzecią tego sklep firmowy Spółki UNISCO. Producent odżywek jest bowiem członkiem tej spółki. Sklep „UNISCO” nie jest sklepem specjalistycznym, oprócz odżywek, właściwie przede wszystkim, sprzedaje koncentraty spożywcze.

Jest za to jedynym w Łodzi, który Bebiko sprzedaje każdemu, nie potrzeba okazywać specjalnego stempla w książeczce zdrowia.

Są jednak pewne ograniczenia w sprzedaży, a spowodowane są ograniczoną ilością towaru. Sprzedaje się więc tak, aby starczyło dla sporej liczby osób a nie tylko dla stojących na początku ko- lejki, i aby każdy kupujący, skoro już się tyle wystął miał za- pas na kilka dni.

Gdy towaru zaczyna brakować, jak to w takiej sytuacji zwyk- le bywa, zaczynają się konflikty i wybucha niezadowolenie. Ci, któ- rzy stoją bliżej chcą, aby sprzedawca taką samą porcję, jak do- tyychczas, ci z dalszej części kolejki żądają, aby porcje ograni- czyć.

Często kolejka pomrukuje z niezadowolenia, gdy ludzie nie mogą doprosić się konkretnej informacji, kiedy będzie dostawa.

Kierownik sklepu bowiem, mimo najszerszych chęci może powiedzieć tylko, kiedy spodziewa się dostawy, ale pewności nie ma. Zawsze dzwoni do producenta, do Opola, gdzie otrzymuje informację, że samochód z transportem do Łodzi został już za- ładowany, i to wszystko. Tylko na tej podstawie może on przy- puszczać, kiedy dotrze on do Łodzi. A w drodze, jak to w dro- dze wiele może się wydarzyć, nieprzewidywany postój, niedyspozycja kierowcy lub samochodu. Oczekujący chcieliby wiedzieć na pewno, a na pewno wiadomo, kiedy będzie sprzedaż, gdy sa- mochód już dojedzie do Łodzi.

Obsługa sklepu zapewnia, że gdy już samochód z towarem przyjedzie stara się już nie przedłużać sprawy. Sprzedaż odbywa się zaraz po przyjęciu i pokwitowaniu towaru oraz telefonicz- nym potwierdzeniu ceny. To ostatnie nie ma może znaczenia dla klientów, ale raczej dla obsługi. Kiedyś zdarzyło się, nie można było uzyskać połączenia telefonicznego z producentem, aby upew- nienie, co do stałości ceny i kierownik sklepu, aby nie przed- łużać ludziom oczekiwania, zaufał temu, co było napisane na opakowaniu i zdecydował się na sprzedaż. Potem okazało się, że pewna partia artykułów miała cenę podwyższoną o dziesięć zło- tych. Kierownik sklepu musiał więc różnicę pokryć z własnej kieszeni. Cóż, rodzaj ryzyka zawodowego.

Długie oczekiwanie rodzi agresję, o tym przekonał się z pe- wnością każdy. Wszyscy staliśmy się weteranami kolejek. Obsłu- ga sklepu „Unisco” widziała już chyba wszystko.

Długo pozostała jednak w pamięci scena, gdy młoda matka pobila starszkę. Nie mogła zrozumieć, że odżywkę sprzedawane w tym sklepie potrzebne są nie tylko dzieciom. Nie raz nie- zbędne są dla ludzi po ciężkich operacjach żołądka, z nowotwo- rami. Oni również potrzebujążywienia łatwo przyswajalnego przez organizm. W kolejce zaczyna się nienawiść. Nienawiść do stojących obok i niechęć do sprzedawców.

Wydawać by się mogło, że w dni sprzedaży Bebiko i innych artykułów, tego typu sklep ma wyjątkowy utarg. Jak mnie za- pewnił kierownik sklepu, jest odwrotnie. Obróty spadają. Nie dziwne, gdy paczka Bebiko kosztuje 70 złotych, lub na przy- kład konserwy — 21 czy 26 złotych, czyli przy obecnym cenach, prawie nic. Nie ma się więc co dziwić, że kasa, mimo dużej ilości sprzedanego towaru, nie puchnie.

Niektórzy zastanawiają się, czy byłoby dobrze usprawnić jakoś sprzedaż. Wprowadzić jeden lub dwa stałe dni sprzedaży w ty- godniu. Ludzie nie staliby na próżno, czekając w nieupewnności na dostawę.

Zresztą nie o usprawnienia sprzedaży tu chodzi. Ludzie czekają na więcej towaru. Co obchodzi matkę stojącą w kolejce po Be- biko, że producent chce, a nie może. Jedna z kobiet w kolejce skarżyła się, że mąż w zdenerwowaniu powiedział jej:

— Chciałaś dziecka to teraz się martw. I martwi się.

ZOFIA KĘDZIORA

Przez lata w tym miejscu czyjaś ręka w Święto Zmarłych zapalała świeczki, które palły się późno w noc.

Egzekucja

Wiosną 1946 roku, krótko przed świętem, delikatnym szarpnię- ciem za ramię, obudził mnie oficer dyżurny z poleceniem nie- zwłocznego zamełdowania się u komendanta MO w Łodzi. Zer- wałem się z posłania, ale widząc palec oficera na ustach zrozumi- ałem, że mam być cicho. Wyniosłem umundurowanie przed wyjście, ubrałem się i stanąłem przed obliczem komendanta.

— Komendant chodził nerwowo po gabinecie. Ciągłe przewyżal zabójstwo swojego zastępcy dla spraw politycznych, serdecznego przyjaciela por. Henryka Kozłowskiego. Komendanta nazywaliśmy między sobą „Dziadek”. Pochodził z Pabianic. W gabinecie miał mandolinę, na której późną porą, gdy nie mógł zasnąć, grał róż- ne melodie trochę fałszując.

— Kaprału, czy byłeś kiedy obecny przy rozstrzelaniu?

— Nie! Ale powalczyłem już trochę.

— Wiem — odrzekł na to. — Dlatego wyznaczylem twoją dru- żynę.

Pomilczał chwilę i rzekł:

— Ludzi zabijcie o czwartej i natychmiast ładujecie się do ciężarówek przed komendą. O czwartej trzydzieści musicie być przed więzieniem na Sterlinga. Przemiesz pięć osób. Punktualnie o piętej skazanych dostarczycie na miejsce stracenia przy strzeli- nicy na Zdrowiu przekazać do dyspozycji prokuratora. W czasie przewożu musicz zachować szczególne środki ostrożności. Licho nie spłi Trasa przejazdu utrzymana jest w tajemnicy, kopertę otworzysz dopiero z chwilą załadowania skazanych na samochód.

W drużynie miałem dziesięciu młodych milicjantów. Mogłem na nich liczyć. Omówiłem z nimi zadania i naładowałem broń o wyznaczonej godzinie byliśmy przed więzieniem.

Naczelnik więzienia już czekał. W krótkich słowach podał opi- nię o każdym z piątki skazanych. Omówił ich zachowanie w więzieniu i wreczył ich dokumenty.

Była wśród nich kobieta. Byli przygotowani do ostatniej drogi Strażnicy pojedynczo wprowadzali ich do gabinetu naczelnika. Po sprawdzeniu personaliów przekazałem każdego pod opiekę dwóm milicjantom, którzy zakładali im kajdanki.

W samochodzie wszyscy usiedli na podłodze. Jeden oparł się plecami o drugiego. Kobieta bez kajdanek zajęła miejsce pośrod- ku. Samochód nie posiadał plandeki. Milicjanci ukleśli na jed- nym kole nie i otoczyli całą piątkę. Stałem oparty o szoferkę. Obserwowałem drogę przed sobą. W ręku trzymałem karabin gotowy do strzału.

Był słoneczny poranek. Ludzie spieszyli na ranną zmianę do pracy. Panował spokój. Pomyślałem, że gdyby miała być urzędzo- na zasadzka, to tylko na załesionym kawałku ulicy Konstanty- nowskiej, od wiaduktu do wsi Brus. Ale nic się nie zdarzyło.

Przyszło nam trochę czekać, ponieważ nie przybył prokurator. Na miejscu byli ksiądz i lekarz. Przechadzając się prowadzili rozmowę. Nadjechał naczelnik więzienia. W pobliżu widoczny był świeżo wykopany dół.

Czterech mężczyźni po trzydziestce byli bladzi i skupieni. Z oczu wycierał ogromny łęk. Kobieta około czterdziestu lat, ładna szat- nika nie wierzyła w to, co ją czeka. Spytała, czy może rozmawiać? Zezwoliłem.

— Jaki piękny dzień, drzewa i krzewy tak zielone — mówiła — słychać śpiew ptaków, a pan... — zwróciła się do mnie — jest bardzo podobny do mojego syna. W czasie śledztwa tylko raz mnie odwiedził. Nie nie mówił, długo patrzył ze strachem i tea- mi w oczach. Pewnie mnie potępił.

Zamilkła kryjąc twarz w dłoniach.

Przyjechał wojskowy samochód. Zatrzymał się w oddaleniu. Wysiadło z niego dziesięciu żołnierzy, ze specjalnej jednostki KBW, uzbrojonych w pepesze. Ustawili się szeregiem przed tylną kłapą wozu.

2

zaczęło się od listu w miesięczniku „Poezja”, w którym prof. dr Georg Günther napisał, że Inge Bartsch, bohaterka znanego wiersza „Konstantino Idefonsa Galczyńskiego, żyje i mieszka w Holandii. Aktorka, która z woli poety „zaginęła w tajemniczych okolicznościach”, ma dziś 80 lat i dopiero niedawno dowiedziała się, że jest bohaterką jednego z najbardziej popularnych wierszy Galczyńskiego. Zresztą nie tylko. W 1983 roku, w Operze Wrocławskiej odbyła się premiera opery Henryka Czyża, zatytułowanej „Inge Bartsch”, opartej na motywach utworu Galczyńskiego.

Pod listem wydrukowanym w „Poezji” przeczytałem „Greifswald”, nie zatem dziwnego, że będąc w tym uniwersyteckim mieście zacząłem szukać prof. Günthera. Udało mi się wreszcie zdobyć jego adres i napisałem doń list. Trzy dni później na mój greifswaldzki adres przyszła odpowiedź. Profesor pisał: „Przyjemnie mi Pan swym listem zaskoczył. Ucieszyłem się bardzo. Aby umówić spotkanie, proszę zadzwonić, Koserow 361 — serdecznie pozdrawiam G. Günther”.

Zadzwoniłem i w jakiś czas później, drogą przez Wolgast, dojechałem na wyspę Usedom, gdzie dziś profesor mieszka w pięknym domu otoczonym hektarowym ogrodem schodzącym aż do brzegu zalewu.

— Moi przodkowie pochodzą z Palatynatu i w końcu XVIII wieku przyjeżdżali do Galicji Wschodniej, gdzie ojciec kupił majątek nieopodal Lwowa — opowiada prof. Georg Günther — W domu mówiliśmy dialektem palatynskim, ja rozmawiałem z rówieśnikami po rusku. Kiedy przyszedł czas nauki, rodzice wysłali mnie do niemieckiego gimnazjum we Lwowie. Ale jeden z moich wujków był Polakiem i to on powiedział mi: „Skoro żyjesz wśród Polaków, powinienes chodzić do polskiej szkoły”. Tak więc po roku przeniosłem się do X Gimnazjum Państwowego im. Henryka Sienkiewicza. Tam zaledwie maturę i tam zaczęła się moja fascynacja polską poezją. Od tamtego czasu w moim życiu zostali obecni na zawsze — Mickiewicz i Konopnicka, Słowacki i

Biografia wpisana w dwa krajobrazy

Rej, Modrzewski, poeci osiemnastowieczni, oczywiście cały Sienkiewicz — patron mojego gimnazjum. Ciągłe życie w kręgu polskiej literatury, poezja polska jest dla mnie modlitwą, która wzbogaca człowieka i przemienia go wewnątrz...

— Ale po maturze były jednak studia medyczne?

— Tak, studiowałem medycynę we Lwowie, a okulistykę w Krakowie u dr Karelusa, dalej w Poznaniu u prof. Stasińskiego, następnie w Krakowie w Klinice Okulistycznej u prof. Laubera, a zakończyłem specjalizację w Berlinie u prof. Löhleina...

Do poezji wróciłem na dobre dopiero na emeryturze. Tłumacząc wiersze Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej na niemiecki, a z kolei na polski przekładam współczesnych poetów niemieckich, np. wiersze Ewy Strittmayer. Ta praca jest źródłem moich nowych fascynacji, kiedy widzę, jak wiersz, przetransponowany na drugi język, zaczyna żyć innym, własnym życiem. Ja nie tłumaczę na język obcy; bowiem oba języki — polski i niemiecki — są przecież moje. Na niemiecki przełożyłem m.in. wielu współczesnych poetów pomorskich, ale także osiemnastowiecznego Olizarowskiego, czy choćby pański wiersz „Do pięknej pani...”

— Ale pierwszą pana miłością była jednak medycyna, w której osiągnął pan profesor wielkie sukcesy jako chirurg-okulista. Przez wiele lat kierował pan kliniką okulistyczną Uniwersytetu w Greifswaldzie, otrzymał pan za swoją pracę naukową nagrodę państwową NRD, wychował wielu wybitnych specjalistów...

— Do studiowania medycyny namówił mnie mój przyjaciel — Polak, Wit Rzepecki, znany dziś, wybitny chirurg, podobnie jak ja — już na emeryturze. Studia ukończyłem w 1933 roku i zaraz potem odbyłem służbę w Wojskowym Centrum Wyszczolenia Sanitarnego w Warszawie.

— Ale i wtedy szła za panem poezja, bowiem w jednoznacznie CWS z tego roku widnieje wiersz liryczny, podpisany „Jerzy Günther — szeregowiec”...

— Poezja szła za mną wszędzie, ale było na nią coraz mniej czasu. Po skończeniu służby w Warszawie odbywałem praktykę w 11 Pułku Artylerii Lekkiej i w 5 Pułku Ułanów Jazłowieckich w Stanisławowie, jako lekarz pułkowy... A potem wróciłem do Krakowa, gdzie w Szpitalu św. Łazarza, u dr Karelusa, odbywałem specjalizację okulistyczną. Potem dr Karelus skierował mnie do Poznania, do prof. Stasińskiego, który był na owe czasy najwybitniejszym okulistą w Polsce. Od niego to nauczyłem się bardzo wiele i tam pracowałem do wybuchu wojny. Profesorem Stasińskiemu złożyłem swego rodzaju hołd, pisząc do polskiego czasopisma „Archiwum historii medycyny” biografię mojego nauczyciela, zatytułowaną „Prof. Jan Stasiński w świetle ówczesnej nauki okulistycznej w Polsce”.

— A kiedy wybuchła wojna?

— Zanim wybuchła wojna, otrzymałem kartę mobilizacyjną do mojego macierzystego DOK w Krakowie. I tu usłyszałem i zobaczyłem pierwsze bombardowanie w Rakowicach 1 września 1939 roku. Byłem wówczas oficerem sanitarnym — kierowałem transportem rannych. Uciekaliśmy na wschód. Aż 18 września znalazłem się w Kowliu, gdzie z radia dowiedziałem się, że wojska radzieckie przekroczyły granicę Rzeczypospolitej. Wróciłem więc do Krakowa, gdzie zacząłem znów pracować w szpitalu. Z tamtych czasów utrzymuję kontakty m.in. z lekarką Ireną Ciołsińską z oddziału neurologicznego, którą wywieziono do Ravensbrück, ale udało się jej stamtąd wydostać. Z panią Ireną korespondujemy od lat...

— Po wojnie natomiast był Greifswald?

— Tak. W 1939 roku jechałem na wschód — w 1945 na zachód. To chyba zrozumiałe. W Greifswaldzie znalazłem moje nowe miejsce na ziemi, tu spełniły się wszystkie moje naukowe dokonania, tu założyłem rodzinę — też zresztą związaną, jak ja, z medycyną, bowiem moja żona jest dr habilitowanym okulistką na Uniwersytecie w Greifswaldzie, a moje córki i syn studiują medycynę, więc jest nas razem pięćoro medyków. I tak się dzieje, spłatają losy ludzkie. W moich żyłach nie ma nawet kropli krwi polskiej, a mówię po polsku i piszę po polsku, a polska literatura jest moją miłością. A moja żona Jutta nie zna polskiego, natomiast pochodzi z polskiej rodziny — portret oficera z czasów napoleońskich, taki wisi w hallu, przedstawia majora Polczyńskiego, prapradziada mojej żony.

— Miał pan profesor ciekawe, choć powikłane życie... Czy nie warto o tym życiu napisać? To bardzo literacki życiorys...

— Napisałem moje wspomnienia, które ukażą się jeszcze w tym roku. Oczywiście, spora ich część dotyczy Polski i Polaków, bo są to elementy mojego życiorysu, a Galicja — Lwów i Kraków — to przecież obszary mojej młodości i moje miejsca rodzinne.

— To nasze spotkanie też jest bardzo literackie. Zetknęła nas z sobą bohaterka wiersza Galczyńskiego, której żaden z nas nie widział na oczy, a znamy ją tylko z przekazu poety sprzed pół wieku...

Jest upalne, letnie popołudnie, kiedy wyjeżdżamy leśną drogą na ruchliwą szosę. Za nami dom pełen polskich książek, dom otoczony świątkami zasadzonymi rękami prof. Günthera... Za nami spotkanie z fascynującym człowiekiem i jego rodziną, spotkanie z biografią wpisana równocześnie w dwa krajobrazy — tamten polski, galicyjski, i ten współczesny, niemiecki i bałtycki. A swoją drogą, warto, aby któregoś z polskich wydawców zainteresowało się pamiętnikami prof. dr Georga Günthera.

JERZY WILMAŃSKI

1

Spojrzenie znad szachownicy

Bitwa o bony

Ponieważ większość z nas, a już autor tych słów z całą pewnością, nie należy do finansowych potentatów obracających niedbalą tysiącami dolarów, bitwie o bony — niemal równie zaciekłej, co pamiętna bitwa o Londyn — możemy przyglądać się z pewnym pobłażaniem, choć wypadłoby mieć i te przykry świadomości, że jej koszty pokryjemy w całości z własnych, prywatnych kieszeni.

W zamysłu miało być nadzwyczaj pięknie: bank, pragnąc przełamać monopol tak zwanych koników, rozpoczął skup imitujących dolary bonów towarowych, które następnie zamierzał sprzedawać z umiarkowanym zyskiem, przechwytywać marżę, a jednocześnie wpływać stabilizująco na czarny rynek.

Cinkciarze — jak dochodzili słuchy — nie przejęli się tym zbytnio, twierdząc, że tak czy siak zawsze będą szwabi, bardziej operatywni i elastyczni, słowem żaden bank z nimi nie wygra, ale pobawili się w tę grę, owszem, mogą.

No i jak dotąd oni są górą. Pare tygodni temu oficjalna cena skupu wynosiła 1550 zł, jeden z drugim „konik” płacił ciut więcej, sprzedawał po 1700 i wychodził na swoje, trzeba bowiem wiedzieć, że młodzi ludzie spod szeptów „Pewexu” braci-rodaków nie obskubują przesadnie, co innego — obco-krajowców.

Potem — bo waży tu przecież i inne czynniki — bony podskoczyły do 1800 i w tym momencie bank podjął heroiczną decyzję windakcji ceny skupu do 1750 złotych.

Riposta była natychmiastowa. Dokładnie 4 sierpnia — być może dla uczczenia kolejnego wydania „Odgłosów” — „konie” przebili bankowców w cenie skupu, podnosząc równocześnie ceny sprzedaży na początek do 1900 zł, czyli przerzucając koszt całej operacji na klientów nie mających, prawde powiedziawszy, żadnego rozsądnego wyboru. Bank — być może — sprzedałby prawdziwe bony w nieokreślonej przyszłości ciut taniej, ale przedtem musi je kupić, tymczasem na czarnym rynku kuno i sprzedaż odbywa się od rekli.

Potencjalni nabywcy znaleźli się tedy w sytuacji przymusowej, mówiąc językiem szachistów w zagrożeniu, bo jeżeli zrobią ruch i kupią, to stracą zaraz, a jeśli nie kupią, to stracą jeszcze więcej, tyle że ciut później. Rysuje się bowiem tendencja do wzrostu, nie zniskowa, czego życzyłby sobie eksperci od światowych finansów, naivni ci ludzie nie biorą jednak pod uwagę prostego faktu, że dziewczyna Kowalskiego może mieć akurat imieniny i bez wytyranych pachnideł onże Kowalski nie ma po co pokazywać się jej na oczy.

2.

Pisząc to zauważam, że walczą we mnie już nie dwie dusze, jak u chłopca-średniaka, ale trzy do czterech. Jedna to dusza zwykłego faceta, który wszystko chciałby kupować możliwie tanio. Druga to dusza zadowolonego obywatela żyjącego wspaniałymi sukcesami państwowemu bądź co bądź bankowi. Trzecia dusza jest duszą szachisty, który konikiem czyli skoczkiem dał nieledwego już mata, ma więc pewien sentyment do tej przemysłowej figury. Wreszcie czwarta dusza pozostaje duszą kibica, zainteresowanego walką, sportowym — w jakimś tam sensie — pojedynkiem bez względu na rezultat końcowy.

Każda dusza wie, co swoje i pozostałym sobacz, wszystkie razem nie żyją sobie jednak dalszej cenowej licytacji, dlatego też na symposium naukowym dusz zapadła uchwała udzielenia czysto bezinteresownej porady bankowi, który wprowadził zaowocne z niej nie skorzysta, ale to już oddzielna sprawa.

3.

Co bank może — pytają duse. I odpowiadają: — Niewiele może, w gonitwie cen zawsze bowiem przegra, żadnych szczególnych usług nie świadczy, a ponieważ obrót bonami test prawie że legalny, słodkie poczucie bezpieczeństwa zachowujemy równie dobrze w banku, jak pod byle „Pewexem”. Wyjątkiem grubsze kanty, tak zwane przewalanki, ale trzeba być zupełnym frajerem, żeby się na nie nabrać.

Należy tedy cinkciarzy przebić czynnym takim, czego sami nikt nie zaoferować nie mogą, choć propozycja, która padnie, bliska jest nieprzyzwoitości, pamiętajmy, że tonący brzytwy się chwytą, czemuż więc nie miałyby się uciepić papieru toaletowego? Kto sprzedaje bony otrzyma może i jeszcze prawo do nabycia rzeczonych rarytasu (powiedzmy w relacji: 10 bonów — jedna rolka) i to najlepiej w stoisku obok, a nie gdzieś tam, na końcu świata.

Rozumiem wprawdzie, że to niezbyt elegancko handlować w poważnym banku niepoważnym papierem, ale jeszcze głupiej będzie wyglądał konik z wianuszkami tegoż papieru na szyi, jeżeli zaś nasze miłe cwaniaki wyzwanie nie podejmą — cały ich biznes diabli weźma.

4.

Co rzekłszy udaje się zamieścić na bony resztki posiadanej gotówki. Stracić nie stracę, a przy dobrych układach zyskam może na tym ze dwie, trzy rolki. Czego i Państwu życzę.

JERZY P.

2

Lewym okiem

Pytanie

W programie Telewizji Polskiej jest taka stała pozycja „Powtórka z historii”. Polega ona na tym, że najpierw wygłasza się, niejako spoza ekranu, prelekcję o jednym z bohaterów najnowszej historii polskiej, o jakimś wielkim dowódcy, wielkim polityku, przywódcy partyjnym. Następnie są to postaci kontrowersyjne, takie, o których opinia nie jest jednoznaczna. Po odczycie następuje rozmowa z grupą młodziarzy, która zadaje pytania, a prelegent odpowiada.

Pomysł audycji jest bardzo dobry, miał przybliżyć i uplastycznić wiele postaci z naszej niedawnej przeszłości, skorygować legendy o nich, naprawić krzywdy, wynagrodzić zasługi. Niewątpliwym mankamentem audycji jest fakt, że na ogół prelekcja wstępna trwa dość długo, na pytania zostaje bardzo mało czasu, tym bardziej że na każde z nich prelegent odpowiada nowym minireferatem, czasami krążąc wokół tematu, nie dając właściwie żadnych konkretnych, sprecyzowanych ocen.

Niedawno powtórka z historii poświęcona była generałowi Zygmuntowi Berlingowi. Na moment pokazano też samego generała. W czasie nagrania rozmowy był już człowiekiem sędziwym, mówił o desancie żołnierzy polskich z Saskiej Kępy na Czerniaków w ostatnich dniach powstania warszawskiego.

— Desant był bardzo trudny — mówił — bo miało się przeciwko sobie nie tylko Niemców, lecz także dowódców powstania i własne dowództwo.

Pamiętniki generała Berlinga, o których wiadomo, że istnieją, na podstawie których kręci się film, nie zostały wydane i — o ile wiem — nie są objęte najbliższymi planami wydawniczymi; widocznie jawność nie sięgnęła jeszcze tak daleko. Być może, że w pamiętnikach tych znalazłbyśmy wyjaśnienie słów generała.

Tu przypomina mi się książka Zenona Kliszkis „Powstanie warszawskie” wydana przez „Książkę i Wiedzę” w 1987 roku. Na stronie 233 jest tam następująca scena:

„Za chwilę jesteście już pewni. W naszym kierunku płyną łodzie, wyciągnęłam do góry rękę, i tak jak było umówione wystrzelam jeden raz z pistoletu. Zaczęłam liczyć: jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta, dziesiąta, dwunasta, cała flotylla łódek płynęła ku nam. Pomoc nadchodziła tym razem rzeczywista i realna. Żołnierz siedzący przy wiosle powiedział: „proszę pana, niech pan patrzy, mamy dużo łodzi, wszyscy się zmieszczą. Oczywiście dla wszystkich znalazło się miejsce, było nawet bardzo przestronnie, jak na nasze potrzeby łodzi było za dużo, niektóre z nich odbijały od brzozy w powrotną drogę”.

Scena ta dotyczy ostatnich dwóch dni września. Powstanie upada, Żoliborz kapitułuje, resztki powstańców z Żoliborza ewakuują się na prawy brzeg Wisły.

Gdybym siedział w studiu telewizyjnym pośród młodych słuchaczy zadałbym pytanie murującemu mnie od wielu lat: skoro tuż przed upadkiem powstania przypłynęło z prawego brzegu na lewy tyle łodzi, że aż niektóre z nich wracały puste, to czy wcześniej nie mogły te same łodzie przywieźć żołnierzy z karabinami maszynowymi, z moździerzami, z granatnikami, przecież wcześniej brzeg żoliborski był łatwiej dostępny, przyczółek był znacznie szerszy. Dlaczego taki desant był tutaj niemożliwy, a próbowano go pod Czerniakowem, gdzie nie miał żadnych szans?

Na ekranie pytanie takie nie padło, padły dwa czy trzy bardzo drobne odpowiedzi, że zresztą nie udzielono odpowiedzi, bo zabrakło czasu. Moim zdaniem nie było też żadnej motywacji, która mogłaby spowodować nowe, skorygowane spojrzenie na postać generała Zygmunta Berlinga.

Audycja pozostawiła, przynajmniej we mnie, duży niedosyt.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Sport

Okazuje się, że można

Powiało optymizmem. Dorota Nowak-Łódź i zespół polskich dziewcząt wygrały mistrzostwa świata w pięcioboju. Włodzisław Skalik i Ryszard Michalski najlepsi na świecie w lataniu rajdowym, a Wacław Nycz mistrzem Europy w lataniu precyzyjnym. Artur Parzyka zdobył mistrzostwo świata w szoku wzmocnionych juniorów, a również młody, 19-letni Tomasz Jedrusik zdobył złoty medal w biegu na 400 metrów. Było też kilka dalszych miejsc w różnych zawodach, ale pozostawiam przy tych najlepszych. To od ich sukcesów powiało optymizmem.

Poprzednie mistrzostwa Europy w precyzyjnym lataniu — jak powinniśmy pamiętać — odbywały się w Łodzi. Miałam okazję oglądać wycieczki tych wspaniałych mężczyzn latających na wcale niewspaniałych maszynach. Teraz słuchałam relacji z Anglii Jerzego Iwaszkiewicza. Relacje te nadawało Polskie Radio w 3 programie. Mogłam sobie wyobrazić podziw i fascynację pilotów innych reprezentacji dla znakomitych i ciągle niepokonywanych Polaków. Włosi — jak bez satysfakcji relacjonował Jerzy Iwaszkiewicz — zapomnieli z tego wszystkiego zjeść przywieziony makaron. Inni też nie byli pewnie zadowoleni. A Polacy latają w myśli zasady: — nie ważne kto wygrywa, ważne, aby był to Polak!

Latają na przestarzałych już samolotach. Latają na „Wilgach”, które pożerają paliwo i ustępują innym samolotom,

Znakomici i do tej pory nie pokonani Polacy będą musieli kiedyś skapitułować. Przed postępową techniką lotniczą. Czy ktoś o tym pamięta? Czy ktoś o tym myśli? Czy ktoś zastanawia się, jak do tego nie dopuścić?

W niektórych dyscyplinach zawodnicy mogą sobie „pomóc”, szukając podnieki w środkach chemicznych. Tak zrobili kolarze. Gdy to wyszło na jaw, szybko przyznali się do podawania zawodnikom debrumylu masażysta ŁKS Ziemia Opolska — Antoni Prędko. Wszystko stało się podobno z niewiedzy Antoniego Prędko nie wiedział, że specyfik, który otrzymał posiada niedozwolony składnik. Nie wiedzieli tego zawodnicy. Można się zatem tylko dziwić, po co brali nieznany specyfik, skoro nie wiedzieli, jakie ma działanie? Coś podobnego stało się też z Zenonem Jaskulą. Też wziął niedozwolony preparat.

Posypały się kary. Czy będą one przestroga dla następnych, którzy chcieliby brać różne „świństwa” przed zawodami? Może to zabrzmiało pesymistycznie, ale wątpię. Chęć posłużenia się chemią, aby być lepszym od innych, jest tak silna, że i kary niewiele pomagają. Skoro jednak obowiązują zakazy, to muszą być i kary. Ryzykanci zawsze się znajdują, bowiem w sporcie obok sławy mołojekkiej, coraz częściej i silniej rolę bódca grają pieniądze. I to na ogół niemałe.

Młody organizm zniszczyć może nie tylko chemia, ale i nadmierna eksploatacja. Pamiętam rozmowę, jaką przeprowadziłam niegdyś z Wiesławem Wragą. Ten młody i zdolny piłkarz miał nieszczęście paść ofiarą trenerskiej „bezkompromisowości” i lekarskiej — nazwijmy to — nieuwagi. Kazano mu grać, kiedy „powinien był leżeć w łóżku i leczyć się. Później — owszem — leżał w łóżku, ale to już było leczenie skutków „nierozwagi” tych, którzy powinni być być rozsądni. Teraz zagrożony jest 17-letni Tomasz Wieszczyczycki, który w dwa tygodnie rozegrał 8 meczów.

Często u nas postępuje się tak, jakby nie było zdolnej młodzieży, jakby tych kilkuset piłkarzy było niezastąpionych. A przecież mamy zdolną młodzież, tylko nie ma kto się nią zajmować. Łatwiej jest dać 50 milionów złotych za dojrzałego zawodnika niż wydać te pieniądze na wychowywanie młodzieży. Działacze pełni ambicji — raczej niezdrowych — chcą mieć natychmiastowe sukcesy. Kupują więc gotowych zawodników. Na sukcesy młodych i zdolnych trzeba bowiem poczekać. Ale oni nie mają cierpliwości. Sukces ma być zaraz, natychmiast. Za każdą cenę, za każde pieniądze.

Jeszcze niedawno ktoś wypominał Dariuszowi Dziekanowskiemu 11 milionów złotych, jakie zapłacił za niego RTS Włocławek warszawskiej Gwardii. Cóż to był wówczas za krzyk. Teraz GKS Katowice zapłacił WKS Śląsk 50 milionów złotych za przejęcie Andrzeja Rudego. Krzyk już był mniejszy, ale GKS Katowice poczuł się w potrzebie wydania... komunikatu. W komunikacie GKS Katowice dementują, że „wszelkie inne insynuowane źródła kosztów transferu są nieprawdziwe, a w szczególności nieprawdą jest, że jakikolwiek transfer GKS realizowany był kosztem kopalni lub ceni węgla”. Pieniądze na zapłacenie za Andrzeja Rudego GKS Katowice wziął z dochodów płynących z „działalności gospodarczej” oraz „z dokonanych w 1987 roku transferów naszych piłkarzy”. Powiało optymizmem, że klub sportowy poczuł się w obowiązku wyjaśnić opinię publiczną, skąd wziął pieniądze. Inna rzecz czy opinia publiczna w te wyjaśnienia uwierzyła. Ale to już sprawa opinii publicznej.

Jednak, żeby na koniec nie było zbyt smutno, dodam dla rozveselenia, że na początku sierpnia z FC Porto płynęły do Polski rozpaczkliwe telegramy. Gdzie jest Józef Młynarczyk? Przyjechał do Polski i zaginął. Mam nadzieję, że już się odnalazł i gra jak z nut.

BOGDA MADEJ

Pewnego dnia, na krótko przed powrotem Gauta z posłowania do Piastuna, w samo południe, otwarta, ale dobrze strzeżona brama warowni — weszło pleszo dwóch mężczyzn ubranych w stroje kupieckie, w obszernych płaszczach, które kryły miecze. Przechodzącą przez podwórzec służkę zapytali o drogę do komnat książęcej Gedani i rozkazali powiadomić ją, że mają dla niej wschodnie pachnidła. Wkrótce ta sama służka zawiodła ich do komnaty książęcej, gdzie dwaj kupcy klękali przed nią na prawe kolano, a potem jeden z nich wstał, zrzucił z siebie płaszcz, zdjął kapelusz i powiedział:

— Gedanio, jam jest.

Rozpoznała w tym mężczyźnie młodzieńca, który ją dzieckiem wyratował z toni i wydała z siebie cichy okrzyk radości. Potem zaprosiła obydwu mężczyzn do stołu, kazała podać jado i napitek. A kiedy jedli, ukradkiem przyglądała się Piastunowi i widziała go jeszcze piękniejszym niż w marzeniach. Jakże jej musiał pragnąć ów Piastun, skoro tylko z jednym towarzyszem dostał się do wrogiego grodu, byle tylko ją ujrzeć i z nią porozmawiać.

Najadłszy się, Piastun położył na stole mieszek ze złotymi numizmatami.

— Na ilu żołnierzy możesz liczyć, Gedanio? — zapytał.

— Na dwudziestu. Tyłu od dłuższego czasu sownie oplacam.

— Trzeba jeszcze dziesięciu, aby było ich trzydziestu. Iniech warują dniem i nocą w pobliżu twoich komnat. Wkrótce powróci Gaut i zechce zyskować gród do obrony. Najpierw jednak spróbuję zabić twego ojca, aby stać się panem Witlandii.

— Muszę więc gotować obrońcę i dla ojca... — powiedziała.

Ale w tym momencie jej wzrok zetknął się z oczami Piastuna i ujrzała w nich gniew.

— Kim chcesz być, Gedanio? — zapytał ją Piastun. — Córką księcia Gedana, czy żoną Piastuna?

Milczała, przerażona myślą o śmierci ojca, której życzył sobie ten człowiek.

— Jeśli nie zabije go Gaut, ty to uczynisz, albowiem wydano na niego wyrok „norn”, co znaczy śmierć. Czy nie uczono cię, Gedanio, że nie ma na świecie nic słodsze niż władza? Czyż nie jest ojciec lub matka, jeśli nie stopniami do tronu. Twego brata, Jonkisa, mianuje władca Witlandii, a ciebie powiodę do Gniazda, gdzie urodzisz mi ołbrzymia. Na nasze zaślubiny i nasze wesele zaprosimy tylko jednego gościa: śmierć. Połącz nas zaś wspólnie przelana krew twego ojca. Albowiem jeśli chcesz naprawdę zostać moją żoną i uprawiać sztukę rządzenia ludźmi, naucz się najpierw rządzić swoimi uczuciami.

— Pragniesz więc, Piastunie, wziąć mnie za żonę — upewniała się. — Ale czy rozumiesz, że nie będę żadną „prądką pokoju”, jak niektórzy nazywają kobiety. Z moją pomocą i za moją namową będziesz wznosił miecz i prowadził nasze armie do boju aż będziemy władać od morza aż po góry Karpaty.

— Tak, pani — skłonił się jej Dago. — Takiej właśnie kobiety mi potrzeba, gdyż dreczy mnie choroba zwana Żądzą Czynów.

Dziwne myśli przemknęły przez głowę Gedani. Poczuła coś jak ogromny strach, a zarazem jakąś lubieżną rozkosz. Nie wiedziała, że Piastun odkrył w niej głębokie pokłady okrucieństwa i ambicji. Jej blada, woskowa twarz z haczykowatym nosem pokryła się rumieńcem, wąskie blade usta zacisnęły jeszcze bardziej. Od dawna wiedziała, że tylko niewyżłi ludzie mają prawo władać. Lecz co to znaczyło: być niewyżłim? Zwykli ludzie kochali swoich ojców, ojców kochali swoje dzieci. Piastun jednak widział w niej istotę, która gardziła zwykłością, dlatego tak po prostu i otwarcie rzekł: zabij swego ojca. To była zresztą jedyna droga do władzy.

Jak urzeczona wpatrywała się w białe bujne włosy Piastuna, rozsypane na jego ramionach. W pewnej chwili wyciągnęła rękę i dotknęła ich, aby się

przekonać, czy są szorstkie czy miękkie...

— Tak. Urodzę ci ołbrzymia — oświadczyła uroczyście.

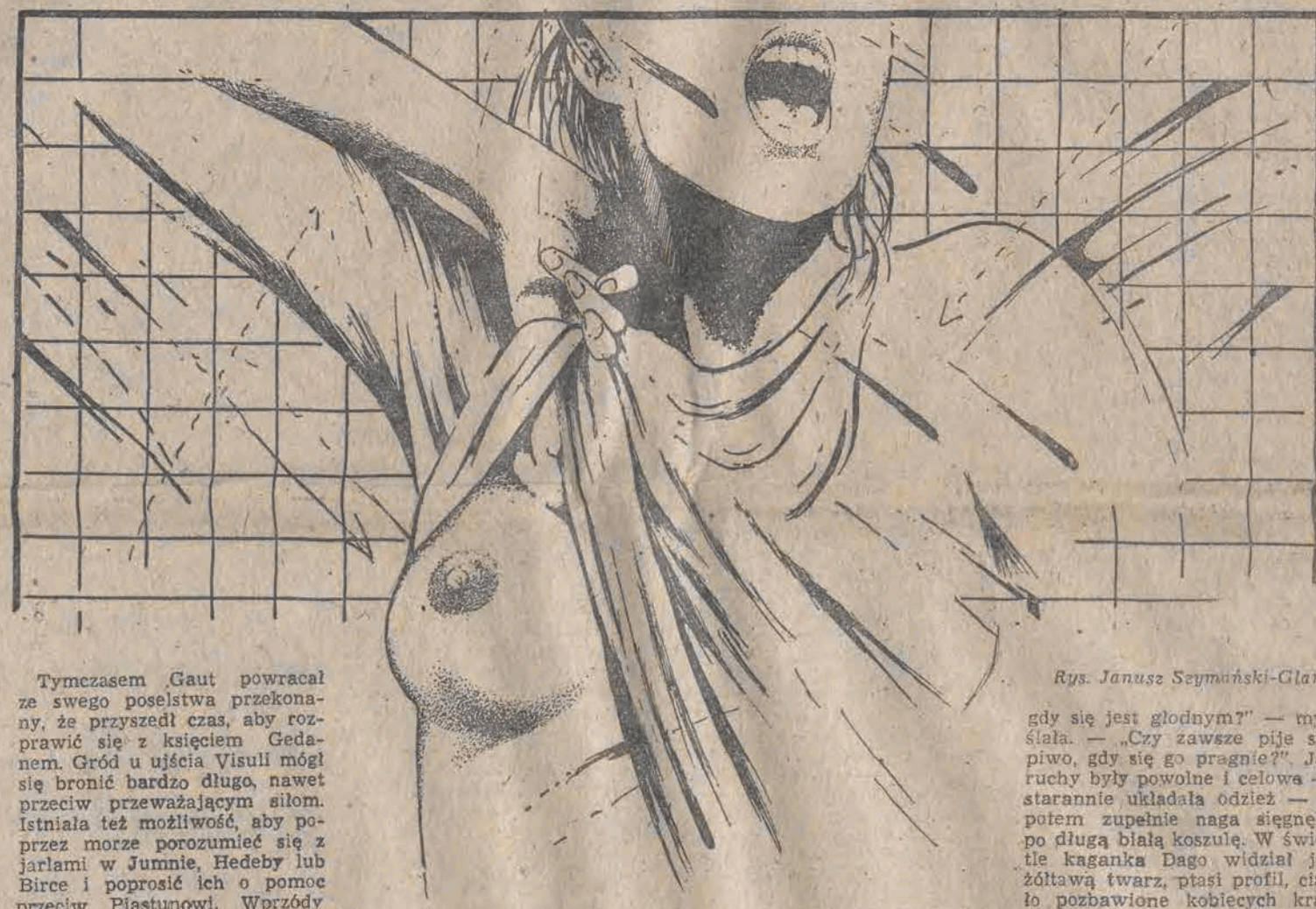
Z trudem otrzaskała się ze swego urzeczenia Piastunem i zaprowadziła ich do małej komnatki koło swej komnaty. To była składnica jej sukien czyli szafiarńia. Potem poszła między żołnierzy w warowni, aby kupić tych, którzy mieli bronić jej w dzień i w nocy. Do komnat ojca nie wstąpiła, albowiem czuła się już żoną Piastuna. W ciemnej komórze Jaszczółt zapytał Dagona:

— Dlaczego, panie, kazałeś córce zabić ojca? To przecież nieładnie. Ja mogę zabić Gedana...

— Nie zostaje się żoną władcy za cenę ciała lub nawet warowni. Kto chce być tylko człowiekiem, niech orze wolami zlemini lub przedzie kądziel. Zresztą, nie kazałem jej zabić ojca, ale człowieka, który stoi jej na drodze do władzy. Jakże znaczenie ma to, że tym człowiekiem jest jej ojciec?

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Głanc

gdy się jest głodnym? — myślała. — „Czy zawsze pije się piwo, gdy się go pragnie?” Jej ruchy były powolne i celowe — starannie ukladała odzież — a potem zupełnie naga sięgnęła po długą białą koszulę. W świetle kaganka Dago widział jej żółtawą twarz, płaski profil, ciało pozbawione kobiecych krągłości, kościste, jak gdyby wysuszone i o obwisłych poślach — i nie czuł pożądania. Musiał się z nią złączyć, a przecież coś go od niej odpychało.

Gdy w końcu położyła się na łożu, on wyszedł z namiotu, aby któraś ze służek dworskich poprosiła o kubek syconego miodu dla rozgrzania swej krwi. Niebo było gwiaździste, służył spły pokotem na wiatrak słony na pokładzie. Przykleknął przy jednej z nich zwanej Zena, niedużej i kragłej. Rozwarł jej bluzkę na piersiach, a kiedy chciała krzyknąć przerażona, położył jej dłoń na ustach i pokazał swoją twarz. Pojęła, że musi milieć, gdyż dotyczy ją władca. Oddychając pośpiesznie czuła jego dłoń ugniatającą jej duże twarde piersi, podczas gdy druga dłoń wsunęła się między jej uda, myszowała po jej gołym brzuchu i łonie. Pod spódnica miał całą jej nagą, którą sycił się jego zmysł dotyku. Była ciepła, a jego ręce zimne. Czując jak powoli rozgrzewają się, jego oddech stał się szybszy. Myślała, że zaraz przynęci ją swym ciałem i zaspokoili swoje pożądanie. Lecz on wstał nagle i ruszył do namiotu, zdmuchnął kaganek i w ubraniu rzucił się na Gedanie, zadzierając jej koszulę. Swoim wyprężonym mocno członkiem przebił jej dziewictwo aż wyprężyła się z bólu. Nie krzyknęła jednak, ponieważ duma książęcka zabraniała jej tego, mocniej tylko zacisnęła swoje wąskie wargi i ulga przyjmując wytrysk nasienia. Była szczęśliwa, że wszystko stało

się tak szybko i oto mała jej słu już obok niej, ona zaś godnie spełniła swój obowiązek.

Dopiero w Gnieździe domyśliła się raczej niż dowiedziała, że u drzwi jej sypialni zawsze musi spać Zena, prosta dziewczyna o różowych policzkach, czerwonych ustach i pełnych kształtach. Dago głaskał ciało Zeny, sycił wzrok jej nagością, a dopiero potem wchodził do łoża Gedani tylko po to, aby wlać w nią swoje nasienie jak w jakieś obrzydliwe naczynie. Nienawidziła tej dziewczyny, ale przecież nigdy jej tego nie okazywała, bo zbyt wiele kryło się dymy w duszy Gedani. I dziwnym jej samej się zdawało, że choć ona również nie pożąda Dagona, to przecież była o niego zazdrosna.

— Rozumiem cię, ojcze — spuściła oczy Gedania, zastanawiając się, czy słowa ojca słyszy Piastun i towarzyszący mu rycerz imieniem Jaszczółt.

Tak minęły dwa dni i dwie noce. Na trzecią zaś noc podpłynęło pod gród wojsko Piastuna. Na przeciwległym brzegu rzeki Visuli, a także Motławy zapłonęła ogromna ilość ognisk. Naliczono ich dwieście. Nikt się nie domyślał, że każdy z Lesków otrzymał polecenie, aby rozpalili jedno ognisko. Obroncy Gedani mieli myśleć, że mają do czynienia z niezliczonymi wojskami.

Wyszedł na waty książę Gedania, aby zobaczyć ogniska. Była ciemna noc, z rzadka paliły się pochodnie na wałach, dostrzeżone były tylko światła ognisk nieprzyjaciela. Stał

na linach statku. W ten sposób dość szybko przybyły one do Włocławia, a stamtąd już konno Piastun i Gedania do tarli do Gniazda.

Opowiada się, że Piastun zabrał z Gedani nieprzebrane skarby w monetach i kosztownościach, w tkaninach i orężu, a wszystko to jako zapłatę za wyrządzone mu w handlu krzywdy. Opowiada się również, iż w trzy dni po odplynięciu statków Piastuna, syn księcia Gedana, niespełna roczny Jonkis został porwany przez fale morską i utonął.

Opowiada się, że przed odplynięciem, Piastun rozkazał rozpalili nad brzegiem morza kilkanaście ognisk, na których upieczono wiele wołów i baranów. Wypito też wiele beczek piwa i wiele dzbanów miodu, a wszystko na ofiarę wielkiego boga morza. Podobno Piastun tak był zakochany w morzu, że podczas swego pobytu w Witlandii każdego dnia to patrzył na morze z wysokości wa-

Widział Jaszczółt jak Dago wyjął z mieszka złoty numizmat i rzucił go hen daleko w zielonkawą falę, składając ofiarę potężnym bogom morza.

Tej nocy w namiocie rozplełym na statku płynącym w górę rzeki, Dago patrzył jak na jego oczach Gedania zdejmowała z siebie odzież, aby leć na posłaniu pokrytym skórą łosia. Czyniła to niechętnie, ale w pełni świadomości swego względu na męża obowiązków. Nie pożałowała Dagona jak zresztą nigdy nie pożałowała żadnego mężczyzny, została jednak jego żoną i powinna rodzić dzieci. „Czy zawsze siada się do stołu,

Dlatego, kiedy zaszła w ciążę i była już tego pewna, wezwała do siebie Zenę i stojąc przy oknie, nie patrząc na nią, zapytała:

— Miał cię kiedyś mój mąż, Piastun?

— Nie, pani. Tylko często mnie głaskał, mietosił moje piersi i wsuwał palce w przyrodzenie.

Powiedziała z dumą:

— Mnie zaś napelniał nasieniem i oto jestem w ciąży. Piastun był wiele razy we mnie, a nigdy w tobie, ponieważ ty jesteś prostą dziewczyną, a ja książniczką.

Tego dnia oświadczyła Dagonowi, że już nie musi jej więcej noca odwiedzać ponieważ jest w ciąży. Dago nawet nie zauważył, że zniknęła Zena sprzed jej komnaty. Nigdy nie dowiedziała się też, że dziewczyna została zmordowana, a jej obcięte nożem wargi stroniwe przybito gwoździem do bram grodu.

Opowiada się, że Gedania od pierwszych dni pobytu w Gnieździe przede wszystkim poświęciła swój czas zaprowadzeniu porządku w rozrzuconych, jej zdaniem, obyczajach ludu i wojowników z otoczenia Piastuna. Nie tylko Herim, ale nawet sam Piastun w obawie przed surowością Gedani musiał u Lesków w pobliskich grodach ukryć swoje nadożnice. To o tych czasach wspomina starodawny kronikarz, że „jeśli znalazłoby się niegdyś rękaw, obcinano jej srom, aby ją w ten szpetny i okrutny sposób ukarać, następnie zaś — jeśli się gozdi o tym mówić — wieszano ów wstydlawy okrawek nad drzwiami domu. A jeśli ktoś ośmielił się uprawiać rozpustę, prowadzono go na most targowy i przymocowywano doń wbijając gwoździ poprzeczne z jądrami. Następnie umieszczano obok nóż i pozostawiano wybór: albo tam umrzeć albo obciąć sobie ową część ciała”.

I nie było tygodnia za czasów rządów Gedani, aby do Piastuna nie zgłaszali się Leskowie, grodzodziercy, a nawet wojowodowie, nakłaniając go, aby przedsięwziął jakąś wyprawę wojenną i mogli się znaleźć daleko od Gniazda i Gedani.

Opowiada się, jak to księżna Zytka rada słuchała wieści z Gniazda i wojownikom Piastuna, którzy przybywali na jej dwór w Wysokim Grodzie, mówiła z drwiną:

— Oto macie prawdziwą królową, której największą troską jest to, co kobieta lub mężczyzna robią z tym, co mają między nogami. Przyjdzie czas, że na kłęczkach przybedziecie do mnie, błagając, abym wraz ze swoim snem, Kirem, powróciła do Gniazda.

Trzy razy zwracał Dago uwagę Gedani, że jest zbyt surową w sprawach obyczajów. I usłyszał w odpowiedzi:

— Czy nie strzeżę, panie, twego dobrego imienia jako Strażnika Obyczajów? Lud jest, panie, jak błoto. Jeśli chcesz z niego coś ulepić, trzeba ciągle myć ręce.

C.D.N